



Dorothy Daniels



ZWIERCIADŁO MAEVE

tom II

CZEŚĆ TRZECIA

Maeve Kinnery

Rozdział dziesiąty

Patrycja urodziła się zdrowa, choć poród był ciężki i zagrożone było życie zarówno moje, jak noworodka. Dziecko odebrał Glen i później poinformował mnie, że nie będę już mogła więcej rodzić. Uroniłam z tego powodu kilka łez w samotności.

Mój smutek znacznie łagodziła sama Patrycja, silna, zdrowa i piękna jak Nora. Nie była zbyt absorbującym dzieckiem, a wprost przeciwnie — słodkim, posłusznym i bardzo kochanym maleństwem. Pielęgnowałam ją podczas chorób wieku dziecięcego, między innymi gdy przechodziła szkarlatynę, po której, dzięki Przenajświętszej Pani, nie zostały jej żadne ślady.

Nora, znana mieszkańcom miasteczka jako Deborah, również chowała się zdrowo. Wiadomości o niej miałam zawsze z pierwszej ręki, to znaczy od Glena, wzywanego do domu na Wzgórzu zawsze, kiedy zaobserwowano u niej symptomy jakiejś choroby. Była to dosyć dziwaczna sytuacja i przypuszczam, że Cameronowie zdawali sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja. Musieli polegać na wiedzy medycznej mężczyzny, który poślubił matkę Nory, a której odmówiono nawet prawa do widzenia się z własnym dzieckiem.

— Jedyną rzeczą, którą jak na razie możesz się nie martwić, jeśli chodzi o Norę, jest jej zdrowie — oświadczył Glen po wyleczeniu jej z ospy wietrznej, która dotknęła wszystkie dzieci w mieście. — To chyba zasługa irlandzkiej krwi. Obie dziewczynki są silne. I obie piękne jak ty.

— Jest bardzo ładna — zgodziłam się. — Widziałam Norę kilka razy — wszystkiego może dziesięć w ciągu ośmiu lat. Jest bardzo podobna do Patty.

— Cóż, jako ojciec Patty uważam, że nasza córka jest ładniejsza — powiedział Glen. — Nora ma ciemniejsze włosy i brązowe oczy. Nasza Patty ma włosy niby łan pszenicy, a oczy koloru nieba po burzy. Tak, Patty jest ładniejsza, ale jak mówicie wy, Irlandczycy, Nora też nie wypadła sroce spod ogona. Dziwne to były lata — ile ich minęło? Siedem? Osiem?

— Nora ma dziewięć lat, a Patty — siedem.

— Tak, masz rację. Czy zauważyłaś zmiany, jakie zaszły wkoło? Rozpoczął się nowy wiek. Mam w swoim gabinecie telefon i jeśli zechcę, mogę zadzwonić nawet do Nowego Jorku. Za dwa lata całe miasto zostanie zelektryfikowane, a gaz, z którego teraz korzystamy, jest na pewno znacznie lepszy niż nafta czy węgiel.

— Jedyna rzecz, do której nie mogę się przyzwyczaić, to ten twój hałaśliwy, smrodliwy automobil.

— Moja droga Maeve, dzięki niemu mogę się przemieszczać dziesięć razy szybciej, niż gdybym korzystał z bryczki, a poza tym kiedy jestem wzywany pilnie w nocy, nie muszę za każdym razem zaprzęgać konia.

— Ale musisz uruchamiać samochód korbą, nadwerężając sobie ramię. Musisz zapalać te okropne lampy naftowe, które śmierdzą gorzej niż samo auto. Och, jestem dzisiaj nie w humorze, Glenie. Mam problem.

Był wczesnojesienny wieczór. Siedzieliśmy przed kominkiem. Patty była razem z Jennie na górze i przeglądała swoje stare podręczniki, bo szkoła miała się rozpocząć w poniedziałek.

— Czy mógłbym ci pomóc w jego rozwiązaniu? — spytał Glen.

— Obawiam się, że nie. Chodzi o tę zakichaną szkołę. Wiesz, że dzieci robotników nigdy nie mają się w co ubrać. Donaszają rzeczy po starszym rodzeństwie albo jakieś najtańsze, brzydkie ciuchy.

— Bardzo dobrze o tym wiem, ale przecież wszyscy jadą na tym samym wózku.

— Otóż mylisz się. Nora przychodzi do szkoły wystrojona jak lalka. Co tydzień nowa sukienka, nowe buciki, nowe wstążki; czasami nosi kapelusze i rękawiczki. Sprawia to, że pozostałe dzieci źle się czują i zazdroszczą jej. Zaczynają jasno zdawać

sobie sprawę z tego, że są biedne.

— To fakt, z którego istnieniem powinny się oswoić. Im szybciej, tym dla nich lepiej.

— Zgoda, ale co z Norą? Jest od nich odizolowana; dla niej istnieją tylko Cameronowie. Wiem, że świat się zmienia. Sześciodniowy tydzień pracy po dwanaście godzin na dobę niedługo będzie już należał do przeszłości. W większych miastach już musiano z niego zrezygnować.

— Mogę cię zapewnić, że Cameronowie będą ostatnimi, którzy się ugną.

— Osiem godzin pracy dziennie w zupełności wystarczy — powiedziałam.

— Ale nie dla lekarzy.

— Lekarze to zupełnie co innego. Zresztą honoraria za leczenie też idą w górę. A Cameronowie, kiedy przekonali się, że żaden robotnik nie pójdzie do innego lekarza, w końcu zgodzili się wypłacać ci pensję. Choć od tamtej pory zachowują się, jakby nam robili wielką łaskę.

Glen wyciągnął nogi w kierunku kominka.

— Niniejszym doktor Glen Kinnery zwraca się do ciebie, jako do właścicielki jednej trzeciej akcji fabryki, z żądaniem pięćdziesięcioprocentowej podwyżki swego honorarium za sprawowanie opieki medycznej nad robotnikami. Proszę, byś przedstawiła mój wniosek na posiedzeniu zarządu.

Pokiwałam głową. Roześmiał się cicho, a ja razem z nim.

— Wiesz, Glenie, że pewnego dnia zamierzam wziąć udział w zebraniu zarządu. Po prostu wejdę na salę obrad jak gdyby nigdy nic. Mam do tego pełne prawo. Do tej pory nie myślałam o tym, bo byłam zajęta Patty i doprowadzeniem do porządku kilku innych spraw, ale teraz nie mam aż tylu zajęć. A beczynność sprawia, że nie mogę sobie znaleźć miejsca. Oto, do czego zmierzałam, rozpoczynając tę rozmowę.

— To znaczy? — spytał rozleniwionym tonem.

— Chcę pomówić o Norze, błyszczącej w szkole jak róża wśród polnych kwiatów. Dla jej dobra należałoby trochę przytrzeć jej nosa. Czy widziałeś ją kiedyś jadącą ulicą Main w rodzinnym samochodzie?

Glen zachichotał.

— Siedzi dumnie wyprostowana, jakby połknęła kij. Nigdy nie patrzy na prawo ani na lewo, a jeśli już jej się to zdarzy zrobić, odnoszę wrażenie, że nieznacznie unosi rękę, błogosławiąc biedaków, którzy ją mijają.

— Tak dłużej być nie może — oświadczyłam. — To, co przed chwilą powiedziałeś, to najświętsza prawda. Zamierzam położyć kres takiemu jej zachowaniu. Ostatecznie jest moją córką.

Wyprostował się w fotelu, bo w moim głosie dosłyszał ton oznaczający, że zamierzam poczynić jakieś drastyczne kroki.

— Wybudujemy małą szkołę na Wzgórzu, przeznaczoną tylko dla niej, a Helen zostanie nauczycielką.

— O nie. Wiem, że Cameronowie bardzo by chcieli posyłać Norę do prywatnej szkoły, ale w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów takiej nie ma. Natomiast istnieje przepis, nakładający na wszystkie dzieci obowiązek nauki, więc zmuszeni są posyłać ją do szkoły w miasteczku. Zresztą to całkiem dobra szkoła, Glenie. Odkąd sprowadziliśmy trzy wykwalifikowane nauczycielki, dzieciaki świetnie sobie radzą.

— Bo mają ławki, książki i pomoce naukowe, które kupiłaś za swoją część zysków.

— Racja. I tak właśnie być powinno. Cameronowie nie zaprzatają sobie tym głowy, ale przynajmniej ja dopilnowałam, by przeznaczono na ten cel część dochodów przynoszonych przez fabrykę. A oto mój plan. Dziewczynka w wieku Nory, wychowana tak jak ona, lubi narzucać innym swoją wolę. Postanowiłam więc, że wprowadzimy mundurki szkolne!

— Mundurki szkolne? — Skinął głową, jakby od razu wszystko zrozumiał.

— Dla chłopców koszulki i spodenki, czarne podkolanówki, czarne buty, czapki i krótkie płaszczki. Dziewczynki mogą nosić bluzeczki, niebieskie spódniczki, białe skarpetki i pantofelki oraz marynarskie kapelusiki. Na zimę wszyscy będą mieli takie same ciepłe palta.

— Początek szkoły za tydzień. Jak zdążysz zorganizować wszystko w ciągu

siedmiu dni?

— Mamy fabrykę, która produkuje wspaniałe tkaniny bawełniane, sprzedawane w wytwórniom odzieży. Wytwórnie te z największą chęcią uczynią coś dla właścicielki jednej trzeciej udziałów zakładów włókienniczych. Dostarczymy matkom tkaniny na uszycie szkolnych ubranek. Zamówimy buty, czapki i inne rzeczy. Okrycia zimowe mogą jeszcze trochę poczekać, choć musimy je zamówić już teraz. Za tydzień wszystkie dzieci pojawią się w szkole ubrane identycznie, dziewczynki — w ładnych sukieneczkach, chłopcy — w schludnych garniturkach. Wszyscy w takich samych. Nora przyjdzie do szkoły wystrojona jak zawsze, ale zanim skończy się pierwszy dzień szkoły, będzie chciała mieć taki mundurek, jak pozostałe dzieci.

— Tyle że uszyty z jedwabiu — mruknął Glen.

— Być może. Ale to nieistotne. Będzie wyglądała jak inne dzieci i w gruncie rzeczy upodobni się do nich. Ta poza, którą przybiera, nie jest naturalna. Nie może być naturalna, Glenie, bo w jej żyłach płynie zbyt dużo krwi mieszkanki hrabstwa Mayo, a zapewniam cię, że w Mayo nikt nie zadziera nosa.

— Podoba mi się ten pomysł. Sama wszystko sfinansujesz?

— Tak, z zysków przynoszonych przez fabrykę. Na Boga, człowieku, wiesz, ile mam pieniędzy w banku? Mogłabym im wszystkim pokupować futra i jeszcze sporo by mi zostało.

— W takim razie ustalone — powiedział Glen. — Jestem pewien, że twój pomysł z mundurkami wprawi Cameronów w oburzenie i głównie z tego względu go popieram. Poza tym ciepła odzież może znacznie zmniejszyć liczbę przeziębień oraz zachorowań na zapalenie płuc i dyfteryt, szerzących się zimą wśród dzieciaków. Tak, to wspaniały pomysł.

— Rano postaram się skontaktować z jak największą liczbą matek i przystąpię do realizacji swego planu. Może zdążymy przed rozpoczęciem roku szkolnego. — Przytuliłam się do Glena. — Och, Glenie, zapewnimy im lepszą przyszłość.

— A któż się na niej zna lepiej niż ty, Maeve, prawda? Pora, byś mi coś na ten temat powiedziała.

— Masz rację, najdroższy. Jesteśmy już wystarczająco długo małżeństwem, byś usłyszawszy moją opowieść nie pomyślał sobie, że nagle zwariowałam. Przyniosę zwierciadło, ale jeśli zejdzie Jennie albo Patty, żeby nam powiedzieć dobranoc, urwę w środku zdania. To musi pozostać między nami. Taka tajemnica małżonków.

— Zgoda. — Sprawiał wrażenie zaintrygowanego. — Ale o jakim zwierciadle mówisz?

— Zobaczysz. Zaraz wrócę.

Cicho poszłam na górę, nie chcąc zwracać uwagi Jennie ani Patty. Weszłam do naszej sypialni i z najwyższej półki, w głębi garderoby, zdjęłam pudełko, w którym przechowywałam zwierciadło. Minęły lata, odkąd ostatni raz trzymałam je w rękach. Przez cały ten czas nie czułam potrzeby zwracania się do niego o pomoc. Glen powiedział mi, że nie będę mogła mieć więcej dzieci, Patty chowała się zdrowo, Nora również, więc cała moja uwaga koncentrowała się na terażniejszości. Byłam zadowolona z tego, jak się toczy moje życie.

Nie zauważyłam, by przez owe lata zwierciadło zmieniło się lub uległo zniszczeniu. Zniosłam je na dół z czcią, jaką mu zawsze okazywałam. Usiadłam na kanapie i skinęłam na Glena, by zajął miejsce obok mnie. Pokazałam mu lekko wklęsły, podłużny, metalowy przedmiot.

— Dość żałośnie prezentuje się to zwierciadło — zauważył.

— Mylisz się, mój drogi. Jest zaczarowane. Kiedyś, dawno temu, powiedziałam ci, że pokochałeś mnie, zanim się jeszcze spotkaliśmy.

— Nie pamiętam tego.

— Tak było. Kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy, zupełnie przelotnie, jak przechodziłeś przez hol w zajeździe, rozpoznałam cię, choć nigdy wcześniej cię nie spotkałam. Kiedy po raz pierwszy weszłam do twojego gabinetu, wiedziałam, że się kiedyś pobierzemy, a po naszym ślubie wiedziałam, że będziemy mieli Patty. To w tym zwierciadle ujrzałam i ciebie, i Patty, zanim jeszcze została poczęta, i Joela, i Norę.

— Wierzysz w to? — spytał Glen.

Nie mogłam mu mieć za złe tego pytania, zadanego tonem pełnym wątpliwości.

— Wierzyłam wtedy. I wierzę teraz. Widziałam, jak obraz Joela stopniowo niknął, co oznaczało śmierć mojego pierwszego męża. Kiedy spytałam zwierciadło o przyszłość mego ojca, ujrzałam wzburzone morze. Rozszalałe, spienione morze. Mój ojciec zginął podczas sztormu.

— Czy naprawdę widzisz to wszystko w tym zwierciadle? Czy to przypadkiem nie wytwory twojej fantazji?

— Każda potomkini królowej Maeve może zadać zwierciadłu pytanie dotyczące własnych losów lub przyszłości tych, których kocha, i otrzyma odpowiedź. Czasami obraz jest tak krótkotrwały, że aż trudno zauważyć, co przedstawia, kiedy indziej wylania się wolno i nie mam żadnych wątpliwości, co widzę.

— Przydałoby mi się takie zwierciadło w pracy — zauważył Glen.

— Najdroższy, nie kpij sobie z niego.

— Ja nie mogę niczego w nim zobaczyć?

— Nie. Podobnie jak nikt, w którego żyłach nie płynie krew królowej Maeve.

— Czyli Patty może w nim coś ujrzeć?

— Tak. I Nora.

— Powiesz im o tym zwierciadle?

— Tak, kiedy nadejdzie pora.

— Maeve, nie miej do mnie pretensji, że wątpię w jego magiczną moc.

— Rozumiem cię, bo kiedyś sama w nią nie wierzyłam. Ale przekonałam się, że zwierciadło nie kłamie.

— Czy mogłabyś teraz też je o coś zapytać?

— Sądzę, że tak. Choć nie zawsze udziela odpowiedzi.

— Boisz się go, prawda? — spytał.

— Tak. Czasem ukazuje tragiczne wydarzenia. Odkąd zostaliśmy małżeństwem, nie odczuwałam potrzeby zwracania się do niego. Byłam przez te wszystkie lata taka szczęśliwa, Glenie. Dzięki tobie.

— Jeśli naprawdę ma takie właściwości... a wierzę w to, co mi powiedziałaś,

Maeve... jest bezcennym skarbem.

— Chcesz, bym je o coś zapytała?

— Tylko jeśli ty też tego pragniesz — powiedział Glen.

— Chcę, byś uwierzył w cudowną moc zwierciadła. Więc zadam mu pytanie, a kiedy przepowiednia zwierciadła się sprawdzi, uwierzysz w jego czarodziejską moc.

Przytknęłam zwierciadło do piersi, zamknęłam oczy jak do modlitwy i spytałam na głos:

— Zadam ci tylko jedno pytanie. Co się wkrótce takiego wydarzy, co będzie miało wpływ na życie moje i moich najbliższych? Dawno już o nic cię nie pytałam. Proszę, nie zawieź mnie.

Wolno uniosłam zwierciadło na wysokość oczu, przechyliłam je lekko i spojrzałam w nie. Ujrzałam ciemne, skłębione chmury.

Stopniowo stawały się coraz grubsze, coraz cięższe i w pewnej chwili wydało mi się, że przemieniły się w setki odrażających twarzy i las gestykujących rąk. Po chwili zniknęły, a na ich miejscu pojawił się profil mężczyzny. Początkowo był niewyraźny, ale później stał się ostry i wtedy rozpoznałam, czyja to twarz. Obraz powoli zniknął.

— Widziałaś coś? — spytał Glen. — Zbladłaś... cała drżysz. Maeve... co ci jest? Naprawdę coś zobaczyłaś?

— Nie wiem. Widziałam Abnera... Abnera, brata Joela, a wcześniej tłum... szaleńców... falujący jak ocean.

— Co to może znaczyć?

— Nie jestem pewna, ale bez wątplenia to zapowiedź jakiegoś nieszczęścia. Nie wiem, co miała oznaczać cała ta ludzka ciżba, ale... Abner wkrótce umrze. Przypominało to przepowiednię dotyczącą śmierci mego ojca. Wtedy zwierciadło ukazało spienione, wzburzone morze. Teraz też ujrzałam morze, ale było to morze ludzkich głów.

Glen pochylił się, by spojrzeć mi prosto w oczy.

— Zwierciadło powiedziało ci prawdę. Abner niedługo umrze.

— Skąd o tym wiesz? — spytałam ogarnięta nagłym strachem. — Co wiesz o Abnerze?

— Jakieś trzy tygodnie temu Abner przyszedł do mnie. Kazał mi przysiąc, że nikomu nie powiem, ale czuję, że w zaistniałej sytuacji muszę złamać dane mu słowo. Abner cierpi na cukrzycę. Na tę chorobę nie ma lekarstwa. Cukrzyk w wieku Abnera ma jeszcze przed sobą dwa, trzy, może nawet cztery lata życia. W przypadku Abnera sprawa wygląda inaczej.

— Och, Glenie, to jedyny z Cameronów, którego kocham.

— Wiem. Problem w tym, że Abner odmówił współpracy z lekarzem. Każdy inny pacjent chciałby żyć jak najdłużej, przestrzegałby diety i prowadził odpowiedni tryb życia. Ale Abnerowi jest wszystko jedno. Przede wszystkim za dużo pije. Zawsze za dużo pił. Powiedział mi, że nie zamierza zerwać z nałogiem. Mówiąc szczerze jego życie to jedna wielka pijatyka. Ale czy można mieć do niego pretensję?

— Przez swoją własną rodzinę stał się taki obojętny na wszystko — powiedziałam. — Nienawidzi Cameronów, nigdy ich nie szanował, ale zarazem boi się ich. Czy naprawdę nic nie możemy zrobić, by mu pomóc?

— Umrze za jakiś rok, może nawet wcześniej. Nawet gdyby rzucił picie, nie na wiele by się to zdało ze względu na jego ogólny stan zdrowia.

Nagle zrozumiałam, co próbowało mi powiedzieć zwierciadło.

— Glenie, Abner zostanie zamordowany. Nie umrze w wyniku choroby lub z przepicia. Zginie śmiercią gwałtowną, a ci wszyscy ludzie przyczynią się w jakiś sposób do jego zgonu. Nie wiem jak. Nie potrafię tego teraz jaśniej wytłumaczyć, ale na pewno właśnie tak się stanie.

— Cóż, dla tego człowieka może to i lepiej — cicho powiedział Glen.

Przepowiednia bardzo mną wstrząsnęła. Żałowałam, że przypomniałam sobie o zwierciadle i że postanowiłam powiedzieć Glenowi o jego magicznych właściwościach, choć mojemu mężowi należało się jakieś wyjaśnienie. Przez głowę przebiegła mi szalona myśl, by ostrzec Abnera, ale przecież na nic by się to nie zdało. Nie posłuchałby, a nawet gdyby mnie posłuchał — przepowiednia zwierciadła tak czy

inaczej się spełni. Lepiej, jak Abner o niczym nie będzie wiedział.

— Nie chcę o tym więcej mówić. Przynajmniej nie dzisiaj — powiedziałam. — Ale skoro zaczęłam ci zdradzać rodzinne tajemnice, muszę powiedzieć ci o jeszcze jednej rzeczy. O naszyjniku.

Potrząsnął głową.

— O jakim znów naszyjniku?

— To swego rodzaju scheda. Pamiątka z czasów pogańskich, sztywna, złota obręcz na szyję. Jest przekazywany z pokolenia na pokolenie, z zachowaniem jak największej tajemnicy, ponieważ zgodnie z obowiązującym prawem wszystkie przedmioty tego typu są własnością państwa i żadnemu obywatelowi nie wolno posiadać takich rzeczy. O'Hanlonowie są z reguły ludźmi praworządymi, ale w tym wypadku zachowaliśmy się inaczej. Z naszyjnikiem związane jest pewne wydarzenie, dosyć krwawe. Obecnie naszyjnik spoczywa w sejfie bankowym w Nowym Jorku. Umieściłam go tam w dniu mojego przyjazdu do Ameryki.

— W jaki sposób udało ci się z czymś takim przejść przez kontrolę celną?

— Na moje szczęście funkcjonariusz okazał się Irlandczykiem. Kiedy dowiedział się, że pochodzę z hrabstwa Mayo, zauważył żartobliwie, choć wcale nie jestem pewna, czy aby nie mówił najzupełniej poważnie, że żaden przybysz stamtąd nie może mieć czegokolwiek do oclenia i przepuścił mnie bez kontroli.

Glen roześmiał się, co złagodziło nieco napięcie wywołane przepowiednią zwierciadła.

— Co zamierzasz z nim zrobić? — spytał. — Przekazać go komuś? A jeśli tak, to komu? Masz przecież dwie córki.

— Nie wiem. Naszyjnik ma ogromną wartość. To ogniwo łączące nas z odległą przeszłością, dowód, że pochodzimy z królewskiego rodu. Zawsze znajdował się w rękach rodziny i zrobię wszystko, by w nich pozostał. Bardzo bym chciała, żeby obie moje córki wspólnie nim dysponowały, ale serce by mi pękło, gdyby kiedykolwiek dostał się w ręce Cameronów. Dla nich liczyłaby się przede wszystkim materialna wartość naszyjnika, natomiast nie zwracaliby uwagi na jego znaczenie jako pamiątki

po przodkach.

— No cóż — oświadczył Glen — nie można powiedzieć, by był to mało interesujący wieczór. Twoje zwierciadło intryguje mnie. Nie wierzę w jego magiczne właściwości, ale wygląda na to, że rzeczywiście ukazuje ci przyszłe wydarzenia, więc nie wykluczam, że pewnego dnia uwierzę w jego czarodziejską moc. Ale... pozostaje sprawa Abnera.

— To straszne, że akurat tragiczna śmierć Abnera będzie dla ciebie dowodem niezwykłych właściwości zwierciadła — powiedziałam. — Cóż, nie możemy zmienić wyroków losu. Co ma być, to będzie. Chciałabym, żeby zwierciadło się myliło, choć do tej pory nigdy się tak nie zdarzyło. Podobno przez całe dwa tysiąclecia, a na pewno odkąd ja stałam się jego właścicielką.

W tym momencie do pokoju wtargnęła Patty, moja żywa jak iskierka, niebieskooka córka.

— Ciocia Jennie powiedziała, że mam was pocałować na dobranoc. Czy mogę trochę z wami zostać?

— Możesz, ale króciutko. Chodź, usiądź obok mnie. Chcę z tobą porozmawiać. — Posłusznie zajęła miejsce przy mnie, choć ani na chwilę nie przestała się kręcić. — Kiedy rozpocznie się rok szkolny, niewykluczone, że wszystkie dzieci, i dziewczynki, i chłopcy, będą nosiły takie same ubranka. Tak jakby mundurki szkolne. Co ty o tym myślisz?

— Wydaje mi się, że to dobry pomysł, pod warunkiem, że te ubranka będą ładne.

— Będą. Patty, lubisz Deborah, tę dziewczynkę ze Wzgórza?

— Jest zbyt zarozumiała.

— Nie rozmawia z tobą?

— Czasami, ale myślę, że tylko dlatego, że chodzę ładnie ubrana. Nie spodoba jej się, że wszystkie dzieci będą nosiły jednakowe mundurki.

— Sądzisz, że będzie chciała mieć taki sam mundurek jak pozostali uczniowie? — spytałam. Był to okropny sposób zdobywania informacji o przybranej siostrze

Patty, a mojej pierworodnej córce.

Patty zastanowiła się chwilę.

— Jeśli przyjdzie ubrana inaczej, będziemy się z niej wyśmiewać.

— Czy Deborah jest dobrą uczennicą? Jest zdolna?

— Może taka zdolna jak ty? — dodał Glen z uśmiechem.

Patty roześmiała się wesoło. Była radosnym dzieckiem.

— Jest zdolna, ale nie tak jak ja. A wiecie dlaczego? Bo nie ma Jennie, która by jej wszystko tłumaczyła, wyjaśniała, co znaczą niektóre długie wyrazy i jak je należy wymawiać.

— Czy inne dzieci ją lubią?

— Myślę, że nie. Przyjeżdża takim wielkim powozem, który czeka na nią po lekcjach. Reszta dzieci musi wracać na piechotę, więc dlatego niezbyt ją lubią. Ale pani nauczycielka ją lubi.

Glen zagwizdał cicho przez zęby.

— Chcesz powiedzieć, że pani nauczycielka lubi ją bardziej niż inne dzieci?

— Niektóre dzieciaki nazywają ją pupilką — powiedziała Patty tonem pozbawionym cienia zazdrości.

— Myślisz, że nauczycielka ją faworyzuje? Daje jej lepsze oceny niż innym dzieciom?

— Nie wiem — powiedziała Patty. W tej chwili sprawiał? wrażenie siedemnastolatki, a nie siedmioletniej dziewczynki.

— Uważasz, że powinniśmy się tym zająć? — spytał mnie Glen.

— Po co? Nauczyciele są bardzo dobrzy. Zdobycie ich kosztowało nas niemało trudu i dopóki nie wprowadzono powszechnego obowiązku szkolnego obawiałam się, że nigdy nie uda nam się zatrudnić odpowiednich osób. Pamiętaj, że fabryka płaci im pensje.

Glen skinął głową.

— W tej sytuacji to chyba zrozumiała słabość. Są chwile, kiedy ja również jej ulegam. No dobra, panno Patrycjo. Zmykaj do łóżka i nie zapomnij zmówić przed

snem paciorka za ciocię Jennie.

— Możesz się też pomodlić za Deborah.

Patty zsunęła się z fotela.

— Dlaczego, mamusiu?

Jak miałam jej odpowiedzieć na to pytanie? Glen zaniósł Patty na górę, do Jennie, a ja westchnęłam, ubolewając nad bezsilnością, jaką odczuwałam na myśl o podjęciu jakiegokolwiek próby odzyskania własnej córki. Glen często mi powtarzał, że teraz jest już na to za późno. Nasze życie było uporządkowane, a rodzina Joela mogłaby mi wyrządzić olbrzymią krzywdę. Mieszkańcy miasteczka nigdy by tego nie zrozumieli do końca. Mogliby wspaniałomyślnie mi wybaczyć, ale mnie nie chodziło o przebaczenie, bo nie zrobiłam nic, co wymagałoby przebaczenia. Zastanawiałam się, czy niebezpieczeństwo, grożące mi ze strony Cameronów, kiedykolwiek zniknie. Kosztowało mnie utratę pierwszego dziecka. Nie mogłam ryzykować utraty miłości i zaufania mojej drugiej córki.

Rano porozmawiałam z kilkoma matkami i poprosiłam, by skontaktowały się z pozostałymi. Wkrótce uzyskałam jednomyślną zgodę wszystkich rodziców na uszycie szkolnych mundurków z materiału, który dostarczę. Wykorzystując wpływy, jakimi się cieszyłam jako współwłaścicielka fabryki, wkrótce zdobyłam wszystko, co było nam potrzebne, i kobiety przystąpiły do pracy. Miałyśmy niewiele czasu, ale zdążyłyśmy. Pierwszego dnia szkoły obserwowałam dzieci udające się na lekcje. Dziewczynki wyglądały zupełnie ładnie w swoich sukieneczkach. Chłopcy, świeżo wypucowani, w czystych koszulach i spodenkach, w czarnych pończochach i wypolerowanych bucikach, byli odrobinę skrepowani. Dzieci wyglądały zupełnie inaczej niż dawniej. Ubranka donaszone po starszym rodzeństwie były zawsze albo za duże, albo za ciasne. Tkaniny, sprzedawane w sklepie fabrycznym, na które mogli sobie pozwolić robotnicy, były bardzo kiepskie w porównaniu z tymi, które ja zamówiłam. Czułam się zupełnie zadowolona z rezultatów akcji. Cieszyłam się nie z tego, że Nora zostanie wystawiona na pośmiewisko, pojawiając się w szkole w swojej drogiej sukience, ale dlatego, że dzieci dostały coś nowego, a ich buzie promieniały

szczęściem. Zadowolenie dawała mi również świadomość, że pieniądze na to wszystko pochodziły z zysków przynoszonych przez fabrykę.

Patty, którą zawsze starałam się ubierać ładnie, choć prosto, była bardzo zadowolona ze swojego mundurka i pobiegła ulicą, by przyłączyć się do swych kolegów i koleżanek.

Stosując się do rady Glena starałam się nigdy nie spotykać z Norą. Glen uważał, że spotkania takie byłyby zbyt bolesne, a ja przyznałam mu rację. Oczywiście od czasu do czasu widywałam Norę, ale tylko przelotnie. Z reguły powóz, którym jechała, przemykał przez miasto najszybciej, jak to było możliwe, najprawdopodobniej na polecenie Cameronów. Jednak dziś chciałam zobaczyć, jaka będzie reakcja dzieci po całym dniu noszenia mundurków, więc po południu wybrałam się na spacer w stronę pomalowanego na żółto budynku szkoły.

Nie czekałam długo. Wkrótce drzwi otworzyły się i wybiegła przez nie rozwrzeszczana i piszcząca dzieciarnia, przepychając się lub specjalnie zwalniając kroku, by nie wrócić do domu za wcześnie. Patty nie zauważyła mnie, zresztą wcale nie chciałam, by mnie zobaczyła. Stałam po drugiej stronie ulicy, za jednym z rozłożystych wiązów, by móc obserwować powóz Cameronów, sama pozostając niewidoczna.

Nora wyszła, prawie na samym końcu. Na jej widok serce mi szybciej zabiło. W bladuróżowej sukience, przewiązanej ciemnoróżową szarfą, z ciemnoróżowymi wstążkami we włosach, w białych pończochach i bucikach, była bez wątpienia najlepiej ubraną dziewczynką w miasteczku, a przy tym równie śliczną jak Patty, jeśli nieśliczniejszą.

Szła wolno ze spuszczoną głową. Podeszła do powozu i wsiadła do niego, wciąż nie unosząc głowy. Powóz nie ruszał z miejsca. Nagle uświadomiłam sobie, że Nora płacze. Nie zastanawiając się, co robię, przebiegłam przez jezdnię i stanęłam obok powozu.

Woźnica znał mnie dobrze. Spojrzałam na niego pytająco.

— Nie mogę jej zabrać do domu takiej zapłakanej — wyjaśnił. — Pomyśl, że

to przeze mnie roni łzy. Nie wiem, co jej się stało.

Chciałam ująć Norę za rękę, ale cofnęła ją gwałtownie.

— Czemu płaczesz? — spytałam ją.

— Nieważne — burknęła, ale że tak mocno pragnęła się komuś zwierzyć ze swych zmartwień, że jej determinacja, by potraktować mnie z pogardą, gdzieś się ulotniła.

— Możesz mi o wszystkim powiedzieć — odezwałam się.

Na miłość boską, przecież była moją córką. Czemu nie wsiadłam do powozu i nie wzięłam jej w ramiona? Czemu nie powiedziałam jej, że jestem jej matką? Czemu pozwoliłam im na odebranie sobie własnej córki? Nora należała do mnie. To dziecko potrzebowało miłości i zrozumienia, tymczasem tej zgrai upartych, nieustępliwych ludzi o zimnych sercach bardziej zależało na przedłużeniu trwałości rodu niż na miłości tej ślicznej dziewczynki, tak spragnionej serca.

Uniosła głowę.

— Dokuczali mi — powiedziała. — Wyśmiewali się ze mnie.

— Bo nie byłaś ubrana tak jak one?

— Tak.

— Czy w takim razie nie powinnaś ubierać się tak jak wszystkie dzieci? Jesteś śliczną dziewczuszką i masz piękną sukieneczkę, ale mundurki szkolne też nie są brzydkie. Wyglądałybyś w takim bardzo ładnie.

— Mamusia nie pozwoli mi chodzić w mundurku.

— Mamusia?! — wykrzyknęłam. — Twoja matka?

— Tak.

Ogarnęła mnie fala gniewu i o mało nie zrobiłam czegoś, czego bym później żałowała. A więc nie tylko zabrali mi Norę, ale ośmielili się wmówić jej, że Helen jest jej matką.

Całym wysiłkiem woli odzyskałam panowanie nad sobą i spróbowałam znów ująć Norę za rączkę, ale odsunęła się ode mnie.

— Zapytaj ją jeszcze raz. Powiedz, że będziesz się lepiej czuła w mundurku, bo

nie będziesz się wyróżniała pośród innych dzieci.

— Proszę odejść od mnie — powiedziała. — Wiem, kim pani jest. Jest pani złą kobietą. Mamusia zabroniła mi z panią rozmawiać. Babcia powiedziała, że gdyby próbowała mnie pani porwać, mam krzyczeć...

Zeszłam ze stopnia powozu.

— Nikt nie ma cię zamiaru porywać. — Spojrzałam na woźnicę. — Zawieź ją do domu. Jeśli nic nie powie o rozmowie ze mną, też nie musisz nikomu o tym wspominać.

— Tak jest, proszę pani. Zresztą to nie moja sprawa.

Obserwowałam, jak powóz odjeżdżał. Sama doprowadziłam do tego spotkania i tylko siebie mogłam winić za to, co się stało, a jednak ogarnął mnie gniew. Kiedy Glen zakończył przyjmowanie pacjentów i wszedł do kuchni, piekłam akurat ciasto. Moja złość osiągnęła temperaturę wrzenia.

— Przepraszam, że nie zajrzałem nawet na chwilę w ciągu dnia — usprawiedliwił się Glen. — Ale miałem dziś wyjątkowo dużo pacjentów.

— Nie szkodzi. Lepiej, że byłam sama, bo nie miałam nastroju do rozmawiania z kimkolwiek.

— Co się stało? — spytał głosem pełnym troski.

— Zrobiłam dziś głupią rzecz. Poszłam do szkoły, by się przekonać, jak Nora przyjęła fakt, że wszystkie dzieci noszą mundurki. Okazało się, że uczniowie tak jej dokuczali, aż się popłakała. Wiesz, jakie są dzieci. Cóż, nie mogłam oprzeć się swemu instynktowi macierzyńskiemu czy jak się to nazywa. Zbliżyłam się do powozu, w którym siedziała zalewając się łzami i próbowałam ją pocieszyć. Powiedziała mi, że jej matka nigdy się nie zgodzi, by córce sprawić mundurek szkolny.

— Matka? Czyżby wmówili tej dziewczynie, że któraś z nich jest jej matką?

— Helen zajęła moje miejsce. Poza nią nie mieszka tam żadna inna na tyle młoda kobieta, by mogła udawać matkę jedenastoletniej dziewczynki. Oto do czego się posunęli. Co więcej — przełknęłam ślinę, sama bliska łez — Nora nazwała mnie złą kobietą i powiedziała, że babka ostrzegła ją, iż mogę próbować ją porwać.

Glen usiadł przy stole kuchennym.

— Cóż za banda arogantów. Ale dosyć tego dobrego. Pójdę tam...

— Nie, Glenie, proszę, nie rób tego. Przekonali Norę, że nie jestem uczciwą kobietą. Wiesz, na co ich stać, mogą wykorzystać przeciwko mnie tamte wszystkie zmyślane historie i ten wstrętny dokument podpisany przez Cathala Dolana.

— Maeve, czy mamy biernie czekać?

— Mój drogi, nic takiego nie miałam na myśli.

— W takim razie może byłoby lepiej, gdybyś mi powiedziała, co zamierzasz — powiedział łagodnie.

— Naturalnie, że ci powiem. Wydaje mi się, że chyba zapomnieli, iż jestem właścicielką jednej trzeciej fabryki. Nie daje mi to zbyt mocnej pozycji podczas głosowania, ale nie mogą mi zabronić uczestniczenia w zebraniach zarządu. Dotychczas nie chodziłam na nie, ponieważ nie zależało mi na przebywaniu w ich towarzystwie. Po głębszym zastanowieniu się doszłam do wniosku, że to im robię przysługę, a nie sobie. Pojutrze jest zebranie zarządu. Zamierzam pójść na nie i wyjawić Cameronom, co czuję. Mówiąc krótko, zamierzam urządzić piekło.

Glen wstał, by mnie objąć, nie zważając na kropelki potu na mojej twarzy, wywołane wysoką temperaturą panującą w kuchni.

— Wreszcie przemówiłaś językiem zrozumiałym dla nich, ale wątpię, czy im się to spodoba. Musimy wszystko rozważyć, by zdecydować, jak ich najlepiej wyprowadzić z równowagi. Żałuję, że nie będę mógł pójść razem z tobą.

Pocałowałam go i przytuliłam się.

— A ja nie, bo mogę się zachować zupełnie nie tak, jak przystało na damę, a nie chciałabym, byś mnie ujrzał w takim momencie.

Prawie całą noc nie spałam, w kółko rozważając w myślach, jak zareaguję na ich lodowate powitanie, kiedy mnie ujrzą w biurze fabryki na spotkaniu zarządu.

Kilka razy ogarniały mnie wątpliwości, czy powinnam to robić, ale kiedy nadszedł dzień zebrania, włożyłam prostą, ale elegancką suknię z brązowego jedwabiu i nowy kapelusz, wykonany zgodnie z paryską modą, tak wielki, że potrzebne były

cztery długie szpilki, by go umocować na głowie. Patty uważała, że jest olśniewający, ale Glen z przerażeniem pokręcił głową i powiedział, że będzie musiał chyba poszerzyć drzwi, bym mogła wyjść w nim z domu.

Pojechałabym do fabryki naszym samochodem, gdybym potrafiła go uruchomić, ale ponieważ okazało się to dla mnie za trudne, zrezygnowałam z tego pomysłu i skorzystałam z bryczki.

Zebrania odbywały się zawsze w wyłożonym boazerią gabinecie Lorana, z tej okazji polerowaną na wysoki połysk. Chociaż udziałowcami byli jedynie członkowie rodziny, niemniej wszystko odbywało się w sposób wielce formalny, by wywrzeć większe wrażenie na robotnikach. Kiedy weszłam do głównego pomieszczenia biura, szczupły mężczyzna z bujnym wąsem wstał, by zagrozić mi drogę. Rozpoznawszy mnie usiadł powoli i z wyraźnym ociąganiem. Widocznie jednak wiedział o przysługujących mi prawach. Urzędnicy zaczęli natychmiast coś między sobą szeptać.

Otworzyłam drzwi do gabinetu Lorana, weszłam do środka i przez chwilę lustrowałam całe pomieszczenie. Obecni byli wszyscy: Helen, Loran, rodzice Joela i ciotka Marcy Tabor. Zabrakło męża Helen. Pomyślałam, że został w domu, by pilnować Nory, bo akurat tego dnia nie było zajęć w szkole. Abnera też nie dostrzegłam.

Na mój widok wszyscy zwrócili się ku mnie, nie kryjąc wrogości. Siedzieli przy długim stole, a ponieważ nie było przy nim pustego krzesła, przystawiłam jedno i usiadłam. Zanim ktokolwiek zdołał uczynić jakąkolwiek uwagę czy powiedzieć choćby słówko, do pokoju wbiegł Abner i wrogość, malującą się na ich twarzach, zastąpiła irytacja.

— A niech mnie! — powiedział składając, jak sądzę, hołd mojej odwadze. Hałaśliwie przyciągnął krzesło do stołu i usiadł obok mnie. — Witaj, moja droga. Muszę powiedzieć, że z roku na rok wyglądasz ładniej.

— Dziękuję, Abnerze — powiedziałam. — To dlatego, że jestem szczęśliwa.

Wstał ojciec Joela.

— Pora rozpocząć zebranie. Ponieważ w ciągu ubiegłego miesiąca niewiele się

zmieniło i interesy idą dobrze, nie widzę potrzeby przedstawiania sprawozdania.

— Proponuję zakończyć zebranie — pośpiesznie odezwała się Helen.

— Chwileczkę! — powiedziała ostrym tonem. — Są sprawy, które należy omówić, nawet jeśli wam wydają się one nieistotne. Na przykład petycja, w której robotnicy domagają się podwyżki.

— Czy życzy sobie pani przedyskutować tę kwestię? — spytał ojciec Joela.

— Uważam, że to ważna sprawa — powiedziała.

— Przegłosujemy ją. Ci, którzy są przeciwko podwyżkom, niech podniosą rękę w górę.

Uniosły się wszystkie ręce oprócz mojej i Abnera, który po chwili wolno uniósł dłoń.

— Chciałabym coś powiedzieć — odezwałam się, nie panując nad wzburzeniem, które mnie ogarnęło. — Dopóki będę mówiła, nie możecie zamknąć zebrania. Jesteście wszyscy ślepi i głusi. Nie widzicie, co się wokół dzieje. Wybuchają strajki, robotnicy tworzą związki zawodowe. Nieistotne, czy jestem za nimi, czy przeciwko nim. Na razie te organizacje są jeszcze słabe, ale wkrótce wszystko się zmieni. Aby się przed nimi bronić, inni fabrykanci dają robotnikom podwyżki, tymczasem my nie robimy nic. Od kilku lat w fabrykach, wykonujących zamówienia rządowe, obowiązuje ośmiogodzinny dzień pracy i w wielu gałęziach przemysłu wprowadzono takie same godziny pracy. A my każemy naszym robotnikom harować dwanaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu. Dzięki temu osiągamy niezłe zyski — a właściwie niesłychane zyski. Czynią one nas wszystkich, nie wyłączając mnie, bogaczami, ale niezbyt zależy mi na tym, by mieć więcej pieniędzy, niż potrzebuję, tym bardziej jeśli źródłem ich jest wyzysk innych ludzi. Zgłaszam wniosek, by wprowadzić ośmiogodzinny dzień pracy. Ojciec Joela pogardliwie wzruszył ramionami.

— Kto jest za wnioskiem, niech podniesie rękę.

Tylko moja ręka pojawiła się w górze.

— Wniosek upadł — powiedział ojciec Joela. — Już wcześniej zgłoszono

propozycję, by zakończyć zebranie, którą popieram. Ogłaszam zebranie za zamknięte.

— Jedną chwilkę, proszę — odezwał się Loran wstając. — W tych sprawach zbytni pośpiech nie jest wskazany. Pani Kinnery, jako współwłaścicielka fabryki, ma prawo do tego, by zostać wysłuchana.

— Dziękuję — powiedziałam. — Już miałam oświadczyć, że zwrócę się w tej sprawie do prawnika.

— Proszę mi przede wszystkim pozwolić powiedzieć — kontynuował Loran — że nadal jesteśmy gotowi odkupić twoje udziały po cenie, jakiej zażadasz. Oczywiście w granicach rozsądku.

— Odpowiedź brzmi: nie — oświadczyłam krótko.

— Rozumiem. Czy sądzisz, że nasi robotnicy ucieszą się, jeśli obniżymy im pensje o jedną czwartą? A będzie to nieuniknione, jeśli przejdziemy na ośmiogodzinny dzień pracy.

— Płace powinny pozostać niezmienione — powiedziałam. — Nie wolno ich obniżyć.

Ciotka Marcy powitała ten pomysł głośnym wybuchem śmiechu. Nawet Helen sprawiała wrażenie rozbawionej, matka Joela tylko wzruszyła ramionami, jakby myśl ta była zbyt absurdalna, by ją w ogóle brać pod uwagę. Ojciec Joela patrzył spode łba, ale nie odzywał się.

— Czy wzięłaś pod uwagę, jak by to wpłynęło na wysokość zysków? — spytał Loran. — Staram się być rozsądny, Maeve. Konflikt, jaki między nami istnieje, jest natury osobistej, i nie powinien mieć wpływu na omawiane przez nas sprawy fabryki. Zwracam się do ciebie jako do poważnego udziałowca. Przyznałaś się przed chwilą, że zostałam osobą majątną. Czy to przestępstwo?

— W jej wypadku tak! — krzyknęła ciotka Marcy. — Jej udziały należą się naszej rodzinie. Nie ma do nich prawa.

— Marcy, jeśli nie masz nam do powiedzenia nic mądrzejszego niż to, co dopiero usłyszeliśmy, lepiej wcale się nie odzywaj — oświadczył Loran. — Maeve, jedyne, co posiadamy, to ta fabryka. Bez niej nasi robotnicy zostaliby bez pracy.

— Chcę zabrać głos — odezwał się ojciec Joela. — Z waszej rozmowy można by wyciągnąć wniosek, że nasi robotnicy są niezadowoleni i że grożą nam jakieś kłopoty. Czy słusznie rozumiuję?

Nie odpowiedziałam mu.

Spojrzał na mnie roziskrzonym wzrokiem.

— Zadałem pytanie.

— Mnie? — spytałam niewinnym tonem. — Zazwyczaj zwracając się do kogoś z pytaniem wymienia się nazwisko osoby, do której pytanie to jest skierowane.

— Pytam panią, pani Kinnery. — Może dojść do poważnych kłopotów.

— To proszę pozwolić sobie powiedzieć, że w razie strajku każdy robotnik, który nie stawia się do pracy, zostanie zwolniony i natychmiast wyrzucony z domu, który zajmuje. Będzie też musiał uregulować wszelkie zaległe rachunki w sklepie fabrycznym. Tym, którzy nie będą mogli zapłacić swoich długów, zajmiemy dobytek.

Wymaszerował z pokoju. Loran dał znak ręką, że zebranie jest skończone. Abner lekko dotknął mojej dłoni i zanim wyszedł, pokiwał z przerażeniem głową. Mogłam czuć do tego człowieka tylko współczucie i żal, że dał się tak zdominować swojej rodzinie, iż nawet gdy był umierający, wciąż się ich bał.

Loran usiadł obok mnie.

— Wiesz, Maeve, zgadzam się z tobą. Również widzę nadciągające kłopoty.

— W takim razie czemu nie próbujesz im przeciwdziałać? — spytałam.

— Jestem sam przeciw im wszystkim. Nie mam nawet prawa głosu. Gabriel jest tępy, a pozostali ograniczają się do przytakiwania mu. Muszę akceptować ich decyzje, ale mam na tyle zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że tak wiecznie być nie może.

— Może wspólnie moglibyśmy coś przeforsować — zaproponowałam, wciąż zdumiona postawą Lorana. Myślałam, że właśnie on okaże się z nich wszystkich najbardziej nieugięty.

— Nie mogę tego zrobić. Nie dysponuję żadną władzą. Zapomniałaś, że dziadek Cameron podzielił swój majątek na trzy części? Żadna z nich nie przypadła mnie, a to, że tutaj jestem, zawdzięczam tylko temu, że prowadzę wszystkie sprawy fabryki.

— Zapomniałam o tym — przyznałam się. — Czyli że nic nie możemy zrobić. Pozostaje nam tylko czekać na rozwój wypadków.

— Jest tylko jeden sposób, by wpłynąć na nich i uzyskać pewne ustępstwa.

— Słucham pana uważnie, panie Cameron.

— O ile wiem, przedwczoraj rozmawiałaś z Deborah.

— Płakała. Jestem jej matką. Mam prawo ją pocieszyć. Wiąże się z tym jeszcze jedno. Jest przekonana, że jej matką jest Helen.

— Nikt jej tego nie powiedział. Sama doszła do takiego wniosku.

— Helen opiekowała się nią od niemowlęcych dni, więc zrozumiałe, że uważa ją za swoją matkę. Czemu nikt nie wyprowadził jej z błędu?

— Nie uważaliśmy tego za wskazane. Nie teraz, kiedy jest jeszcze taka wrażliwa.

— Jednak uważaliście za słuszne pozwolić jej wierzyć, że jestem kobieta rozwiązła. Kimś, z kim nie powinna nawet rozmawiać.

— Nie miałem z tym nic wspólnego — powiedział pośpiesznie.

— Pan mógł temu zapobiec. Szczerze mówiąc, mam już dosyć tej rozmowy. Jeśli ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia, to proszę mówić szybko, bo chciałabym już stąd wyjść.

— Jak już powiedziałem, prawdopodobnie ich stanowisko nie byłoby takie sztywne, gdybyś zgodziła się podpisać dokument, w którym zrzekłabyś się wszelkich praw do Deborah.

Odchyliłam się na oparcie, zbyt rozśmieszona, by odczuć gniew.

— Prosi mnie pan, bym wyrzekła się własnej córki, a w zamian za to Cameronowie zgodzą się — lub nie — dać swoim robotnikom małą podwyżkę? A cóż to za transakcja, panie Cameron? To najbardziej absurdalna propozycja, jaką kiedykolwiek słyszałam. Nora jest moją córką i kiedyś ją odzyskam. Nadejdzie dzień, gdy będzie wystarczająco dorosła, by wszystko zrozumieć. Dowie się, że ukrywaliście przed nią prawdę i czym się kierowaliście robiąc to. Traktujecie ją jak kogoś, kto zapewni ciągłość waszemu rodowi. Zapomnieliście, że jest córką Joela i moją, i że

będzie myślała tak jak Joel i ja. Ta propozycja to zniewaga. Odrzucam ją.

Odsunęłam krzesło, wstałam i wyszłam. Nie udało mi się osiągnąć niczego.

Rozdział jedenasty

Zima była mroźna tego roku, choć nie taka, jak ta z 1904, należąca do najmroźniejszych w całej historii. Napadało dużo śniegu i Glen sklecił dla nas pojazd na trzech płozach z siedzeniem z szerokiej deski.

Ponieważ w okolicy jedynie wzgórze, na którym stał dom Cameronów, było wystarczająco strome, by urządzać na nim sanne, wszyscy ciągnęli właśnie tam. Bałam się, że Cameronowie wyrażą sprzeciw, ale jak na razie nie zrobili tego. Dawniej robotnicy nie odważyliby się pozwolić swoim dzieciom na zabawę na wzgórzu, ale co roku stawali się coraz śmielsi. Zmiany te postępowały bardzo wolno, ale były wyraźne. A Cameronowie nie awanturowali się już z byle powodu, jak to mieli kiedyś w zwyczaju.

Razem z Patty i Jennie wciągałyśmy nasz wehikuł na szczyt wzgórza, a potem zjeżdżałyśmy po dość mocno ubitym śniegu. Była to wielka frajda, warta żmudnego wdrapywania się na górę. Nasz pojazd świetnie zdawał egzamin.

Oprócz naszego wehikułu było jeszcze dwadzieścia podobnych. Niektóre ze sklepu, inne zrobione własnym przemysłem, ale wszystkie bardzo dobrze spełniały swoją rolę i w mroźne, wietrzne, zimowe wieczory przy pełni księżyca zapewniały niedrogą rozrywkę ludziom, którzy mieli mało okazji do zabaw podczas dni wypełnionych monotonną pracą.

Dzieciaki, które nie miały własnych sanek, zapraszano na przejażdżki owymi cudacznymi pojazdami na płozach. Czyniono to tym chętniej, że im więcej osób na nich siadało, tym szybciej i lepiej się zjeżdżało. Kilka razy o mały włos nie przewrócilibyśmy się. Patty dokazywała na śniegu, domagając się, byśmy zjeżdżali jeszcze szybciej.

Zwoływaliśmy amatorów kolejnej przejażdżki, kiedy w pewnej odległości

zauważyłam Norę; stała z boku i przyglądała się nam. Wyglądało na to, że jest sama.

— Patty, tam stoi Deborah — powiedziałam. — Wydaje mi się, że chciałyby zjechać z nami, ale jest zbyt nieśmiała, by się dołączyć. Może byś ją poprosiła?

— Och, mamusiu, ona jest taka zarozumiała.

— Może dlatego, że nikt nigdy nie zaprosił jej do wspólnej zabawy. Nic ci się nie stanie, jeśli ją poprosisz.

— No, dobrze.

Pobiegła w podskokach. Gdybym to ja podeszła do Nory, uciekłyby, ale zaproszenie Patty przyjęła. Po chwili obie dziewczynki podbiegły do śnieżnego wehikułu. Myślę, że w panującym półmroku i z uwagi na podekscytowanie Nora nie poznała mnie, a nawet jeśli wiedziała, że to ja, widocznie chęć zjechania z górki była większa niż jej strach przede mną.

— Usiądź tutaj, z samego przodu — powiedziałam. — Ja usiądę zaraz za tobą i pomogę ci kierować. Trzymaj linki w obu dłoniach. Kiedy powiem ci „ciągnij w prawo”, pociągniesz. Albo w lewo. No, dobra. — Dałam znak Jennie. — Popchnij nas.

Na sankach stoczyła się cała gromadka dzieciaków, zbocze było wyślizgane i sanie z hurkotem pognały w dół. Pęd powietrza mógł naprawdę przyprawiać o zawrót głowy. Nora zaczęła piszczeć z uciechy. Krzyknęłam, by ciągnęła w prawo i posłusznie szarpnęła za linkę. W rzeczywistości to ja kierowałam pojazdem, ale Nora o tym nie wiedziała. Szczęśliwie zjechaliśmy na sam dół i zatrzymaliśmy się. Obejmowałam swoją córkę, swoją pierworodną, rozpromienioną i uradowaną. Pochyliłam się i pocałowałam ją we włosy. Czapka zsunęła się jej na sam czubek głowy.

— Chcesz zjechać jeszcze raz? — spytałam ją.

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

— Och, tak, bardzo! Mogę znów pokierować?

Zjechaliśmy jeszcze cztery razy, chociaż byłam tak zmęczona, że nie miałam siły ciągnąć naszego pojazdu pod górkę.

W pewnej chwili spostrzegłam kołyszące się w ciemnościach latarnie. Ludzie z domu na Wzgórzu szli w naszą stronę, szukając Nory.

— Obawiam się, że to ciebie szukają — powiedziałam. — Dobrze się bawiłaś?

— Och, tak. To była wspaniała zabawa. Czy mogę jutro znów przyjść?

— Możesz przyjść zawsze, kiedy tylko usłyszysz, jak zjeżdżamy ze Wzgórza.

— Dziękuję.

— Jak to się stało, że tym razem nikt nie przyszedł z tobą?

— Uciekłam z domu.

— Cóż, jeśli nie będziesz uciekała dalej niż dzisiaj, nic złego ci nie grozi. A teraz biegnij. Wracaj, zanim ci biedacy szukając cię nie zamarną na śmierć.

Przyjrzała mi się badawczo, jakby chciała mnie ocenić.

— Uważam, że jest pani bardzo miła. Wcale nie sędzę, że jest pani zła. Patty też bardzo lubię.

Objęła mnie, a po chwili pobiegła, wykrzykując coś do ludzi wysłanych na jej poszukiwanie.

Usadziłam zmęczoną Patty na naszym wehikule, okręciłam ją kocem i razem z Jennie zaczęłyśmy ciągnąć nasz śnieżny pojazd w stronę domu.

— Nora to dobre dziecko — odezwała się Jennie. — Nie zepsuli jej do końca.

— Dobrze się dziś bawiła — powiedziałam. — Zapomniała wszystko, czego jej uczyli o trzymaniu się z daleka od takiej hołoty jak my. Jutro znów będzie ich córką, ale Bóg mi świadkiem, że dziś była moim dzieckiem.

— Widziałam, jak cię pocałowała. Myślisz, że rozpoznała w tobie matkę? Kogoś, kogo powinna kochać?

— Nie, Jennie, to był tylko odruch wywołany chwilą szczęścia.

— Mimo wszystko to dobry znak, że jest zdolna do miłości, że nie jest samolubna i zrozumiła jak reszta mieszkańców domu na Wzgórzu.

— Kiedy Patty mówi o Norze, używa słowa „zrozumiła”. Nie wydaje mi się, by Nora mogła na to coś poradzić. Mam tylko nadzieję, że zrozumiłość, którą jej wpoiili, nie sięga zbyt głęboko.

Jennie obejrzała się do tyłu. Patty usnęła jak kamień i mało nie spadła na ziemię. Jennie usadowiła ją tak, by nie groził jej upadek i przyłączyła się do mnie.

— Zauważyłaś, że obie dziewczynki są bardzo do siebie podobne?

— Och, tak. Trudno tego nie dostrzec.

— Osobiście uważam, że Patty jest ładniejsza. Maeve, mam nadzieję, że pewnego dnia dowiedzą się, że są siostrami, i pokochają się. Obecna sytuacja jest nienaturalna. Byłyby szczęśliwe wychowując się razem.

Skręciłyśmy za róg i ujrzałyśmy światła naszego domu. Choć wieczorna zabawa z Patty i Norą sprawiła mi dużo radości, czułam jakiś niepokój. Właściwie nie wiedziałam, co go wywołało. Zastanowiłam się głębiej i przypomniałam sobie, że już kiedyś odczuwałam to samo — było to wtedy, kiedy utonął mój ojciec oraz tuż przed powrotem Joela z jego ostatniej wyprawy do Dublina. Ciekawa byłam, czy zwierciadło coś by mi powiedziało, ale postanowiłam o nic go nie pytać. To, co ujrzałam ostatnim razem, zupełnie mi wystarczało.

Jennie położyła Patty do łóżka, a ja z rozkoszą piłam parującą kawę przygotowaną przez Glena. Opowiedziałam mu, co zaszło.

— I bardzo dobrze — powiedział. — W ciągu jednego wieczoru zatarłaś złe wrażenie wywołane opowieściami, którymi karmili Norę. Jeśli ponownie będą jej próbowali wmówić, że jesteś złą kobietą, nie uwierzy im tak łatwo.

— Taka jestem szczęśliwa. Jeśli chcesz, możesz to zdarzenie nazwać drobnostką, ale dla mnie było czymś wielkim i ważnym. Ważnym i wspaniałym. — Podeszłam do niego, pocałowałam go i przytuliłam się. — Ty też jesteś wspaniały, mój najdroższy.

— A do tego jestem szczęściarzem — powiedział z uśmiechem. — Ale bardzo zmęczonym szczęściarzem. Przez te mrozy dużo ludzi choruje. Mam trzy przypadki zachorowań na zapalenie płuc. Wśród chorych nie ma osób w podeszłym wieku, więc mają szansę wyzdrowieć.

— A co z Abnerem? Widziałeś go ostatnio?

— Wczoraj zatrzymałem go na ulicy. Był kompletnie pijany i bardzo

szczęśliwy. Utrzymuje, że jak na razie nie ma żadnych problemów, ale choroba rozwija się i kiedy dojdzie do ostatniego stadium, Abner nie pociągnie długo.

— Kochanie, zapomniałeś, że Abner zginie śmiercią gwałtowną.

— Naprawdę w to wierzysz?

— Wydawało mi się, że ciebie też przekonałam swoją opowieścią o zwierciadle.

— Owszem, ale od tego czasu... wraz z upływem każdego dnia moja wiara słabła. Wybacz mi.

— Nie mam do ciebie pretensji — powiedziałam. — To niezwykle, że taki kawałek metalu potrafi tylko mnie jednej ukazać obrazy z przyszłości.

— Czy przy Patty też zachowa swoją czarodziejską moc? A co z Norą? Jak sądzisz?

— Wiem, że zachowa swoje właściwości. Kiedy Patty dorośnie, opowiem jej wszystko i przekonamy się. Jeśli chodzi o Norę, kto to wie? Jak dotąd nie udało im się zrobić z niej potwora, ale wszystko możliwe.

— Chodźmy do łóżka. Jestem wykończony.

Dawno nie byłam taka szczęśliwa jak tego wieczoru. Spałam twardo i zbudził mnie dopiero jakiś ruch w pokoju. Glen ubierał się po omacku, objając się o sprzęty i mrużąc coś pod nosem.

— Martha Berrett przysłała kogoś z wiadomością, że zaczęła rodzić — powiedział. — Miesiąc przed terminem. Obudzę Jennie, bo na pewno będzie mi potrzebna jej pomoc. Ty śpij sobie dalej.

— Z chęcią, jeśli nie masz nic przeciwko temu — powiedziałam.

Nawet nie słyszałam, jak wychodzili z domu i tylko przez sen dobiegły mnie odgłosy uruchamianego samochodu. Silnik był zupełnie zimny i nie chciał zapalić. Glen kilkanaście razy musiał zakręcić korbą.

Nie miałam pojęcia, jak długo spałam i do dziś nie wiem, co mnie obudziło, ale w pewnej chwili usiadłam gwałtownie na łóżku, bo dobiegł mnie jakiś dziwny odgłos. Ściany i podłogi naszego starego domu często skrzypiały podczas zimnej, suchej pogody i usłyszałam właśnie bardzo głośne skrzypnięcie. Pomyślałam, że może

obudziła się Patty i poszła do łazienki. Dobiegło mnie kolejne skrzyknięcie. Dochodziło od strony schodów.

Może wrócili już Glen i Jennie. Zapaliłam zapalną, by zobaczyć która godzina. Odjechali niespełna dwadzieścia minut temu. Zaczęło mnie ogarniać uczucie paraliżującego strachu. Ktoś był w domu i przemykał się ukradkiem. Ktoś obcy.

Księżyc, którego blask oświetlał zbocze wzgórza podczas wieczornej sanny, zaszedł. Na zewnątrz panowały gęste ciemności, przez okna sypialni nie wpadał najmniejszy promyczek światła. Nie widziałam nawet oparcia łóżka.

Znów wymacałam pudełko zapalek, wyjęłam jedną i spróbowałam zapalić lampkę stojącą na nocnej szafce. Zanim zdążyłam potrząsnąć zapalną, poczułam zimny podmuch powietrza. Najwidoczniej ktoś otworzył drzwi do sypialni.

Spuściłam nogi chcąc wstać. W tym momencie usłyszałam odgłosy szybkich kroków. Ktoś przewrócił mnie na wznak, zwałił się na mnie ciężko i chwycił rękami za szyję. Choć oczy miałam szeroko otwarte, nie mogłam rozpoznać napastnika. Poczułam z jego ust odór brandy. Zaczął mnie dusić, a jednocześnie brutalnie całować.

Wszystko to zdarzyło się w ciągu kilku sekund i w pierwszej chwili byłam tak zaskoczona, że nie próbowałam się nawet bronić, ale ten napawający obrzydzeniem pocałunek spowodował, że pierwsze przerażenie minęło i ogarnęła mnie zimna furia. Złapałam nieznajomego za włosy i szarpnęłam z całej siły. Ręce obejmujące mnie za szyję zwolniły nieco uścisk i zdołałam zaczerpnąć potężny haust powietrza. Udało mi się też podkurczyć nogę. Napierając kolanem na ciało napastnika jednocześnie ciągnęłam go za włosy.

Przez chwilę przemknęła mi przez głowę absurdalna myśl, żeby przypadkiem odgłosy tej samotniczki nie obudziły Patty. Ten człowiek chciał mnie zabić i nie miałam wątpliwości, że gdyby do sypialni weszła Patty, ją też by zamordował. Broniałam się zaciekle, ale nie miałam żadnych szans. Nie byłam godnym przeciwnikiem. Znów chwycił mnie za szyję i zaczął dusić. Czułam, jak słabnę. Nie miałam siły ciągnąć go za włosy. Ręce opadły mi bezwładnie wzdłuż ciała.

Wiedziałam, że za chwilę umrę. W ostatnim przeblysku świadomości pomyślałam, czemu zwierciadło królowej Maeve nie przestrzegło mnie przed tym.

Otoczające mnie ciemności stały się bardziej nieprzeniknione. Nieznajomy gwałtownie rozdarł mi koszulę nocną i po chwili poczułam na gołej piersi dotyk jego szorstkiej dłoni. Drugą ręką wciąż ścisnął mnie za gardło. Zupełnie opadłam z sił. To był już koniec. Za kilka sekund umrę. Nie było żadnej nadziei ratunku. W pewnym momencie poczułam, że nieznajomy przestał mnie przywalać swym cielskiem; zwolnił uścisk i znów mogłam oddychać. Nagle zorientowałam się, że jestem sama. Nieznajomy uciekł, choć nie wiedziałam dlaczego.

Usiadłam na łóżku oszołomiona, łapiąc powietrze, nie zaprzatając sobie głowy domysłami, czemu napastnik zniknął, ani nawet kim mógł być. Czułam jedynie bezgraniczną radość, że jakimś cudem wciąż żyję. Usłyszałam czyjeś głosy i jeszcze raz ogarnęła mnie panika. Po chwili z ulgą rozpoznałam, że byli to Glen i Jennie. Chciałam ich zawołać, ale nie mogłam wydobyć z obolałego gardła żadnego dźwięku. Usłyszałam odgłosy szybkich kroków i do sypialni wszedł Glen, a za nim Jennie. Kiedy zapaliła lampę gazową stojącą na okrągłym stoliku w rogu pokoju, odruchowo spróbowałam zasłonić obnażone piersi kawałkiem rozdartej koszuli. Glen wydał okrzyk przerażenia i podbiegł do mnie. Jennie wybiegła z pokoju. Wiedziałam, że popędziła do Patty, by sprawdzić, czy nic się jej nie stało.

— Maeve... co się stało? — spytał Glen. — Poczekaj... przyniosę ci szklanek wody...

Kiedy napiłam się zimnej wody, poczułam się trochę lepiej. Zaczęłam mówić głosem, który bardziej przypominał skrzeczenie. Glen okrył mi ramiona szlafrokiem.

— Ktoś włamał się do domu i napadł mnie. Chciał mnie udusić... zamordować. Nie wiem, co spowodowało, że uciekł...

— Mój Boże! Och, moja Maeve... — powiedział Glen.

Wróciła Jennie. Spojrzał przez ramię.

— Jak Patty? — spytał.

— Śpi jak aniołek. Co się tu stało?

— Jakiś włamywacz o mały włos nie zabił Maeve. Leć na dół i przynieś kieliszek brandy.

Glen położył mi delikatnie ręce na szyi. Kazał mi przetykać wodę i badał mięśnie szyi. Wolno pokiwał głową.

— Na pewno będziesz miała kilka siniaków, ale ktokolwiek to był, nie zamierzał cię zamordować.

— Glenie, nie mogłam oddychać...

— Wiem. Chciał jedynie, byś zemdląła. Gdyby miał zamiar cię zabić, zmiażdżyłby ci krtań, spowodowałby poważne obrażenia. Chciał cię jedynie podduścić. Czy domyślasz się, kto to mógł być?

— Nie. Glenie, próbował mnie pocałować. Poczułam z jego ust brandy.

— Na pewno nie widziałaś go, choćby przez mgnienie oka? Może zauważyłaś jego profil?

— Byłam tylko na poły rozbudzona, kiedy wszedł do pokoju i... i rzucił się na mnie. Przygniótł mnie całym ciężarem ciała i zaczął dusić. Złapałam go za włosy. Może mu kilka wyrwałam...

— Przekonajmy się. — Glen zapalił lampkę przy łóżku, by dodatkowo oświetlić pokój. Nic nie znalazł.

— Widocznie kiedy zaczęłam się bronić, byłam już bardzo słaba — powiedziałam. — Wydawało mi się, że chwyciłam go za włosy i z całej siły szarpnęłam. Tak, zgadza się, na moment przestał mnie nawet dusić, bo poczuł ból, ale później znów zaczął...

— Czy to był wysoki mężczyzna, czy niski? Potężny czy szczupły? Miał brodę?

— Nie wiem. Jak już powiedziałam, nie zdążyłam się całkowicie rozbudzić, a wypadki potoczyły się bardzo szybko. Och, Glenie, myślałam, że umrę. Wciąż nie wiem, co spowodowało jego ucieczkę.

— Nasz powrót. Informacja o tym, że pani Berrett zaczęła rodzić, była nieprawdziwa. Ktoś rzucił kamieniem w okno, obudził mnie i przekazał wiadomość. Nie rozpoznałem głosu, bo podobnie jak ty byłem zbyt zaspany. Kiedy razem z Jennie

dotarliśmy do domu Berrettów, wszyscy pogrążeni byli we śnie. Domyśliłem się, że specjalnie was wywabiono. Przypuszczam, że osoba, która nas skłoniła do wyjścia, a potem na ciebie napadła, zapomniała, że samochód jest o wiele szybszy od powozu. Wróciliśmy po kilku minutach. Usłyszał odgłos nadjeżdżającego auta i uciekł. Skorzystał chyba z wyjścia kuchennego.

— Już nigdy więcej nie będę narzekała, że samochód śmierdzi jak zaraza — powiedziałaś siląc się na uśmiech.

— Mamy tylko jeden punkt zaczepienia — powiedział Glen nie zwracając uwagi na moje ostatnie słowa. — Powiedziałaś, że poczułaś od niego zapach brandy.

— Powiedziałabym raczej odór.

— Jesteś całkowicie pewna, że to była brandy?

— Całkowicie.

— Brandy nie należy do zbyt popularnych trunków wśród mieszkańców miasta, bo nikogo na nią nie stać. Ale powszechnie spożywana jest przez mieszkańców domu na Wzgórzu. Widzisz, do czego zmierzam?

— Ktoś stamtąd...?

— To była próba ponownego okrycia cię niesławą. Biorąc pod uwagę te kłamstwa, które rozpowszechniają od lat, można przyjąć, że niektórzy ludzie w mieście nie uwierzyliby, że stałaś się ofiarą przemocy.

— Glenie, trudno mi sobie coś takiego wyobrazić. Prawda, że to źli ludzie, ale żeby dopuścić się czegoś takiego...

— Rozsiewają te kłamstwa, odmówili oddania ci córki, zmienili jej imię, pozwolili jej uwierzyć w to, że Helen jest jej matką. Dopuszczają się odrażających czynów, a to, co próbowali zrobić tej nocy, jest równie odrażające. Wieczorem widziałaś się z Norą. Poczula do ciebie sympatię i wygadała się. To, co cię spotkało dziś w nocy, było rodzajem ostrzeżenia, co ci grozi, jeśli nie przestaniesz czynić prób widzenia się z córką.

Choć miałam na sobie gruby, flanelowy szlafrok, wstrząsnął mną dreszcz.

— Czy możemy coś zrobić?

— Nic mi w tej chwili nie przychodzi do głowy. Nie mamy żadnego dowodu. Nie możemy nawet udowodnić, że w ogóle coś takiego miało miejsce, a oni oczywiście wszystkiemu zaprzeczą. Mieszka tam czterech mężczyzn. Przeanalizujemy, czy mógłby to być jeden z nich. Loran. Jest wysoki, potężnie zbudowany.

— To mógł być Loran, choć jako jedyny, nie licząc Abnera, od czasu do czasu bierze moją stronę. O ile sobie przypominam, pija brandy.

— Oni wszyscy piją brandy. Gabriel, ojciec Joela.

— To człowiek wyniosły i według mnie zdolny do wszystkiego najgorszego, ale... Nie wiem.

— A Ashley? Mąż Helen?

— To mógł być Ashley. Tak, to całkiem możliwe. Bo chociaż byłam już bardzo słaba, udało mi się na chwilę powstrzymać go od duszenia mnie. Ashley nie jest silnym mężczyzną. To mógł być on.

— Bardzo prawdopodobne. Ma na swoim sumieniu kilka drobnych grzeszków. Podejrzewam, że kiedy wyjeżdża gdzieś w interesach, nie wyrastają mu nagle anielskie skrzydełka. Ale jest jeszcze ktoś.

— Abner? Och, Glenie, nigdy w to nie uwierzę.

— Abner to dziwny człowiek. Zawsze był miły i sympatyczny, ale kiedy się dowiedział, że jest poważnie chory, zmienił się nie do poznania. Nie zależy mu na tym, co ludzie o nim mówią. Podejrzewam też, że zawsze się w tobie podkochał. Może się upił, jakby kiedykolwiek był trzeźwy... i stracił panowanie nad sobą. Abner pija tylko brandy.

— Gdyby to był Abner, czy to, co chciał zrobić, uczynił sam z siebie, czy na żądanie rodziny?

— Trudno mi powiedzieć. Pamiętaj, że to wszystko jedynie domysły. Nie mamy żadnych dowodów.

Napiłam się brandy, którą przyniosła mi Jennie, zanim ponownie udała się do Patty, by sprawdzić, czy się aby nie obudziła.

— Co możemy zrobić?

Glen delikatnie pogłaskał mnie po włosach.

— Niewiele, ale od tej pory będę się starał nie zostawiać cię samej. A teraz spróbuj zasnąć.

— Dobrze — powiedziałam. — Cóż to za wstrętni, zdemoralizowani ludzie!

Jeszcze dosyć długo po tym wypadku budziłam się w środku nocy i zatykałam sobie usta ręką, by powstrzymać się od krzyku.

Tamtej zimy nie spotkałam się więcej z Norą, chociaż razem z Patty i Jennie często wybierałyśmy się na Wzgórze, by zjeżdżać na sankach. Widocznie dobrze pilnowano Norę. Kilka razy widziałam, jak przywożono ją do szkoły w wytwornym powozie, i pewną satysfakcję sprawiło mi odkrycie, że nosi mundurek podobny do tych, jakie nosiły wszystkie dziewczynki. Uszyty został bez wątpienia przez jakiegoś pierwszorzędnego krawca, z pierwszorzędnego materiału, ale fason był identyczny jak pozostałych mundurków. Odniosłam więc pewne zwycięstwo.

Nie przyszłam na następne zebranie zarządu. Wciąż odczuwałam złość i wzburzenie na myśl o ich zachowaniu podczas poprzedniego zebrania. Ale po upływie sześciu miesięcy znów udałam się na spotkanie udziałowców.

Powitano mnie bardzo chłodno. Abnera nie było i nie pojawił się do samego końca. Ashley, podobnie jak poprzednio, też był nieobecny, podejrzewam, że z tego samego powodu co pół roku temu. Ktoś musiał pilnować Nory.

Z miejsca przystąpiłam do rzeczy.

— Wnioskuje, by od najbliższej wypłaty podnieść płace robotników zgodnie z ogólnie występującymi tendencjami w tej dziedzinie. I skrócić godziny pracy.

Nikt z obecnych nie okazał się na tyle dobrze wychowany, by w jakikolwiek sposób zareagować na mój wniosek. W ogóle nie zwrócili uwagi na moje wystąpienie. Równie dobrze mogłabym się wcale nie odezwać. Usiadłam kipiąc gniewem i zadawałam sobie pytanie, po co tu w ogóle przyszłam.

Loran zwrócił się do zebranych.

— Poczynając od poniedziałku fabryka przechodzi na ośmiogodzinny dzień pracy, sześć dni w tygodniu. Takie posunięcie wymaga zgody wszystkich

udziałowców. Proszę o poddanie go głosowaniu.

— Chwileczkę — odezwałam się. — Będę głosowała, ale dopiero gdy powiedziane zostanie wszystko. Zbyt dobrze was znam, by uwierzyć, że ustępujecie z czystej dobroci serca.

— Płace zostaną podniesione o dwa procent. Będzie obowiązywała stawka godzinowa.

— To znaczy, że robotnicy będą zarabiali znacznie mniej niż dotychczas — powiedziałam.

— Ale będą również znacznie krócej pracowali — z przekąsem zwrócił mi uwagę ojciec Joela.

— Co pociągnie za sobą zmniejszenie wielkości produkcji i poziomu zysków — dodał Loran.

— Głosuję przeciwko — powiedziałam.

— Głosujesz przeciwko wnioskowi, który od ponad roku usilnie próbowałaś przeforsować — zauważył ojciec Joela.

— Nasi robotnicy już teraz ledwo wiążą koniec z końcem. Jeśli zaczną dostawać jeszcze niższe pensje, skrócony dzień pracy nie będzie dla nich żadnym dobrodziejstwem. Chyba że chcecie, by mieli trochę więcej wolnego czasu na to, by zdać sobie sprawę z beznadziejności swego położenia.

— Wniosek przeszedł większością głosów — ogłosił Gabriel Cameron.

Nie byłam w stanie im przeszkodzić, ale mogłam się z nimi trochę podrażnić.

— Co skłoniło was do takiego kroku? Na pewno nie wasza szlachetność, bo to uczucie jest wam obce. Coś się musi za tym kryć. Chcę zobaczyć księgi rachunkowe.

— Nie zgadzam się — ostrym tonem powiedział ojciec Joela.

Wstałam.

— Polecę mojemu adwokatowi, by przysłał biegłych. Zresztą i tak najwyższy czas, by zrewidować księgi. Życzę państwu miłego dnia.

— Interesy idą kiepsko — powiedział Loran. — Jest za mało pracy, by jej wystarczyło na dwanaście godzin, sześć dni w tygodniu. Zaczekaj chwilkę, Maeve.

— Czy musisz się tłumaczyć tej awanturnicy? — spytała matka Joela. — Kończmy już, bym nie musiała dłużej znosić jej obecności.

— Evelyn — powiedział Loran — pani Kinnery ma prawo tu być i głosować. Maeve, kręcisz się po mieście. Co ludzie szepczą między sobą? Czy grożą nam jakieś kłopoty?

— Ludzie nie szepczą, panie Cameron — powiedziałam. — Głośno, nie kryjąc się, mówią to, co myślą. Nadciąga burza. Lepiej stłumić ją w zarodku.

— Ta kobieta próbuje nas przestraszyć — oświadczyła sarkastycznie Marcy Tabor.

— Możecie sobie myśleć, co chcecie — powiedziałam. — Jeszcze nie jest za późno, ale w przyszłym tygodniu... kto to wie. Jeśli dziś interesy stoją kiepsko, wkrótce może w ogóle nie być zamówień. Nie musicie otwierać swoich serc, ale powinniście otworzyć oczy. W przeciwnym razie przysięgam, że pożałujecie.

— W obecności tej kobiety — oświadczył ojciec Joela — nie można przeprowadzić zebrania jak należy. Ogłaszam więc jego zamknięcie.

Wyszli wszyscy, zostawiając mnie w pokoju samą. Zastanawiałam się, jak długo jeszcze będę w stanie znosić takie obraźliwe traktowanie. Intrygowało mnie, czemu Abner nie przyszedł na spotkanie. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Czy jest możliwe, żeby właśnie on wdarł się do mojej sypialni i zbyt się wstydził swego czynu, by stanąć ze mną twarzą w twarz? Przyjrzałam się uważnie ojcu Joela i skreśliłam go jako ewentualnego napastnika. Mógł nim natomiast być Loran. Nie widziałam już dość dawno męża Helen, więc trudno mi było dojść do jakichś wniosków, ale jeśli się nie zmienił, wątpiałam, by potrafił zebrać w sobie dość odwagi, żeby włamać się do ciemnego domu, nie mówiąc już o tym, by popełnić w nim jakąś zbrodnię.

Opuściłam gabinet. Kiedy przechodziłam przez dużą salę, urzędnicy siedzieli ze wzrokiem utkwionym w dokumenty. Pracować czując aż taki strach przed przełożonymi musiało być czymś okropnym. Chciałam przejść się między biurkami, życzliwie porozmawiać z pracownikami, ale tylko bym ich bardziej przeraziła i wprawiała w zakłopotanie. Baliby się, że Cameronowie zemściliby się na każdym

pracownika, który odważyłby się do mnie uśmiechnąć.

Wróciłam do domu i zadzwoniłam do kilku fabryk, którym sprzedawaliśmy większość naszych produktów. Dowiedziałam się, że popyt na tkaniny bawełniane bardzo spadł. Wypierały je wełny, jedwabie i len. Kobiety były oczarowane jedwabnymi pończochami i kupowały je coraz częściej, a to oznaczało, że nasze przędzalnie nie musiały wytwarzać tyle bawełny co dawniej, z przeznaczeniem na wyroby pończosznicze.

W całym przemyśle panował zastój. Żadna gałąź nie prosperowała tak jak pięć czy sześć lat temu. Prawdopodobnie rynek zarzucony był wszelkiego rodzaju produktami — nie wyłączając tkanin bawełnianych.

— Wprowadzą ośmiogodzinny dzień pracy, bo są do tego zmuszeni — powiedziała Glenowi i Jennie. — Ale mają dość pieniędzy, by równocześnie nie obniżać pensji.

— Powinnaś też wiedzieć — powiedziała Jennie — że podnieśli ceny w sklepie fabrycznym. Masło kosztuje teraz dwadzieścia centów, chleb — osiem, jajka — osiemnaście. Podrożały wszystkie artykuły pierwszej potrzeby.

— Od kiedy? — spytałam.

— Od dzisiaj. Jednocześnie na fabrycznej tablicy ogłoszeń wywieszono nowe godziny pracy: od ósmej do piątej.

— Będą kłopoty — powiedział Glen. — Obawiałem się tego już od jakiegoś czasu. Ich decyzja przyśpieszy bieg wypadków. Powiem ci o czymś jeszcze, co do tej pory trzymane jest w tajemnicy. Sześć miesięcy temu Cameronowie mogli uzyskać bardzo duże zamówienie rządowe, gdyby zgodzili się na trochę mniejszy zysk, skrócili czas pracy i podnieśli pensje. Nie zaakceptowali tych warunków.

Jennie powiedziała bardzo cicho:

— Jeśli ktoś chciałby podpalić fabrykę, sama dałabym mu zapalki. Oto co odczuwam, choć nawet tam nie pracuję.

— Sytuacja jest okropna, a najbardziej martwi mnie to, że choć nie mogę nic zrobić, jestem za nią w jakiś sposób odpowiedzialna.

— Wszyscy w mieście widzą, że robisz, co możesz — powiedział Glen. — Wiedzą, że swoją część zysków przeznaczasz w dużym stopniu na poprawę warunków życia w mieście. Nikt nie ma do ciebie pretensji o to, co się dzieje w fabryce.

— Myślisz, że wkrótce dojdzie do konfliktu? — spytałam Jennie.

— Z tego co słyszę, ludzie mają już za sobą etap narzekania i są bardzo wzburzeni. Dzisiejsze posunięcie Cameronów może być kroplą, która przepełni czarę, iskrą, która wywoła wybuch.

— Jeśli zacznie się strajk, Cameronowie wstrzymają wszelkie wypłaty — powiedziałam. — Już jakiś czas temu zagrozili, że to zrobią. A kiedy ludzie nie dostaną pieniędzy, nie będą mieli za co kupić jedzenia, bo sklep fabryczny odmówi im sprzedaży na kredyt. Nie będą mieli z czego zapłacić czynszu. Należność za czynsz potrącana jest co tydzień, przy każdej wypłacie. Jeśli Cameronowie nie otrzymają pieniędzy za czynsz, postarają się o sądowy nakaz eksmisji robotników zalegających z komornym.

— Może tak by było lepiej — zauważyła Jennie. — Wyjechaliby stąd i znaleźli sobie pracę gdzie indziej.

— Nie, Jennie — powiedział Glen. — Oni znają się na pracy tylko w fabryce włókienniczej, a z tego, czego się dziś dowiedziała Maeve, wynika, że inne fabryki włókiennicze też mają kłopoty. Obawiam się, że nasi robotnicy nigdzie nie znaleźliby sobie pracy. Przykro mi to mówić, ale nie pora teraz, by strajkować i buntować się przeciwko Cameronom.

— Czy mają potulnie się na wszystko godzić i umrzeć z głodu? — spytała zaperzona Jennie.

— Nie będą głodowali — powiedziałam. — Już moja w tym głowa.

— Jeśli poczekają na właściwy moment, mogą coś osiągnąć — ciągnął Glen. — Ale działanie w odruchu rozpacz przeciwko takiej bandzie jak Cameronowie zakończy się klęską na całej linii. Ani się obejrzą, a zostaną starci na proch.

— Jedno jest pewne — powiedziała Jennie. — Z pogłosek na mieście

wnioskuje, że coś się szykuje. Obawiam się, że robotnicy wyjdą na ulicę. Będą ich setki, setki zdesperowanych ludzi, niezdolnych do logicznego rozumowania. Boję się. Naprawdę boję się, jak nigdy dotąd.

Mnie również ogarnął strach, i to jeszcze większy niż Jennie, bo nagle zrozumiałam, co ukazało mi zwierciadło. Wybuchną zamieszki i podczas nich zginie Abner. Nie mogłam nic zrobić, by temu zapobiec. Abner nawet by mnie nie wysłuchał. Wyśmiałby przepowiednię zwierciadła albo, gdyby w nią uwierzył, prawdopodobnie z radością oczekiwłby jej spełnienia.

Glen był również zaniepokojony, głównie dlatego, że nie mogliśmy nic zrobić, by powstrzymać nadciągającą burzę.

— Nieraz mówiłem, że powinniśmy wynieść się z tego miasta. Teraz też tak myślę. Czy możemy tu coś zrobić? Cameronowie nie wysłuchają ciebie, Maeve, mimo że jesteś jednym z głównych udziałowców. Ludzie nie usłuchają mnie, chyba że moje słowa będą dotyczyły kwestii leczenia. Nastąpi wybuch, a my znajdziemy się w samym jego centrum.

— Znowu plecie głupstwa — powiedziała Jennie z łagodną przyganą. — Miał setki okazji, by stąd wyjechać i nigdy z nich nie skorzystał.

— Tym razem jest inaczej — mruknął Glen. — Przez tyle lat walczyliśmy z Cameronami i niczego nie osiągnęliśmy.

— Moja córka przytuliła się do mnie i powiedziała, że mnie lubi — przypomniałam mu. — Według mnie to olbrzymi krok do przodu. Uważam, że nie powinniśmy działać pochopnie. Poza tym jeśli wyjedziemy, Cameronowie uznają to za całkowite zwycięstwo i prawdopodobnie wprowadzą w fabryce rozmaite nowe przepisy.

— Glenie, pójdę do starego Matta Simona — powiedziała Jennie. — Skończyły mu się lekarstwa.

Glen skinął głową i poszedł do gabinetu, by przygotować środek przeciwbólowy dla owego starszego mężczyzny, który konał powoli w wielkich boleściach. Jennie zwróciła się do mnie.

— Maeve, doszły mnie jeszcze inne niepokojące wieści. Urzędnicy, opierając się na tym, co podsłuchali podczas jednej z rodzinnych narad, mówią, że Cameronowie ponownie rozważali wstrzymanie Glenowi honorarium za leczenie robotników. Nie powiedziałam mu tego, bo i tak jest dość wzburzony.

— To nie ma żadnego znaczenie — uspokoiłam ją. — Nie zmuszą nas w ten sposób do wyjazdu. Będę mu płaciła honorarium z mojej części zysków.

— Nie wątpię, ale to jeszcze jedna metoda wywarcia presji na robotników. Cameronowie są głęboko przekonani, że jeśli ich zastraszą, wówczas ludzie będą się bali domagać więcej pieniędzy lub grozić strajkiem.

— Sądysz, że tak łatwo można ich zastraszyć?

— Wiem, że nie i dlatego tak się martwię. To ich tylko bardziej rozdrażni.

Glen wrócił z buteleczką lekarstwa i Jennie poszła do Matta. Glen najwidoczniej czekał, aż zostaniemy sami.

— Problemy w fabryce mogą doprowadzić do wybuchu zamieszek. Właśnie to cię tak martwi, prawda? Właśnie o tym mówiło zwierciadło, kiedy ukazało ci rozgniewany tłum wymachujący rękami.

— Tak, wkrótce przepowiednia zwierciadła się spełni. Dojdzie do zamieszek i Abner zginie. Nie możemy temu zapobiec, Glenie. Jesteśmy zaledwie dwójką bezsilnych ludzi. Przepowiednia zwierciadła musi się spełnić.

*

Jednak przez najbliższy tydzień w mieście panował spokój. Każdego ranka syrena fabryczna ogłaszała początek pracy, a o piątej jej koniec. Robotnicy mieli trochę więcej wolnego czasu, ale jednocześnie trochę mniej pieniędzy na jedzenie. Już poprzedni poziom płac nie wystarczał na zaspokojenie podstawowych potrzeb, więc wszelkie redukcje mogły wywołać poważne skutki. Była to cisza przed burzą.

Właściwie wszystko zaczęło się, kiedy sądziłam, że wciąż jeszcze jest spokój. Pewnego razu Jennie powiedziała mi, że na fabrycznej tablicy ogłoszeń pojawiła się informacja o spadku produkcji. Ostrzegano robotników, że jeśli sytuacja się nie poprawi, zostaną przedsięwzięte odpowiednie kroki.

Wyprowadziłam z szopy bryczkę. Nie polegaliśmy jeszcze wyłącznie na samochodzie, zresztą i tak nie potrafiłam jeździć tym potworem, więc nadal trzymaliśmy konie. Pojechałam do fabryki i na tablicy ogłoszeń przeczytałam nowy komunikat, o którym Jennie jeszcze nie słyszała.

Przed tablicą stała grupka robotników. Kiedy wysiadłam z bryczki, odeszli na bok, patrząc na mnie spode łba, jakby utożsamiali mnie z rodziną Cameronów. Został jedynie siwowłósy Mike Fallon, jeden ze starszych majstrów.

Zdjął czapkę i skinął mi głową, ale jego twarz pozostała chmurna.

— Niedobrze, pani Kinnery. Tym razem posunęli się za daleko.

Zbliżyłam się do tablicy. Wisiało na niej poprzednie ogłoszenie, nakazujące zwiększenie wydajności. Obok wywieszono nowy komunikat, w którym zapowiadano tygodniowy urlop bezpłatny.

— To głupcy, panie Fallon — zwróciłam się do starszego mężczyzny.

— Są głupcami i zawsze nimi zostaną. Jeszcze nie wszyscy robotnicy czytali ten komunikat, ale widziała pani kilku, którzy się z nim zapoznali. Za chwilę przekażą tę wiadomość pozostałym.

— Czy to prawda, że produkcja spadła?

— Tak. Obcięto ludziom płace. Już to, co zarabiali poprzednio, nie starczało im na życie. Obecna redukcja plac oznacza jeszcze większe zadłużenie, a co za tym idzie, całkowite uzależnienie od Cameronów. W tej sytuacji ludzie przestali się przykładac do pracy. Ci biedacy zapomnieli, że Cameronowie nie słuchają rozkazów, tylko je wydają. Ale wszystko ma swój kres, pani Kinnery. I nastąpi on już wkrótce.

— Czy zna pan jakiś sposób zapobieżenia kłopotom? — spytałam.

Pokręcił siwą głową.

— Nie jestem aż taki mądry. Ale obawiam się, że nie istnieje. Jedynym sposobem wybrnięcia z tej sytuacji jest przywrócenie poprzedniego poziomu plac, utrzymanie ośmiogodzinnego dnia pracy i wycofanie się z pomysłu urlopu bezpłatnego. Założę się, że w ponad stuletniej historii tej fabryki na tablicy ogłoszeń po raz pierwszy pojawił się wyraz „urlop”. Do tej pory w obecności robotników nikt

głośno nawet nie wypowiedział tego słowa.

— Wiem. Mam nadzieję, że jakoś się uda zapobiec kłopotom. Pójdę zobaczyć się z panem Loranem Cameronem. On jeden wydaje się mieć nieco zdrowego rozsądku. Postaram się przekonać go, by zrezygnowali z okresowego zamknięcia fabryki.

— Może mu pani powiedzieć, że jeśli tego nie zrobią, wszystkich, nie wyłączając Cameronów, czeka bardzo długi urlop. Może będą musieli nawet odbudowywać zakłady. Ludzie są wściekli i każdego dnia stają się coraz bardziej nieobliczalni.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — powiedziałam.

Udałam się bryczką do budynku, gdzie mieściły się biura fabryki, i weszłam do środka. Minełam sekretarkę, która próbowała mnie zatrzymać, ale kiedy zobaczyła wyraz mojej twarzy, rozmyśliła się. Nie pukając weszłam do gabinetu Lorana. Siedział za swoim olbrzymim biurkiem i palił cygaro z miną człowieka całkowicie z siebie zadowolonego.

— Oho, przeczuwam kłopoty — powiedział, kiedy się zbliżyłam.

— Panie Cameron, jestem właścicielką jednej trzeciej udziałów fabryki i nie chcę, by została zniszczona. Nie zamierzam o nic prosić ani pana, ani ojca Joela. Chciałam tylko panu coś powiedzieć i radzę, by mnie pan uważnie wysłuchał.

Odchylił się na oparcie i wypuścił kłęb dymu.

— Ten urlop bezpłatny jest karą za to, że robotnicy opuścili się w pracy. Niezwykle okrutną karą. Taki pomysł mógł się zrodzić tylko w umyśle człowieka całkowicie zdeprawowanego. Utrata tygodniówki zniweczy wszelkie nadzieje tych ludzi na wydostanie się z długów. Ale nie w tym rzecz.

— Jak większość kobiet mówisz bez ładu i składu — oświadczył cierpliwie Loran. — Ale mów dalej. Choć wiem, co zamierzasz powiedzieć.

— Nie wydaje mi się. Siedzisz tu razem z innymi jak gdyby nigdy nic, nie zdając sobie sprawy z tego, na co się zanosi. Związki są coraz silniejsze. Tylko czekają na podobne okazje, kiedy robotnicy są niezadowoleni i rozżaleni. Wtedy

pojawiają się i z łatwością zdobywają sobie posłuch. Nie będziecie mieli do czynienia z tłumem zadłużonych u was ludzi, ale ze związkiem, który przeciwstawi się wam, a nawet wezwie was przed sąd. Istnieją specjalne sądy pracy, powołane do rozpatrywania takich spraw jak ta. Uważam, że fabryka złamała obowiązujące prawo.

— Możemy spać spokojnie. Nigdzie w okolicy nie działają jeszcze związki, więc nie pojawią się i u nas. Nikt się nie dowie, co się tu dzieje. Zresztą jesteśmy właścicielami fabryki i możemy robić, co nam się podoba.

— Związki dowiedzą się o wszystkim — powiedziałam.

— Jeśli któryś z robotników zwróci się do nich o pomoc, zostanie wyrzucony z pracy i w przeciągu jednej godziny będzie musiał opuścić miasto.

— To nie robotnicy się do nich zwrócą. Ja ich o wszystkim poinformuję i jako udziałowiec zwrócę się również do władz stanowych o skontrolowanie panujących tu warunków pracy. Przez całe lata postępowaliście ze mną, jak chcieliście. Odebraliście mi córkę, okłamaliście ją, groziliście mi fałszywymi oskarżeniami. Robiliście rzeczy, o których trudno mówić, ale mam już tego dosyć. Za godzinę — dam wam tyle samo czasu, ile wy dajecie robotnikom na wyprowadzenie się z domu — udam się pod tablicę ogłoszeń obok głównej bramy. Jeśli nie ujrzę tam nowego komunikatu, anulującego ten urlop bezpłatny, natychmiast skontaktuję się z przedstawicielami związku i władzami stanu. Najwyższa pora, by w tym mieście zapanowała sprawiedliwość. Daję wam godzinę!

Wyszłam, zanim zdołał wypowiedzieć choćby słowo. Nie wróciłam do domu. Pojechałam pod bramę główną i zatrzymałam bryczkę tak, żeby widzieć tablicę ogłoszeń. Spojrzałam na zegarek. Postanowiłam nie dać im ani minuty więcej.

Trzydzieści pięć minut po moim wyjściu z gabinetu Lorana jeden z urzędników podszedł do tablicy. Zerwał obwieszczenie o urlopie i przyczepił jakieś nowe. Zbliżyłam się do tablicy, a pan Fallon przyłączył się do mnie. Nowy komunikat informował o odwołaniu urlopu bezpłatnego.

— Dobrze się stało — powiedział pan Fallon. — Może na jakiś czas niebezpieczeństwo zostało zażegnane, ale nie powstrzyma to spadku wydajności

pracy. Robotnicy pracują tylko tyle, za ile im płacą. Jeśli dyrekcja szybko nie Przedsięweźmie jakichś kroków, i tak czekają ją kłopoty. Niewiele brakuje do wybuchu niezadowolenia wśród robotników.

— Wiem. Ale przynajmniej nie dojdzie do niego dziś wieczorem — odparłam.
— A to już pewne pocieszenie.

Do wieczora Glen i Jennie dowiedzieli się, co zrobiłam. Żadne z nich nie było w zbyt optymistycznym nastroju.

— Zmusiłaś ich do ustępstwa — powiedziała Jennie. — Oni tego nie lubią i na pewno ci nie darują. Zobaczysz. Nigdy nie pozwalają, by ktokolwiek postawił na swoim, by sprzeciwił się ich woli.

— Niestety, zgadzam się z Jennie — dodał Glen. — Od tej pory ani na chwilę nie zostawimy cię samej. Nie wychodź sama na miasto, zamykaj drzwi na klucz. W szufladzie stolika obok łóżka będę trzymał naładowany pistolet. Jeśli jeszcze raz dojdzie do podobnego napadu jak poprzednio, nie zawahaj się użyć broni.

— Próbowali już wszystkiego i nie udało im się mnie złamać. Nadeszły nowe czasy. Cameronowie prowadzą wojnę, którą przegrają, jeśli nie zmienią sposobu swego postępowania.

— Nie zmienią. Nie potrafią żyć, nie wyzyskując robotników — powiedziała Jennie.

— Już się ich nie boję — oświadczyłam. — Nawet gdyby rozgłosili ten stek kłamstw dotyczących, jak to określają „mojego moralnego prowadzenia się”, nie sądzę by mieszkańcy miasta im uwierzyli. Wymyka im się z rąk władza, jaką mieli nade mną. Odczekam jeszcze trochę i odzyskam swoją córkę.

— Najdroższa, nie licz na to zbyt. Są wciąż bogaci i wpływowi. Kiedy nadejdzie właściwy moment, skorzystamy z niego, ale naprawdę musi to być właściwy moment.

— Taka chwila nadejdzie — powiedziałam z przekonaniem.

— Podobnie jak dojdzie do zamieszek mimo wszelkich naszych prób przeciwdziałania im.

Jennie uniosła wzrok.

— Czemu jesteś tego taka pewna?

— Oboje mamy takie przeczucie — wtrącił Glen. Najwyraźniej nie chciał, bym powiedziała jej o zwierciadle.

— Cóż, mówiąc szczerze, ja też się tego obawiam — odparła Jennie.

— A właściwie skąd masz te wszystkie informacje? — spytał Glen. — Wydaje mi się, że wiesz więcej od innych.

— Często spaceruje z tym przystojnym Williem Markhamem — powiedziałam spoglądając spod oka na Jennie, która była taka nieśmiała, że natychmiast się zapłoniła.

— A więc to tak! — wykrzyknął Glen. — Zastanawiałem się, czemu tak często wychodzisz z domu. Willie to bardzo dobry człowiek.

— My tylko... tylko sobie spacerujemy — bąknęła Jennie.

— Jako kierownik biura z pewnością wie, co w trawie piszczy — powiedział Glen. — Bądź ostrożna i nie sprowadź na niego jakichś kłopotów ze strony Cameronów.

— Jesteśmy ostrożni, Cameronowie o niczym nie wiedzą. Myślę, że pobralibyśmy się, gdyby nie to, że wtedy natychmiast wyrzuciliby Willie'ego z pracy. Czy to nie straszne, Glenie?

— Powiedz Willie'emu, by zaczął się rozglądać za inną pracą — poradził Glen. — Nie chciałbym cię stracić, ale przecież nie możecie zwlekać ze ślubem w nieskończoność.

— Cały kłopot w tym, że ciężko teraz znaleźć jakąś pracę — powiedziała Jennie. — Musimy poczekać.

Okazało się, że nie trzeba było czekać zbyt długo. Nazajutrz czterech mieszkańców miasta przyprowadziło do gabinetu Glena jakiegoś nieznajomego. Próbował wyswobodzić się z ich uścisku, ale dostał kilka kopniaków oraz kuksańców i zrezygnował z dalszej walki.

Widziałam, jak szli i pośpieszyłam do gabinetu Glena, by dowiedzieć się o co

chodzi. Zanim tam dotarłam, nieznanego posadzono na krześle. Sprawiał wrażenie oszołomionego.

Jeden z mężczyzn — mąż Alice Dowell — przemówił w imieniu czterech mężczyzn.

— Ten tu chojrak — powiedział — przyjechał dziś po południu do miasta i zaczął krążyć po ulicach, zadając głupie pytania dotyczące pani osoby, pani Kinnery. Nie były to pytania, jakie zadaje się o uczciwej kobiecie. Ponieważ wszyscy w mieście wiemy, jaka z pani zacna osoba, pomyśleliśmy, że przyprowadzimy tutaj tego cwaniaka, byście sami mogli go wypytać, do czego zmierza.

Mężczyzna nie był wysoki. Miał jasnobrązowe włosy, małe, niebieskie oczka, w których malowało się przerażenie. Nie wydał mi się osobnikiem zbyt niebezpiecznym.

— Kim pan jest? — spytał Glen. — Czego pan tu chce i dlaczego wypytuje pan wszystkich o moją żonę?

— Pracuję dla *State Graphic* — oświadczył, jakby to wyjaśniało wszystko, co zresztą było prawdą. *State Graphic* należało do najbardziej sensacyjnych ze wszystkich brukowców, zajmujących się sprawami dotyczącymi moralności obywateli.

— Dziękuję wam za przyprowadzenie tego człowieka — powiedział Glen. — Jestem pewien, że nie pojawił się tu w złych zamiarach. Wszystko sobie z nim wyjaśnimy.

— Lepiej, żeby nie kręcił się więcej po mieście zadając te głupie pytania — odezwał się Dowell. — Ma szczęście, że nie rozkwasiliśmy mu gęby.

Wyszli, a ja i Glen usiedliśmy.

— Jest pan dziennikarzem? — spytał Glen.

— Nazywam się Roscoe Kane. Oto moje dokumenty. — Wyciągnął jakieś papiery. — Przyjechałem tutaj, bo dostaliśmy list, w którym informowano, że mieszka w tym mieście kobieta uważająca się za nie wiadomo kogo, podczas gdy w rzeczywistości to zwykła dziwka. Proszę mi wybaczyć to słowo. Użyto go w liście. Mam to pismo przy sobie.

Pokazał nam list. Nadano go w mieście, w zwykłej kopercie. Został napisany na maszynie, był krótki i oczywiście nie podpisany. Informowano w nim, że próbuję uzyskać wpływy w mieście, że jestem bogata i ukrywam swoją niechlubną przeszłość.

Glen położył list na biurku.

— W tym mieście maszyny do pisania są jedynie w biurze fabryki, więc wiemy, gdzie został napisany. — Zwrócił się do wciąż zdezorientowanego mężczyzny, przyglądającego się nam z lekkim niepokojem. — A więc co zamierza pan z tym zrobić?

— Zrobić? Uważa mnie pan za szaleńca? Nic nie zamierzam zrobić. Przyjechałem tutaj, by sprawdzić, o co w tym wszystkim chodzi. Zadałem kilka pytań i dowiedziałem się, że pani Kinnery jest bardzo zadaną kobietą, że jest zamężna, prowadzi uczciwe życie i nigdy nie miała żadnych zatargów z prawem. Potem poszedłem do gospody. Ledwie zdążyłem zadać jedno pytanie, zaraz mnie stamtąd wywleczono. Ktoś wysłał ten list, bo chciał pani zaszkodzić. Musi pani bardzo nienawidzić.

— Ależ to podłe z ich strony — powiedział Glen. — Czy nigdy nie przestaną cię prześladować?

— Glenie, poczekaj. — Spojrzałam na dziennikarza. — Zadawał pan niewłaściwe pytania. Mniejsza o mnie. Nawet gdybym była kobietą całkowicie niemoralną, artykuł o mnie byłby niczym w porównaniu z tym, co naprawdę należałoby napisać o tym mieście.

Dziennikarz spojrzał wyraźnie zadowolony.

— Proszę mi tylko powiedzieć, pani Kinnery, o co chodzi, i resztę pozostawić mnie. Wytropię wszystko, co będzie do Wytropienia.

— Chodzi o właścicieli fabryki, którzy wzbogacili się na pracy mieszkańców tego miasta.

Glen zagwizdał cicho.

— Kochanie, tym razem chcesz otworzyć puszkę Pandory.

— Wiem o tym, ale tych ludzi nic nie poruszy, może z wyjątkiem wydobywania

wszystkiego na światło dzienne. Doznają szoku, kiedy ktoś opíše, w jaki sposób prowadzą interesy.

— Masz oczywiście rację — zgodził się Glen. — Panie Kane, proszę zapytać tych ludzi, co sądzą o skróceniu czasu pracy w fabryce i obniżce płac.

— Płac, które i przedtem były skromne — dodałam.

— Proszę spytać, co sądzą o przymusowym urlopie bezpłatnym, który nie miał być niczym innym, jak tylko zemstą na robotnikach za to, że zaczęli pracować mniej wydajnie, dając tym wyraz swojemu oburzeniu na to, w jaki sposób są traktowani. Zadając takie pytania może pan czuć się w tym mieście zupełnie bezpiecznie. Otrzyma pan wszelką pomoc, jaka tylko będzie panu potrzebna.

— Na Wzgórzu, na samym końcu ulicy Main, stoi dom właścicieli fabryki. Na pana miejscu trzymałabym się od niego z daleka.

— Wynajmę pokój w zajeździe — powiedział Kane. — Jutro przystąpię do pracy. Przepraszam, jeśli sprawiłem państwu jakieś kłopoty i dziękuję za naprowadzenie mnie na właściwy temat.

Opuścił nas najwyraźniej nie ucierpiawszy z powodu bezceremonialności, z jaką go potraktowała czwórka robotników. Glen sprawiał wrażenie zatroskanego całym zdarzeniem.

— Teraz sytuacja osiągnie punkt kulminacyjny — powiedział. — Nie wiem, jaki rodzaj zemsty wymyślą Cameronowie tym razem, ale na pewno będzie to coś nieprzyjemnego. Wciąż nie wiem, czy postąpiliśmy słusznie.

— Trzeba było to zrobić, najdroższy. Wyczerpaliśmy już wszystkie inne drogi postępowania. Jeśli miasto ma nadal istnieć, musi się zmienić. Wybieralna rada miejska musi zastąpić urzędników wyznaczanych przez Cameronów. Ludzie mają prawo do tego, by ich wysłuchiowano, by im godziwie płacono za pracę, by nie musieli żyć w ciągłym strachu o to, że w jednej chwili stracą pracę i dom.

Pan Kane przed wyjazdem z miasta poinformował nas, że artykuł ukaże się za dwa dni. Otrzymał daleko idącą pomoc od wszystkich mieszkańców miasta, kiedy wyjaśnił, o co mu chodzi. Poinformowano go również, że choć jestem udziałowcem

fabryki, większość zysków przeznaczam na pomoc dla robotników i ich rodzin. Uprosiłam pana Kane'a, by w swoim artykule nie wspominał o mnie.

Nazajutrz jedliśmy kolację tylko we dwójkę z Glenem. Jennie wybrała się na przejażdżkę z Williem Markhamem i miała wrócić późno. Nagle uderzyła mnie pewna myśl i poczułam, że błędę. Mówiąc szczerze, zaczęłam drżeć i Glen, jak zawsze spostrzegawczy, natychmiast to zauważył.

— Źle się czujesz, Maeve? — spytał.

— Nie, najdroższy, coś sobie tylko uzmysłowiłam. Miałaś rację. Nie powinnam była prosić tego dziennikarza o napisanie artykułu o naszym mieście.

— Czemu nie? Byłaś przecież taka pewna, że działasz w słusznej sprawie, a ja się z tobą zgodziłem.

— Najdroższy, popełniliśmy błąd. Nie przemyśleliśmy wszystkiego. Gazeta z artykułem ukaże się jutro. Jej egzemplarze na pewno trafią tutaj. Czy nie widzisz, co to oznacza?

— Maeve... moja najdroższa... pytasz, co się stanie, kiedy Cameronowie wszystko przeczytają? Przecież właśnie o to nam chodziło. Może ten artykuł zmusi ich do zmiany sposobu postępowania.

— Nie chodzi o Cameronów, Glenie, tylko o robotników. Dowiedzą się o wszystkim. W tej gazecie fakty przedstawiane są tak, że po lekturze odnosi się wrażenie, że sytuacja jest dziesięć razy gorsza niż w rzeczywistości. Tutejsi mieszkańcy wpadną w gniew. Zresztą będą mieli po temu powód. Jediną rzeczą, potrzebną im kilka dni temu, było coś, co by ich zjednoczyło. Artykuł spełni taką rolę. Dojdzie do rozruchów.

— Maeve, skąd ta pewność? Najprawdopodobniej podejmą jakieś kroki, ale niekoniecznie muszą się od razu uciekać do przemocy... — urwał w pół zdania. — Przepowiednia zwierciadła!

— Czemu nie pomyślałam o tym wcześniej? Sama ściągnęłam kłopoty...

— Wiedząc co ma się stać, może będziemy mogli jakoś temu zapobiec...

— Martwię się o Abnera. Wkrótce zginie!

— Nie wiem, jak ten człowiek znajdzie w sobie dość sił, by pojawić się w mieście. Nie przychodzi już do mnie, ale spróbuję go odszukać. W ubiegłym tygodniu dawałem mu nie więcej niż miesiąc życia. Właściwie nie ma już nerek, opada z sił. Ciągłe pije.

— Zwierciadło nigdy nie kłamie — przypomniałam mu.

— Zgadza się, ale może to sprawa interpretacji. Przecież nie powiedziało ci, że Abner zostanie zabity. Pamiętasz, ujrzałaś dwa obrazy? Nie widziałaś, jak Abner ginie.

— Nie pokazało mi też tonącego ojca, ani jak dokładnie umrze Joel. Ale wszystko się sprawdziło. I tym razem będzie tak samo. Bez względu na to, co zrobimy. Jeśli sama doprowadziłam do powstania sytuacji, w której Abner zginie, widocznie tak było postanowione.

— W takim razie daremne nasze wysiłki.

— Tak — powiedziałam. — Możemy tylko czekać. Czasami zastanawiałam się, czy zwierciadło jest przekleństwem, czy też błogosławieństwem.

Nie czekaliśmy długo. Gazeta opublikowała artykuł pana Kane'a, który dopilnował, by pewna ilość egzemplarzy trafiła do naszego miasta. Każdy miał możliwość zapoznania się z treścią artykułu. Oczywiście ktoś postarał się, żeby gazetę dostarczono również do domu na Wzgórzu.

Tego wieczoru siedziałam i czekałam na pierwsze oznaki niepokoju, ale miasto wydawało się spokojniejsze niż zwykle. Glen pojechał do chorego, Jennie wyszła z Williem Markhamem. Nie mogłam znieść samotności. Zarzuciłam na głowę i ramiona szal i wyszłam z domu.

Ulice były opustoszałe. Szłam, a jedynym dźwiękiem był stukot moich obcasów o bruk. Przypominało to ciszę przed burzą. Minęłam gospodę, gdzie zawsze zbierało się sporo mężczyzn, nawet jeśli nie mieli pieniędzy na piwo. Była zamknięta i tylko gdzieś zza baru sączyło się słabe światełko.

Dopiero kiedy doszłam do budynku ratusza, poznałam przyczynę ciszy i pustki w całym mieście. Ratusz był jasno oświetlony. Na stopniach przed wejściem ujrzałam

czterech mężczyzn. Sprawiali wrażenie, jakby stali na warcie. Zaczęłam wspinać się po schodach.

— Dobry wieczór pani — powiedział jeden z wartowników.

— Co się tu dzieje? — spytałam.

— Zebranie, proszę pani. Są na nim wszyscy bez wyjątku mieszkańcy miasta oprócz mnie i... i moich towarzyszy.

— Czemu jest ono poświęcone?

— Fabryce. Ten artykuł w gazecie wstrząsnął wszystkimi. Wiemy, że jutro na tablicy ogłoszeń pojawi się kolejny komunikat i znów oberwiemy po karku. Chcemy być na to przygotowani. Stoimy tu na wypadek, gdyby pojawił się ktoś ze Wzgórza i próbował wejść do środka. Nie chcemy ich na naszym zebraniu.

— Ja też należę do Cameronów — powiedziałam.

— Jest pani żoną Glena Kinnery'ego i w tym mieście nie ma takiego domu, takiego miejsca, gdzie nie byłaby pani mile widzianym gościem.

— Dziękuję. Czy dziś w nocy coś się będzie działo?

— Nie, proszę pani. Nie sędzę, chyba że kogoś poniosą nerwy. Chcemy się najpierw przekonać, co zrobią Cameronowie.

— W takim razie nie wejdę do środka. Mam nadzieję, że dziś w nocy będzie spokój. Będę się o to gorąco modliła.

— Niech się pani lepiej modli za Cameronów. Po tym artykule ludzie zupełnie tracą głowy.

Odwróciłam się i ruszyłam w stronę domu. W połowie drogi usłyszałam warkot naszego samochodu. Pomachałam na Glena. Zatrzymał pojazd, a ja wgramoliłam się na siedzenie, zanim zdążył wysiąść, by mi pomóc.

— Zwołali zebranie — wyjaśniłam. — Chcą zaczekać, by zobaczyć, co jutro zrobią Cameronowie. Jeśli umieszczą na tablicy komunikat, który rozgniewa robotników, zaczną się kłopoty.

— Czy pójdziesz do Cameronów i powiesz im o tym? — spytał.

— Nie. Na nic by się to nie zdało. Robiłam, co mogłam, żeby przedstawić im

faktyczny stan rzeczy, ale nie chcieli mnie słuchać. Aż się wzdragam na myśl o tym, co zrobią teraz. Jutro wszystko się rozstrzygnie.

— Obawiam się, że tak — powiedział Glen.

— Jutro zginie Abner. Na tę myśl serce mi się ściska z żalu. I ubolewam, że nie możemy zrobić nic, by temu zapobiec. Zabierz mnie do domu, Glenie.

Rozdział dwunasty

Tej nocy kilka razy wstawałam i chodziłam po pokoju, niepomma na słowa Glena, że w ten sposób tylko bardziej się denerwuję, co nie pomoże ani mnie, ani nikomu, kiedy nazajutrz dojdzie do zamieszek.

Oczywiście miał rację. Przy śniadaniu byłam tak rozdrażniona, że nakrzyczałam na Patty. Poszła do szkoły prawie płacząc. Kiedy pozmywałyśmy po śniadaniu, Jennie udała się do sklepu po zakupy, ale bardzo dobrze wiedziałam, że zajdzie również do fabryki, by spojrzeć na tablicę ogłoszeń.

Glen miał za dużo pracy, by siedzieć razem ze mną i się martwić. Podejrzewam, że niektóre zajęcia wymyślił sobie specjalnie, byleby tylko nie tkwić w pobliżu mnie, o co nie mogłam mieć do niego pretensji.

Jennie wróciła po godzinie bardzo zaintrygowana.

— Na tablicy nie pojawił się żaden nowy komunikat. Nikt nic nie powiedział. Fabryka pracuje normalnie.

Nalałam dwie filiżanki kawy, choć od rana wypiałam ich już kilka.

— Czy nie widziałaś przypadkiem Abnera?

— Nie. Rzadko kręci się po mieście. Nie oddała się od swojego pokoju w zajeździe, a raczej nie opuszcza swojego stołka przy barze. Ten biedak gaśnie w oczach.

Ranek minął spokojnie i dopiero po południu Jennie przyniosła mi pierwszą złą wiadomość.

— Ulicą właśnie przejechały trzy dwukółki. Takie, jakie wynajmują

Cameronowie, gdy wyrzucają kogoś z domu.

Wybiegłyśmy tak, jak stałyśmy — bez szali i kapeluszy — i ruszyłyśmy pośpiesznie w stronę, gdzie w poprzek chodnika stała jedna z dwukółek. Kiedy tam dotarłyśmy, dwaj krzepcy mężczyźni wynosili już meble Holdenów, podczas gdy pani Holden i jej starsza, zniedołężniała matka przyglądały się temu, oszołomione nagłym zwrotem w ich dotychczasowym życiu.

Obok furtki stał mężczyzna w kowbojskim kapeluszu, wysokich butach, z błyszczącą odznaką przypiętą do koszuli.

— Dzień dobry, pani Kinnery — powitał mnie zdejmując kapelusz. — Bardzo się cieszę, że panią widzę, choć zastała mnie pani przy zajęciu, które wykonuję bardzo niechętnie.

— Jest pan zastępcą przewodniczącego okręgu, prawda? — spytałam.

— Tak, proszę pani. Sąd polecił mi wręczyć trzem rodzinom nakazy eksmisji. Bardzo nie lubię tego robić, ale należy to niestety do moich obowiązków.

— Wiem. Czy mógłby pan polecić, by wszystkie meble eksmitowanych przewieziono do magazynu w Bakersville?

— Nie mogę tego zrobić. Ci ludzie są zadłużeni i meble pójdą pod młotek.

— Najpierw musisz zażądać od nich uregulowania długu, prawda?

— Tak, proszę pani, ale oni nigdy nie mają pieniędzy.

— Mają. Ureguluję cały ich dług, i to gotówką. Potrzebuję kilku minut, by pójść po pieniądze. Proszę mi tylko powiedzieć, ile są winni. Ureguluję również długi dwóch pozostałych rodzin.

Zajrzał do swoich dokumentów i podał mi kwotę należności. Cameronowie powinni się wstydzić, że domagają się zwrotu takiej kwoty. Chodziło o nędzne grosze, ale wiedziałam równie dobrze jak oni, że tych rodzin nie było stać na zapłacenie owej sumy.

— Proszę pani — odezwał się urzędnik — może się pani nie śpieszyć. W razie potrzeby nakażę ludziom, by zwolnili tempo.

— Dziękuję — powiedziałam. Podeszłam do pani Holden, próbującej pocieszać

swą matkę. — Wszystko w porządku — poinformowałam ją. — Wasze meble zostaną na razie przewiezione do magazynu. Zabierz matkę do zajazdu. Kiedy dzieci wrócą ze szkoły, a mąż z fabryki, powiedz im, że będziecie mieszkać w zajazdzie dopóty, dopóki nie znajdziemy wam w jakimś innym mieście domu, a panu Holdenowi — pracy. Nie macie czego żałować. W ostatecznym rozrachunku lepiej na tym wyjdziecie. Póki pan Holden nie będzie miał pracy, ja pokryję wszystkie wydatki. A teraz biegnij i powtórz to pozostałym dwóm rodzinom.

— Och, pani Kinnery, bardzo ich pani tym rozzłości — powiedziała pani Holden.

— Cameronów? Od lat są na mnie wściekli, co nie przeszkadza mi spokojnie spać. Zrób, jak ci powiedziałam. Chcę, żebyście wszyscy przenieśli się do zajazdu, zanim Cameronowie się o tym dowiedzą. Nie straciecie nic poza pracą, która i tak była kiepska.

Pośpieszyłam do zajazdu i załatwiłam wszystkie niezbędne formalności z recepcjonistą, który odnosił się do całej tej sprawy wielce niechętnie.

— Nie wiem, proszę pani, co oni na to powiedzą. Pracuję dla nich i nie chcę się im narazić.

— Posłuchaj mnie. To publiczny zajazd. Zapłaciłam ci za pokoje. Jeśli wyrzucisz tych ludzi, mogą cię pozwać przed sąd. Poza tym Cameronowie nie muszą się o niczym dowiedzieć.

— Proszę pani, dowiedzą się o tym w pięć minut po pani wyjściu.

— W jaki sposób? — spytałam.

— Już oni mają swoje metody. Nie wiem, skąd o wszystkim wiedzą, ale nigdy się przed nimi nic nie ukryje. Zrobię tak, jak mi pani każe. Też wiem, co się tu dzieje i żal mi wyeksmitowanych rodzin.

— Może to nie wystarczy, byś zdobył sobie miejsce w niebie — powiedziałam — ale masz miejsce w moim sercu. Nie zapomnę tego, co zrobiłeś. Przypilnuj również, by ich nakarmiono. Daj im wszystko, o co poproszą.

Kiedy wróciłam do domu, Glen był w swoim gabinecie. Upewniwszy się, że nie

przyjmuje akurat pacjentów, Weszliśmy razem z Jennie do środka.

— A więc zaczęło się — powiedziałam. — Wydali nakaz eksmisji trzech rodzin i polecili zarekwirować ich meble. Potrzebuję trochę gotówki, by zapłacić urzędnikowi, żeby nie zajmował mebli, oraz za ich przechowanie w magazynie, póki nie znajdziemy pracy dla tych nieszczęśników, którzy bez wątpienia zostali już wyrzuceni z roboty.

— Maeve, podjęłaś się poważnej rzeczy — powiedział Glen.

— Próbuję zapobiec zamieszkom. Jeśli ludzie, którzy zostali pozbawieni pracy, nie ucierpią zbyt, może u innych nie wzbudzi to głuchego gniewu.

— Niebezpieczna gra — upierał się Glen.

— Możliwe — powiedziałam — ale wiesz, jakie będą konsekwencje, jeśli ludzie wyjdą na ulice.

— Abner — powiedział Glen, wolno kiwając głową.

— O czym wy mówicie? — spytała Jennie. — Od jakiegoś czasu wymieniacie jakieś zagadkowe uwagi, jakbyście wiedzieli o czymś, o czym ja nie wiem.

— Może lepiej, że o tym nie wiesz — powiedziałam. — Cięży na nas olbrzymia odpowiedzialność, Jennie.

— Czy od tamtej pory spoglądałaś w zwierciadło? — spytał Glen.

— Nie miałam odwagi wziąć go do ręki.

— Jakie zwierciadło? — spytała Jennie. — O czym wy mówicie?

— Glenie, wytłumacz jej, a ja przez ten czas przyniosę zwierciadło — zwróciłam się do męża. — Teraz, kiedy niebezpieczeństwo jest tak blisko, może przepowiednia zwierciadła będzie bardziej konkretna.

Jennie przysłuchiwała się nam jak zahipnotyzowana. Kiedy wróciłam ze zwierciadłem, na jej twarzy malował się strach. Spojrzała na metalowy przedmiot, który trzymałam w ręku.

— Czy to rzeczywiście prawda? Och, co ja mówię? Uwierzył w to Glen, a nie znam człowieka z większym sceptycyzmem traktującego takie rzeczy niż on. Powiedziało ci, że dojdzie do zamieszek i że zginie Abner? Maeve, nie chcę z tobą

dyskutować, ale... ale...

— Jennie, nikt nie wierzy w moc tego zwierciadła, póki sam się nie przekonam, że ono nie kłamie. Poproszę teraz, by mi pokazało, co się wkrótce stanie.

— Czy zawsze ukazuje ci to, o co prosisz? — spytała Jennie.

— Nie. — Uniosłam zwierciadło na wysokość oczu. — Proszę, byś mi ukazało, co się stanie dzisiaj lub w ciągu najbliższych kilku dni. Abym mogła odpowiednio pokierować moimi krokami i aby nie ucierpieli ci, których kocham.

Pojawiła się jakby mała chmurka. Ukazała się i po trzech, czterech sekundach zniknęła. Opuściłam zwierciadło i zamknęłam oczy.

— Abner leży twarzą do ziemi. Nie żyje. Wokół poruszają się jakieś cienie. Wiele cieni. Los Abnera jest przesądzony.

— Czuję się tak, jakby gdzieś obok przebywał jakiś duch — powiedziała Jennie i wzdrygnęła się. — Do tej pory nie wierzyłam w ani jedno słowo, ale teraz wierzę. Coś mi mówi, że to prawda.

— A więc w żaden sposób nie uda nam się uratować Abnera? — spytał mnie Glen.

— Nie — powiedziałam. — Jennie, proszę przypilnuj, by Patty nie wychodziła sama z domu, póki się wszystko nie skończy. Proszę, odprowadzaj ją i przyprowadzaj ze szkoły. Jest jeszcze za mała, by zrozumieć, co się dzieje, więc nie próbuj jej niczego tłumaczyć, choć myślę, że wie, iż w mieście na coś się zanosi.

— Wszystkie dzieci wiedzą — potwierdziła Jennie. — Przez ostatnie dwa, trzy dni są bardzo poważne. Nie biegają, nie krzyczą, nie bawią się. Czują, że coś wisi w powietrzu.

— Jeszcze jedno — przypomniało mi się. — Recepcjonista w zajeździe powiedział, że Cameronowie zawsze szybko dowiadują się, co się dzieje w mieście. Czyżby mieli wśród mieszkańców donosicieli?

— Zawsze znajdzie się ktoś taki — powiedział Glen.

— W przeszłości kilka razy rozszyfrowano ich. W pośpiechu opuszczali miasto. Nikt nie wie, kto teraz przekazuje wiadomości na Wzgórze, ale nie ulega wątpliwości,

że jest ktoś taki.

— Czy nie można jakoś ostrzec Abnera... coś zrobić? — spytała zdesperowana Jennie.

— Nie — powiedziałam — nic nie można zrobić. To nie znaczy, że nie będę próbowała, jeśli tylko dostrzegę szansę pomożenia w jakiś sposób temu biedakowi. Kiedy wszystko się zacznie i zobaczę go, postaram się być jak najbliżej niego.

— To może być niebezpieczne — ostrzegł mnie Glen.

— Wiem, ale i tak zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy. Jak myślisz, kiedy się zacznie?

— Może w ogóle do niczego nie dojdzie, skoro zajęłaś się losem tych trzech rodzin.

— Póki Cameronowie nie wystąpią z czymś nowym — powiedziała Jennie. — A jest to wielce prawdopodobne, szczególnie kiedy usłyszą, że wyrzucenie owych rodzin nie uczyniło tym biedakom wielkiej szkody.

Po południu Jennie przyprowadziła Patty ze szkoły. Dziewczynka była tym trochę zaintrygowana. Podczas kolacji wyjaśniłam jej w możliwie przystępny sposób, co się dzieje w mieście.

— Cameronowie są właścicielami fabryki i uważają, że mogą robić, co chcą. Kiedy są niezadowoleni z robotników, czasami wyrzucają ich z pracy i każą im opuścić domy. Taka sytuacja trwa już od dawna.

— Mamusiu, jeśli są właścicielami fabryki, to czemu nie mogą robić tego, co chcą? — spytała Patty.

— Mogą — odpowiedział za mnie Glen. — Ale robotnicy nie są niewolnikami. Należy im okazywać szacunek i zrozumienie. Kiedy wnoszą jakąś skargę, powinni zostać wysłuchani i jeśli ich niezadowolenie jest usprawiedliwione, należy poczynić jakieś zmiany.

— A Cameronowie nie chcą słuchać skarg robotników? — spytała Patty.

— No właśnie, kochanie — powiedziałam.

— Deborah też taka jest. Uważa, że ponieważ jest jedną z Cameronów, wszyscy

mamy robić tak, jak chce ona.

— I robicie tak? — spytałam.

— Niektóre dzieciaki tak. Ja nie.

— To dobrze — powiedziała Jennie. — Właśnie tego cię zawsze uczyłam. Nie mają władzy nad nikim, a szczególnie nad Patrycją Kinnery.

— Chociaż myślę, że ją lubię. Chciałabym tylko, żeby nie była taka zarozumiała.

— To nie jej wina — powiedziałam. — Tak została wychowana. W jej domu nie ma cioci Jennie, tylko mnóstwo dumnych i próżnych ludzi.

Stopniowo, w miarę upływu czasu stałam się spokojniejsza. Tej nocy udaliśmy się do łóżek wdzięczni, że nie doszło do zamieszek.

Gdyby nie ponura przepowiednia zwierciadła uwierzyłabym, że będzie spokój. Ale wiedziałam, że coś się musi stać. Wkrótce byle iskierka spowoduje, że dotąd tajone niezadowolenie przekształci się w wybuch niekontrolowanego gniewu.

Byłam jednak na tyle spokojna, że spędziłam część popołudnia pieląc kwiaty przed domem, czemu ostatnio poświęcałam zbyt mało czasu. Rano wysłałam trzech zwolnionych robotników do sąsiedniego miasta, by poszukali sobie pracy i mieszkań. Mieli kwalifikacje i istniała pewna nadzieja, że znajdą sobie jakieś zajęcie. W przeciwnym razie mieli jechać do następnego miasta, i jeszcze do następnego, póki wreszcie nie znajdą pracy. Dałam im pieniądze na drogę. Do ich powrotu rodziny mogły mieszkać w zajeździe, a dzieci jak przedtem chodzić do szkoły.

Usłyszałam turkot ciężko wyładowanego wozu, jadącego od strony stacji. Popołudniowy pociąg właśnie odjechał i wciąż słyszałam z oddali sapanie lokomotywy. Kiedy zbliżała się duża dwukółka, zobaczyłam, że siedzi na niej kilku krzepkich mężczyzn. Nie znałam żadnego z nich.

Pobiegłam do domu. Glen przyjmował jakąś pacjentkę, ale zapukałam i weszłam do środka.

— Przepraszam — powiedziałam do pacjentki. — Glenie, popołudniowym pociągiem przyjechało jakichś ośmiu, dziewięciu mężczyzn. Sprawiają wrażenie

strażników. Musieli po nich posłać Cameronowie.

Glen potrząsnął głową.

— Proszą się o kłopoty. Jak tylko skończę przyjmować pacjentów, pójde zobaczyć, co się dzieje.

— Pójde do fabryki i też spróbuje się czegoś dowiedzieć — powiedziałam.

Szybko się przebrałam i poleciłam Jennie, by zaprzęła konia do bryczki.

— Przyrowadź Patty ze szkoły prosto do domu — przypomniałam jej. — Mam przecucie, że wkrótce przebywanie na ulicy może się stać zbyt niebezpieczne.

— Przyrowadzę Patty prosto do domu. Przed chwilą słyszałam rozmowę dwóch kobiet, które mieszkają w domach na tyłach naszej stajni. Padło słowo łamistrajki.

— Przecież nie ma żadnego strajku — powiedziałam.

— Widocznie Cameronowie się go spodziewają.

— Zamierzam się dowiedzieć, co się dzieje, Jennie. Wrócę jak najszybciej. Prawdopodobnie i tak nic mi nie powiedzą, ale może coś im się wymknie, co posłuży jako wskazówka.

Pojechałam prosto do biura. W dużym pokoju panowała nieco nerwowa atmosfera. Urzędnicy co chwila ukradkiem rzucali spojrzenia. Nikt się nie odzywał i wyczułam pewne napięcie. Kłopoty w mieście Cameronów nie zdarzały się często. Ci ludzie nie byli przyzwyczajeni do takich rzeczy i boleśnie odczują na swojej skórze wypadki najbliższych dni. Nikt nie próbował mi przeszkodzić, kiedy skierowałam się w stronę gabinetu Lorana.

Obserwował przez okno bramę na fabryczny dziedziniec. Kiedy weszłam, odwrócił się i skinął mi uprzejmie głową.

— Cieszę się, że przyszłaś, Maeve. Czy możesz mi powiedzieć, co się dzieje w mieście?

— Panie Cameron, przyszedłam do pana, by się dowiedzieć, co się dzieje tutaj. Zauważono, że do miasta zjechali jacyś obcy ludzie, po których posłaliście.

— To prywatni detektywi. Mają pilnować fabryki.

— A czemu fabryce potrzebne jest pilnowanie? — spytałam.

— Cóż, jak słyszałaś podczas ostatniego zebrania zarządu, interesy idą bardzo źle. A ludzie się rozleniwili. Robią połowę tego, co powinni. W tej sytuacji zmuszeni jesteśmy do podjęcia drastycznych kroków. Pojutrze siedemdziesięciu pięciu robotników zostanie zwolnionych na czas nieokreślony. Pozostali będą musieli podnieść wydajność pracy, by utrzymać obecny, i tak żaloszny poziom produkcji. W przeciwnym razie zwolniona zostanie kolejna pięćdziesiątka. Zamierzamy wszelkimi możliwymi środkami doprowadzić do tego, by fabryka znów zaczęła przynosić zyski.

— Co zrobią ludzie pozbawieni jedyne go źródła dochodów?

— A co my zrobimy, jeśli nie będzie zysków? Czy kiedykolwiek zadałaś sobie to pytanie? Zginiemy. Musimy się bronić.

— Wstyd mi, że jestem udziałowcem tej fabryki, panie Cameron.

— Jesteśmy gotowi w każdej chwili wykupić twoje udziały. Oczywiście teraz, kiedy interesy idą kiepsko, nie możesz się za nie spodziewać tyle co kiedyś... Jeśli nie podoba ci się sposób, w jaki prowadzimy interesy...

— Mówiąc prawdę, panie Cameron, pan mi się też nie podoba — powiedziałam.

— Żegnam pana.

Pojechałam do domu. Glen wysłuchał mojej relacji z rosnącym niepokojem.

— A więc dojdzie do zamieszek. Ci trzej mężczyźni, którzy zostali wczoraj zwolnieni z pracy i wyrzuceni z domów, przewodniczyli zebraniu, zwołanemu w ratuszu przedwczoraj wieczorem. Cameronowie zwolnili ich, by zemścić się za, jak to nazwali, zdradę. Jeśli teraz zwolnią siedemdziesięciu pięciu, a wkrótce dalszych pięćdziesięciu... robotnicy się zbuntują. Uważam, że najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić, to siedzieć w domu i przygotować się na udzielenie poszkodowanym pierwszej pomocy.

— Nie zapominaj, że będą też ofiary śmiertelne — powiedziałam.

— Pamiętam. Och, gadam głupstwa. Oczywista sprawa, że musimy spróbować przekonać ich, by działali rozważnie, nawet jeśli wiemy, że to daremne. Z jednej strony mamy zdesperowanych robotników, przekonanych, że mają mało do stracenia.

Z drugiej strony są Cameronowie, zbyt uparci i chciwi, by ustąpić choćby na jotę. Kiedy dojdzie do konfrontacji tych dwóch sił, może się to skończyć tylko jednym — wybuchem. Gdzie jest Jennie?

— Sądzę, że poszła po Patty. Poprosiłam ją, by przyprowadziła Patty ze szkoły. Do zamieszek może dojść w każdej chwili, a dzieci nie powinny brać w nich udziału ani nawet kręcić się po mieście.

— Kiedy wróci, powiedz jej, by siedziała w domu. Wszystkie drzwi i okna mają być zamknięte. Pod żadnym pozorem ma się nie oddalać od Patty. Pójdę i spróbuję przemówić tym ludziom do rozsądku.

Nagle przebiegła mi przez głowę okropna myśl.

— Nora jest w szkole. Jeśli coś się zacznie przed końcem lekcji i tłum ją zobaczy...

Urwałam w połowie zdania i wybiegłam na ulicę. Na szczęście bryczkę zostawiłam przed domem. Szybko do niej wsiadłam i pojechałam pod szkołę. Lekcje jeszcze trwały. Kiedy Jennie zobaczyła mnie pędzącą na złamanie karku, pomyślała, że coś się stało.

— Martwię się o Norę — powiedziałam. — W każdej chwili może dojść do zamieszek, a ludzie będą zaślepieni nienawiścią. Mogą wyładować swój gniew na Norze.

Jennie skinęła głową.

— Kilka minut temu od strony fabryki dobiegły mnie jakieś okrzyki. Teraz się uciszyło, ale niepokoję się.

— Cameronowie zwolnili dużą grupę ludzi. Sprowadzili kilku silnych mężczyzn, żeby stawili czoła robotnikom w razie, gdyby doszło do jakichś zamieszek. A mogą wybuchnąć w każdej chwili.

— Wejźmy do szkoły i poprośmy o natychmiastowe przerwanie lekcji. Nie możemy dłużej czekać, Maeve.

Pobiegłyśmy do szkoły. Jennie wypatrzyła Patty i dała jej znak, by wyszła. Szeptem poinformowałam nauczycieli o sytuacji w mieście, a oni polecili dzieciom,

by poszły prosto do domu, nie zatrzymując się nigdzie po drodze. Nora znalazła się wśród uczniów, którzy ostatni opuszczali szkolny budynek. Ponieważ do końca zajęć szkolnych pozostała jeszcze godzina, nie czekał na nią jeszcze powóz.

Dotknęłam jej ramienia, a ona aż drgnęła, jakby się wystraszyła.

— Nie bój się — powiedziałam. — Przed szkołą jest nasza bryczka. Jeśli pozwolisz, chciałabym cię zabrać do domu.

— Dziękuję, ale zaczekam na powóz — odparła.

— Wykluczone. Za chwilę może dojść do zamieszek i nie chcę, żebyś tu została. Chodź ze mną, Noro.

— Dlaczego mówi pani do mnie Nora? Mam na imię Deborah. Nigdzie z panią nie pójdę. — W jej oczach pojawiły się iskierki gniewu. Była teraz niezwykle do mnie podobna. Nie straciłam panowania nad sobą.

— Byłaś bardzo szczęśliwa, kiedy razem zjeżdżałyśmy na sankach — przypomniałam jej.

— To było co innego. Nigdzie z panią nie pójdę.

— Posłuchaj mnie, ty głuptasie — powiedziałam. — Jeśli tu zostaniesz, grozi ci niebezpieczeństwo. Powóz przyjedzie za późno. Musisz natychmiast stąd iść.

— Nigdzie nie pójdę. Nie będzie mi pani mówiła, co mam robić. Nikt mi nie będzie rozkazywał.

Chwyciłam ją mocno za ramię.

— Pójdiesz ze mną, nawet jeśli musiałabym cię zanieść. Proszę, bądź rozsądna!

Próbowała mi się wyrwać. Złapałam ją mocniej i wypchnęłam z klasy. Kiedy dotarłyśmy do bryczki, zaczęła mi się wyrwać.

— Jesteś samolubną, głupią gąską — powiedziałam. — Zastanawiam się, czy nie...

Od strony fabryki dobiegły jakieś okrzyki. Stawały się coraz głośniejsze. Wkrótce ujrzałyśmy grupę maszerujących robotników. To oni tak wrzeszczeli. Nora wydała okrzyk przerażenia. Może ostrzeżono ją, że może się coś takiego wydarzyć. Wreszcie dotarło do niej, że miałam rację, i że ten tłum jest gotów wyładować złość

na kimkolwiek. Mimo młodego wieku zrozumiała grożące jej niebezpieczeństwo. Złapała się mnie kurczowo.

— Wskakuj! — powiedziałam. — Szybko!

Wsiadła do bryczki. Ujęłam bat i popędziłam konia, choć bardzo rzadko to robiłam. Zawróciłam bryczkę. Koń ruszył pełnym galopem. Zaczęliśmy uciekać przed tłumem. Nora płakała, przytuliwszy się do mnie.

— Zdamy na czas — pocieszałam ją żałując, że w obu rękach muszę trzymać lejce. — Nie dogonią nas. Wszystko będzie w porządku.

Słyszac te słowa wyprostowała się nieco i próbowała powstrzymać łzy.

— Czy dziadek powiedział ci, że może dojść do niepokojów w mieście?

— Nie, ale słyszałam, jak rozmawiali na ten temat. Rozważali nawet, czy posłać mnie dziś do szkoły. Wydaje mi się, że nie sądzili, iż wypadki potoczą się tak szybko. Dokąd mnie pani wiezie? Mój dom jest w przeciwnym kierunku, tam, gdzie ten tłum ludzi. Boję się ich.

— Nie martw się, dotrzesz bezpiecznie do domu. Pojedziemy przez miasto, aż do stacji, a potem skęcimy w boczną drogę, biegnącą przez las. W ten sposób unikniemy spotkania z tłumem.

— Mam nadzieję. Żałuję, że nie wysłali mnie stąd, tak jak zamierzali.

— Gdzie cię chcą wysłać? — spytałam przerażona.

— Nie wiem. Do jakiejś szkoły.

— Ach, rozumiem. Nie pora teraz o tym myśleć. — Popuściłam lejce. — Pamiętasz, nie tak dawno powiedziałaś mi, że boisz się, iż cię porwę.

— Tak, pamiętam.

— Zdajesz sobie sprawę, cóż to była za głupota z twojej strony?

— Chyba tak. — Spojrzała na mnie i na widok jej niebieskich oczu poczułam w sercu ukłucie. — Czy znała pani mojego ojca?

— Tak, znałam go dobrze.

— Nikt nigdy nawet o nim nie wspomina. Pomyślałam sobie, że może pani go znała. Jaki on był?

Ściągnęłam lejce. Bez względu na to, czy groziło nam jakieś niebezpieczeństwo, czy też nie, nadeszła pora, żebym porozmawiała z własną córką, która nie miała pojęcia o tym, że jestem jej matką. Jeśli nie mogę ujawnić, kim dla niej naprawdę jestem, przynajmniej powiem jej coś o ojcu.

— Miał na imię Joel. Był przystojnym mężczyzną. Och, tak, łatwo się domyślić, po kim odziedziczyłaś urodę. Miał takie same oczy jak ty, a włosy... włosy odrobinę jaśniejsze. Był bardzo dobrym człowiekiem. Więcej myślał o innych niż o sobie. Był też niezwykle mądry. Bardzo inteligentny. Potrafił wszystko zrobić. Lubił ludzi i lubił się uczyć. Kochał dzieci. Bardzo by cię kochał. Och, jak bardzo by cię kochał.

Nagle zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie. Nie ukrywałam łez.

— Czy rozmowa o moim ojcu sprawia pani ból? — spytała.

— Tak. Byliśmy wyjątkowymi przyjaciółmi. Pewnego dnia powiem ci o wszystkim i wtedy zrozumiesz...

Od strony miasta dobiegł gwar podniesionych głosów. Nora znów wydała okrzyk przerażenia. Popędziłam konia. Bocznią drogą dotarliśmy do podnóża wzgórza i znacznie wyprzedziłyśmy robotników, jeśli w ogóle szli w tę stronę. Nie wiedziałam, dokąd zmierzali. Zatrzymałam bryczkę przed siedzibą Cameronów.

— Biegnij do domu. Nie bój się. Nikt nie skrzywdzi takiej ładnej dziewczynki jak ty.

— Dziękuję — powiedziała nieco sztywno.

Gdy na końcu drogi ukazała się siedziba Cameronów, w jej zachowaniu zaszła wyraźna zmiana. Zsunęła się z siedzenia i nie oglądając się za siebie pobięła prosto do wejścia. Drzwi otworzyły się. A więc obserwowali nas. Zawróciłam bryczkę i skierowałam się do miasta. Nie wiedziałam, co się tam działo. Ale Nora była bezpieczna. Przynajmniej tyle udało mi się osiągnąć.

W połowie drogi ujrzałam pierwsze szeregi maszerujących. Uświadomiłam sobie, że na ulicę wyszli wszyscy mieszkańcy miasta. Nikt nie odważyłby się zostać w domu. Szli w milczeniu. Odgłosy ich kroków zagłuszał stukot końskich kopyt i turkot bryczki. Widok kilkuset mężczyzn, kroczących zwartymi szeregami, sprawiał niesamowite wrażenie. Nie wznosili okrzyków, nie skandowali żadnych haseł, nie grozili. Szli w grobowej ciszy, a to było najbardziej złowieszcze.

Zwolniłam. Rozpoznali mnie. Nie spytali, co robiłam na Wzgórzu. Ufali mi tak dalece, że widzieli, iż nie uczyniłabym nic, co byłoby wymierzone przeciwko nim. Rozstąpili się, bym mogła przejechać. Bryczka ledwie się posuwała. Nagle jakiś człowiek z największym wysiłkiem wdrapał się do środka i opadł na siedzenie obok mnie. Przez moment ogarnęła mnie panika, ale uspokoiłam się, kiedy zobaczyłam, że moim pasażerem jest Abner. Ledwo go poznałam.

Kiedyś był wysokim, krzepkim mężczyzną. Teraz wychudł, policzki miał zapadnięte, włosy w nieładzie. Był niestarannie ogolony, na twarzy widniały kępki zarostu. Miał ziemistą cerę, a w oczach śmierć.

— Nie mogłem za nimi nadążyć — powiedział. Dyszał ciężko. — Czy mogłabyś zawrócić bryczkę?

— Abnerze, ufasz mi?

— Naturalnie.

— W takim razie, proszę, odprowadź bryczkę do stajni na tyłach naszego domu. Spróbuję powstrzymać tych ludzi.

Roześmiał się gorzko.

— Glen już próbował. Nie chcieli go nawet wysłuchać. Nikt ich nie zdoła powstrzymać, ale może ci tam... — wskazał w kierunku Wzgórza — ... zmienią decyzję, jeśli uda mi się do nich dotrzeć przed tym tłumem.

— Są równie uparci jak robotnicy — powiedziałam. — Nigdy ich nie przekonasz do zmiany postępowania.

— Mogę spróbować — upierał się.

— Abnerze, jesteś chory. Sam powiedziałeś, że nawet nie masz siły wejść na Wzgórze. Proszę, uwierz mi, że nic nie wskórasz. Wracaj do miasta i zaczekaj na mnie. Jennie jest w domu razem z Patty. Zaczekaj tam. Proszę cię, Abnerze.

Wypowiadając te słowa wiedziałam, że moja próba jest daremna. Potrząsną głową i niespodziewanie zeskoczył z bryczki. Zawołałam go, ale zniknął w tłumie.

Również wysiadłam z bryczki, wierząc, że koń sam trafi do domu. Wmieszałam się w tłum, starając się przepchnąć do czoła pochodu, gdzie miałam największe szanse na to, że moje poczynania odniosą jakiś skutek. Daremnie wypatrywałam Abnera. Glena też nie widziałam, zresztą nie wiedziałam, czy szedł razem z robotnikami. W powietrzu unosiła się chmura różowego pyłu. Było upalne, suche popołudnie. Twarz pokryły mi kropelki potu, głos zachrypł od nawoływania ludzi, których mijałam, by rozeszli się do domów. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na moje słowa.

Kiedy dotarłam do czoła pochodu, maszerujący wyraźnie zwolnili tempo posuwania się, ponieważ ujrzeni przed sobą, ustawionych w poprzek drogi, ośmiu roślących mężczyzn odzianych w coś na podobieństwo uniformów. Uzbrojeni byli w pistolety i pałki. Przed nimi stali Gabriel Cameron, Loran i — zdumiewające — Ashley. Wszyscy trzej trzymali karabiny gotowe do strzału. Spoglądali równie ponuro jak kroczący z przeciwka robotnicy.

— Cholerni głupcy! — powiedział ktoś.

Był to Abner. Dostrzegł mnie i stanął po mojej prawej ręce.

— Cieszę się, że jesteśmy razem — powiedziałam. Wciąż łudziłam się, że uda mi się go uratować, choć dobrze wiedziałam, że to płonna nadzieja. — Nie opuszczaj mnie, Abnerze. Bardzo się boję. Nie jestem w stanie przemówić tym ludziom do rozsądku.

— Nikomu się to nie uda. Ale tam, naprzeciwko nas, stoją ludzie, których obecność może doprowadzić do prawdziwych kłopotów. Mój ojciec powinien mieć więcej oleju w głowie. Zgoda, może powinien tu być, ale nie z karabinem w dłoni, na czele tej bandy chuliganów, których wynajął. Zastanawiam się, czy naprawdę wierzy, że zdołaliby nas powstrzymać?

— Nie odchodź ode mnie. — Chwyciłam go za ramię i przywarłam do jego boku. Wyglądało to tak, jakbym złapała się kurczowo jego życia.

— Zatrzymajcie się! — krzyknął Gabriel Cameron, drobny człowieczek o niepozornym głosie, zupełnie nie pasującym do tych okoliczności. Gdyby Loran wydał to polecenie, może zdobyłby sobie większy posłuch.

— Przyszliśmy, żeby powiedzieć, że nie zgadzamy się na masowe zwolnienia — wykrzyknął ktoś z tłumu.

— Ktokolwiek się odezwał, niech wystąpi — krzyknął Gabriel. — Jeśli ma odwagę.

Jeden z mężczyzn, nie znałam jego nazwiska, wyszedł przed tłum.

— Ja to powiedziałem, panie Cameron, i wcale nie żartuję. Przemówiłem w imieniu nas wszystkich.

— Jesteś zwolniony — oświadczył Gabriel.

Nie mógł podjąć gorszej decyzji. Jego słowa nie wywarły na mężczyznę żadnego wrażenia.

— Długo byliśmy cierpliwi, panie Cameron. Ale przebrała się miarka. Jutro nikt nie stawi się w pracy.

— W takim razie wszyscy jesteście zwolnieni — wrzasnął Gabriel.

Loran, który w pierwszej chwili chciał powstrzymać Gabriela, wrócił na swoje poprzednie miejsce. Jakakolwiek interwencja nie miała teraz żadnego sensu. Gabriel rzucił im wyzwanie, a ci ludzie je przyjęli.

Kilku robotników przedarło się przez tłum i wystąpiło naprzód. Choć nie mieli broni, zachowywali się agresywnie. Ashley — to musiał być on — uniósł karabin.

— Mój Boże, ten idiota zamierza wystrzelić — powiedział Abner.

— Nie odchodź — odezwałam się błagalnie. — Nie zostawiaj mnie samej, Abnerze.

Ale Ashley nie nacisnął na spust. Widocznie zabrakło mu odwagi, choć nie opuścił broni. Powietrze przeszył huk wystrzału. Doleciał z tyłu, gdzieś od strony tłumu robotników.

— Wiedziałem, że mają broń — powiedział Abner. — Pozwól mi do nich pójść. To moja rodzina. To moi ludzie. Nie mogę pozostać tutaj.

Wyrwał mi się i ruszył przed siebie. Chciałam pobiec za nim, ale ludzie obstąpili mnie i zanim się przedarłam przez tłum, było za późno.

Po pierwszym strzale Loran i Gabriel unieśli swoje karabiny, a stojący za nimi ludzie wyciągnęli pistolety. Był to bardzo niebezpieczny moment, pełen napięcia. Abner chwiejnym krokiem szedł pod górę, wymachując rękami i coś wykrzykując. Jediną rzeczą, o której mogłam w tej chwili myśleć, było to, że oto widzę umierającego człowieka, kroczącego na spotkanie śmierci.

Rozległ się kolejny wystrzał. Abner spojrział przez ramię. Był teraz już bardzo blisko swojej rodziny. Musiał dostrzec błysk ognia, bo zebrał dość sił, by rzucić się do przodu i pociągnąć ojca na ziemię, zanim zdołała go dosięgnąć kula.

Niezupełnie mu się to udało. Wiedziałam, że mu się nie uda. Padł kolejny strzał. Wydawało się, że Abner nagle znieruchomiał. Po chwili zachwiał się i runął twarzą do przodu. Upadł dokładnie tak, jak zobaczyłam to w zwierciadle.

Pośpieszyłam w górę stoku. Podbiegłam do Abnera i uklękłam obok niego. Nie żył. Zginął na miejscu. Ktoś uklękł obok mnie. Glen. Wstałam i przemówiłam do ojca Abnera.

— Zabierajcie się stąd, wracajcie do domu. Dostyc przelanej krwi, jak na jeden dzień. Jeśli tu pozostaniecie, będzie więcej ofiar. A tak ludzie się rozejdą i wtedy będziecie mogli wrócić po ciało Abnera.

Patrzył na mnie oszołomiony.

— Wynoście się stąd! — krzyknęłam. — Wynoście się... wszyscy! Wynoście się!

Wolno odwrócili się. Wydawało mi się, że Loran chce coś powiedzieć, ale uczynił tylko bezradny gest i podążył za pozostałymi. Stałam twarzą do milczącego tłumu robotników.

— Nieważne, który z was wystrzelił, bo szczerze mówiąc, wszyscy jesteście temu tak samo winni. Nie wiem, co będzie jutro, ale właśnie zabiliście człowieka,

który oddałby swoje życie, by wam pomóc — i uczynił to. Wracajcie do domów!
Proszę, wracajcie do domów!

Rozległo się głośnie szuranie setek stóp. Robotnicy zaczęli się wycofywać. Podeszłam do Glena. Usiedliśmy na pokrytej kurzem drodze, obok ciała człowieka, którego oboje kochaliśmy.

— Cholerni głupcy! — powiedział Glen. — Cóż za cholerni głupcy!

— Nie przeklinaj ich, najdroższy. Znajdowali się w takim stanie umysłu...

— Próbował ratować swego ojca. Zobaczył, że jakiś głupek z tłumu celuje w Gabriela.

— Nie myślałam, że uda mu się wejść na Wzgórze, taki był chory — powiedziałam. Rozejrzałam się wkoło. — Wszyscy się rozeszli. Nie możemy tak tutaj zostawić Abnera. Pójdę im powiedzieć, by przyszli po ciało.

— Dobrze — powiedział Glen. — Zrób to. Nie chcę ryzykować spotkania z żadnym z nich. Wciąż jestem zbyt wzburzony, a co za tym idzie, mogę nie zapanować nad swoim językiem.

Wstałam i strzepnęłam kurz z sukni. Otarłam oczy wierzchem dłoni, wiedząc, że rozmazałam tylko brud na twarzy. Ruszyłam wolno w stronę siedziby Cameronów. Loran wyszedł przed dom.

— Maeve, nie ponoszę odpowiedzialności...

— Zamilcz, proszę — powiedziałam. — Wszyscy ponosicie odpowiedzialność na równi z mieszkańcami miasta. Teraz nie ma to i tak żadnego znaczenia. Tam, na drodze, leżą zwłoki wspaniałego człowieka. Zginął próbując ratować życie ojcu, który go nienawidził. Abner był jednym z najwspanialszych ludzi, jacy kiedykolwiek chodzili po tej ziemi. Nie dorównujecie mu wszyscy razem wzięci. Poleć tym krzepkim zuchom, by przenieśli ciało twojego bratanka do domu. Do domu, którego nie lubił za życia, ale gdzie po śmierci jest jego miejsce.

— Przypilnuję tego — powiedział Loran.

Odwróciłam się. Zanim doszłam do Glena, minęło mnie czterech mężczyzn. Podnieśli zwłoki Abnera. Staliśmy z Glenem trzymając się za ręce i obserwowaliśmy,

jak nieśli je pod górę, a potem zniknęli w domu na Wzgórzu. Wielkie drzwi zatrasnęły się z hukiem za nimi.

*

Wciąż nie wypuszczając ręki Glena, zeszłam razem z nim do miejsca, gdzie stała nasza bryczka. Ktoś sprowadził konia z drogi na pole. Klacz zadowolona skubała sobie trawę. Wróciliśmy bryczką do domu. Wokół panowała martwa cisza, ulice były opustoszałe, nad ziemią pulsowało rozgrzane powietrze.

Dopiero następnego dnia trochę się otrząsnęłam. Glen nie miał żadnych pacjentów. Rano syrena fabryczna zawyła jak zwykle. Robotnicy podążyli do pracy.

Glen udał się do ratusza, żeby dowiedzieć się czegoś o pogrzebie Abnera. W szkole odbywały się normalne lekcje i Patty poszła na zajęcia. Siedziałam razem z Jennie przy stole. Żadna z nas nie miała siły, by wstać i pozmywać po śniadaniu.

— Ciekawa jestem, co zrobią — powiedziała Jennie. — Chodzi mi o pogrzeb Abnera. Jak myślisz, czy mieszkańcy miasta wezmą w nim udział?

— Mam nadzieję, że nie. Mogłoby dojść do następnej konfrontacji. Wciąż jeszcze zaślepieni są głuchą nienawiścią.

— Obawiam się, że jeśli zwolnienia nie zostaną cofnięte, to co widzieliśmy wczoraj, będzie niczym w porównaniu z tym, co nas czeka.

— Nie możemy do tego dopuścić — powiedziałam. — Nie wiem, jak temu zapobiec, ale trzeba coś zrobić.

Jennie ponownie napełniła filiżanki.

— Ciekawa jestem, jak przyjęła zamieszki Nora.

— Wątpię, by zrozumiała więcej niż Patty.

— Nora jest prawie dwa lata starsza. Już wkrótce stanie się młodą panienką.

— Tak, wiem.

— Razem z Patty tworzą niezwykle urodziwą parę.

Skinęłam głową.

— Nie zamierzam czekać w nieskończoność, by im oznajmić, że są siostrami. Mają prawo wiedzieć, a Nora musi się wreszcie dowiedzieć, że ja jestem jej matką, a

nie Helen.

— Wiem, że może to nieodpowiednia chwila, by o tym mówić, ale ostatnie wydarzenia miały pewien pozytywny skutek. Wczoraj wieczorem oświadczył mi się Willie.

— Jennie, naprawdę?

— Tak. Chcemy się jak najszybciej pobrać. Ale nie tutaj. Willie chce stąd wyjechać i nie mam o to do niego pretensji. Otrzymał kilka propozycji pracy. W Bostonie czeka na niego dobra posada.

— Och, Jennie, tak się cieszę. To wspaniała nowina. Choć na pewno będzie nam ciebie bardzo brakowało. A co na to Glen?

— Jeszcze mu nic nie mówiłam, ale prawdopodobnie w tej chwili Willie go o wszystkim informuje. Willie powiedział, że pójdzie na spotkanie w ratuszu i weźmie Glena na słówko. Chcemy natychmiast stąd wyjechać. Jak najszybciej.

— Boston nie leży tak daleko — powiedziałam. — Ale jak my sobie bez ciebie poradzimy? Szczególnie Patty.

— A ja nie wiem, jak wytrzymam bez niej. Powiesz jej o moim wyjeździe? Nie czuję się na siłach, by sama to zrobić.

— Oczywiście.

— Chciałabym, żeby Glen już wrócił. Robotnicy dziś rano jak zwykle udali się do pracy, licząc na to, że Cameronowie odwołają zwolnienia. Nie wiem, co się dzieje w fabryce.

— O świcie rozległa się syrena — przypomniałam jej. — Czyli, że wezwali ich do pracy. — Zdumiało mnie to, ale miało w sobie coś pocieszającego. Bałam się, że Cameronowie w ogóle zamkną fabrykę.

— Tak, słyszałam syrenę. Podejrzewam, że gdyby brama fabryczna pozostała zamknięta, do tej pory w mieście byłoby już sporo wrzawy i zamieszania. Pomyśleć tylko, że musiał ktoś zginąć, by się opamiętali, i to jeden z nich.

— Jennie, przypominasz sobie przepowiednię zwierciadła? — spytałam.

— Nie chcę o tym mówić, Maeve, proszę, nie poruszaj tego tematu. Tu chodzi o

coś nadnaturalnego, niesamowitego i upiornego.

— Z zwierciadło zawsze mówi prawdę.

— Często się go radzisz?

— Tylko wtedy, kiedy odczuwam potrzebę. Nie powinno się go traktować jak kryształowej kuli u wróżki. Pójdiesz na pogrzeb Abnera?

— Nie wiem. Mogą nas nie wpuścić. Myślisz, że wezwą policję? Ostatecznie było to morderstwo.

— Wątpię — powiedziałam. Razem z Glenem rozmawialiśmy o tym przed położeniem się spać. — W razie jakiegokolwiek śledztwa również im zadano by bardzo dużo niewygodnych pytań.

— Za jedno mogę ręczyć. Żaden mieszkaniec miasta nie powie, kto oddał ten strzał.

— Jennie, to zostało zrobione rozmyślnie. Sprawca powinien ponieść karę, ale wiem bardzo dobrze, że ujdzie mu to na sucho. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności towarzyszące owym wydarzeniom, należy jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie.

Glen wrócił pół godziny później. Ledwo zdążyliśmy posprzątać w kuchni. Usiadł przy stole wyraźnie zirytowany.

— Całe miasto mówi o pogrzebie biednego Abnera i co należałoby teraz zrobić. Cóż, nic nie należy robić. Cameronowie pochowali Abnera na cmentarzu rodzinnym jeszcze wczoraj wieczorem. Prawie w tajemnicy. Skądś sprowadzili trumnę. Musieli chyba skorzystać z pomocy tych wynajętych ludzi. Tak czy inaczej, Abner jest już w grobie. O ile dobrze zrozumiałem, nie było żadnych uroczystości żałobnych. Może sam Abner ich sobie nie życzył. A tak zwani prywatni detektywi wyjechali.

— Najdroższy — powiedziałam — musisz wystawić świadectwo zgonu, prawda?

— Tak. Jako przyczynę śmierci podam ranę postrzałową, ale pominę milczeniem okoliczności, w jakich padł strzał. Zresztą tych świadectw i tak nikt nie czyta. Umieszcza się je w aktach. Wątpię, by kiedykolwiek ktoś się zainteresował tym

dokumentem.

— Jak długo by jeszcze żył, gdyby nie został zabity? — spytałam.

— Nie więcej niż miesiąc. Był już tak osłabiony, że nie zdziwiłbym się, gdyby umarł za dwa tygodnie.

— Czy masz coś przeciwko temu, żebym poszła na grób Abnera i zmówiła za niego modlitwę?

— Chcesz, żebym poszedł z tobą? — spytał Glen.

— Nie, wolę iść sama. Jeśli pojawi się nas więcej, inni też mogą zechcieć się dołączyć, co grozi dalszymi kłopotami. Nie zabawię tam długo.

— Jak zwykle masz rację. Poza tym właśnie się dowiedziałem, że moja siostra nas opuszcza. Muszę z nią porozmawiać.

Nie kryłam się z tym, że udaję się na cmentarz. Leżał jakieś czterysta metrów za domem Cameronów. Minęłam siedzibę rodu i przeszłam przez metalową furtkę, która prosiła się o naoliwienie. Nowy grób wydawał się oddalony od pozostałych mogił. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że miejsca obok grobu dziadka były zarezerwowane dla Gabriela, Evelyn i Lorana. Często zastanawiałam się, czy powinnam była przenieść tutaj zwłoki Joela, ale już dosyć dawno doszłam do wniosku, że z całą pewnością woli spoczywać tam, gdzie znajdował się obecnie, na spokojnym wiejskim cmentarzyku, w pobliżu moich rodziców.

Uklęknęłam obok mogiły Abnera i pochyliłam głowę, zatapiając się w modlitwie. Wiedziałam, że ktoś stanął za mną, ale nie zważając na to dokończyłam pacierz. Kiedy wstałam, ujrzałam Lorana.

— Powinnaś się cieszyć — powiedział niespodziewanie. — Abner nie zginął nadaremnie.

— Uratował życie swojemu ojcu — powiedziałam. — Cóż więcej może uczynić człowiek?

— Odwołaliśmy decyzję o zwolnieniach robotników. Fabryka funkcjonuje normalnie.

— To wspaniale. Szkoda tylko, że musiał ktoś zginąć, by do tego doszło, panie

Cameron.

— Zgadzam się, to wstyd i hańba. Abner był ciężko chory, prawda?

— Tak, był bardzo chory i marniał w oczach.

— Prawie go nie poznałem. Od tygodni nie zaglądał do domu.

— Dziwiło was to?

— Proponuję, Maeve, byśmy ograniczyli naszą rozmowę wyłącznie do spraw fabryki. Kiedy podjęliśmy decyzję o zwolnieniu grupy robotników, uważaliśmy ją za konieczną. Otrzymujemy coraz mniej zamówień. I według moich przewidywań sytuacja jeszcze się pogorszy. Może nie jutro czy za miesiąc, ale za cztery, pięć lat takie fabryki, jak nasza, pozostaną bez pracy. Ludzie muszą to zrozumieć.

— Zrozumieliby, gdybyście ich traktowali jak istoty ludzkie. Jeśli interesy stoją źle, czy fabryka coś na tym straci, gdy rodzinom robotników pozwoli się dalej mieszkać w fabrycznym osiedlu? Nawet jeśli nie mogą płacić czynszu? Albo będą zadłużeni po uszy w przyfabrycznym sklepie? Nie zamierzacie przecież zwinąć interesu, a kiedy sytuacja się poprawi, ci ludzie będą wam potrzebni. A po kryzysie zawsze następuje wzrost koniunktury. Poza tym możecie spróbować zmienić profil produkcji.

— Myślmy o tym. Czy znane ci jest aktualne położenie finansowe rodziny? Chodzi mi o to, że śmierć Abnera nie pociągnie za sobą żadnych zmian, jeśli idzie o udziałowców.

— Wiem, że jedną trzecią udziałów ma ojciec Joela, jedną trzecią Helen i jedną trzecią ja, w spadku po Joelu. Wiem też, że Abner został pominięty w testamencie.

— Bo był zbyt leniwy i na wszystko obojętny.

— Pan też nie otrzymał żadnego udziału — dodałam. Uśmiechnął się.

— Trochę mnie to zabolalo. Tak, staruszek również mnie wydziedziczył, ale zrobił to, bo wiedział, że i tak sobie poradzę. Zmierzam do tego, że po śmierci Abnera nie będziesz miała więcej do powiedzenia w sprawach fabryki, niż masz teraz.

— Rozumiem.

— Jeszcze jedno. Deborah opowiedziała nam, jak ją przywiozłaś do domu. Dziękujemy ci.

— Nie potrzebuję waszych podziękowań za to, co robię dla mojej własnej córki. Będę się domagała prawa spotkania się z nią.

Potrząsnął głową.

— Wyjechała stąd.

Poczułam gwałtowny skurcz serca.

— Dokąd? Gdzie ją wywieźliście?

— Znajduje się pod dobrą opieką. Helen wyjechała z nią za granicę. Otrzymała w Europie wykształcenie godne panienki z dobrego domu.

— Sądzę, panie Cameron, że powinnam położyć temu kres. Już wkrótce zamierzam podjąć konkretne kroki.

— Maeve, sytuacja nie uległa zmianie. Deborah uważa cię teraz za dobrą, sympatyczną kobietę i lubi cię. Ale jeśli zrobisz cokolwiek, by sprzeciwić się naszym metodom wychowawczym, zostanie poinformowana o twoich schadzках z owym Irlandczykiem o zabawnym imieniu. Dowie się o tym, jak podczas balu zwabiłaś znanego kobieciarza do ciemnego ogrodu, by cię mógł obłapywać i całować. Mamy niepodważalne dowody. No więc jak? Czy mamy ją poinformować, że utrzymywaliśmy w tajemnicy przed nią fakt, iż jesteś jej matką, bo nie jesteś kobietą godną tego, by Deborah nazywała cię matką? I pokazać jej dowody?

— Jak pan może stać nad grobem własnego bratanka, do śmierci którego walnie się pan przyczynił, i grozić mi takimi wyssanymi z palca historyjkami? Nie ma pan ani serca, ani sumienia, panie Cameron. Nie zasługuje pan na to, by stać tak blisko grobu wspaniałego człowieka, który porzucił swój własny dom, bo was rozszyfrował. Nie ma pan ani odrobiny wstydu.

Oddaliłam się. Nie próbował za mną iść. Podeszłam do bryczki, wsiadłam do niej i odjechałam, tak wzburzona, że nie byłam w stanie uronić nawet jednej łzy. Weszłam do domu kipiąc gniewem. Jennie akurat się pakowała. Nie chciałam mieć jej szczęścia własnymi problemami. Glena wezwano do pacjenta, Patty była w szkole.

Kiedy Glen wrócił, wciąż wrzałam gniewem. Powiedziałam mu o wszystkim.

— Złożyli po kryjomu ciało biednego Abnera do grobu, a potem wywieźli moją córkę, nie mówiąc mi o tym ani słowa.

— Chcesz zaryzykować i dowieść, że informacje, którymi trzymają cię w szachu, są nieprawdziwe? — spytał Glen. — Jeśli się na to zdecydujesz, pomogę ci. Wiem, że chodzi o stek kłamstw. Może udałoby nam się tego dowieść.

— Nie, Glenie. Kiedyś zrezygnowałam z kontraktaku ze względu na Norę. Poza nią nie liczy się nikt. Nic się nie zmieniło. Kiedy ostatni raz byliśmy razem, pocałowała mnie i przytuliła się do mnie. Wprawdzie jest to niewiele, ale lepsze to niż nic. Nie zaryzykuję.

— Przynajmniej ona nic na tym nie ucierpi.

— Tak, to prawda. Ale przysięgam, że pewnego dnia dowie się prawdy. Jeszcze nie zrezygnowałam, Glenie. Znajdę jakiś sposób.

— W mieście panuje spokój. Mam nadzieję, że tak już zostanie. Nikt już nie mówi o strajku ani o podpaleniu fabryki. Śmierć Abnera położyła kres podobnym pomysłom.

— Loran powiedział, że nadchodzą ciężkie czasy, bo coraz trudniej o zamówienia i panuje coraz większa konkurencja. Co należałoby w tej sytuacji zrobić?

— Nie wiem. Jeśli fabryka przejdzie na skrócony czas pracy, robotnicy będą musieli to zrozumieć. Wydaje mi się, że rozumieją. Musimy zaczekać i przekonać się.

Wszystko wydawało się ulegać zmianie. Nie tylko tutaj, w Cameron, ale na całym świecie. Było to niemal namacalne. Działy się dziwne rzeczy, zapowiadające wielki przełom. Kraj nagle zdał sobie sprawę z własnej potęgi i zaczął rozpościerać skrzydła.

Jeśli chodzi o zmiany w naszym życiu, głównym wydarzeniem był wyjazd Jennie. Glen kontynuował praktykę lekarską. Wiedziałam, że nigdy nie będzie bogaty, ale obojgu nam było to obojętne. W banku narastały dywidendy od moich udziałów w fabryce i niczego nam nie brakowało.

Patty rosła tak szybko, że nieustannie zdumiewała nas swoim rozwojem. Byliśmy pełni optymizmu. Może śmierć Abnera, choć wywołała w moim sercu głęboki żal, położyła kres niepokojom w mieście i niedoli jego mieszkańców. Miałam nadzieję, że fabryka będzie dobrze prosperowała, nie ze względu na swój własny interes, ale z uwagi na dobro miasta. Miałam również nadzieję, że Nora jest szczęśliwa i pewnego dnia będzie na tyle silna, by znieść prawdę, którą zamierzałam jej wyznać.

A więc razem z Glenem i Patty wiedliśmy spokojne życie, z ufnością spoglądając w przyszłość. Raz — tylko raz — tydzień po śmierci Abnera, wyjęłam zwierciadło. Nie ukazało mi nic. Pozostało ciemne, więc mogłam żyć bez obaw. Byłam kochana, cieszyłam się przynajmniej jedną z moich córek, wiedziałam, że mojej pierworodnej nic nie grozi.

Były to dobre czasy, spokojne czasy, i w pełni korzystaliśmy z uroków życia.

CZEŚĆ CZWARTA

Zwierciadło cieni

Rozdział trzynasty

Nadszedł rok 1913. Lata nie ciągnęły się już bez końca, tylko stały się przeraźliwie krótkie. Miałam trzydzieści siedem lat, a Glen był dobrze po czterdziestce. Nieco utył, ale ja również, choć nieznacznie. Zaczęłam ograniczać się w jedzeniu. Włosy miałam wciąż ciemne, podczas gdy u Glena pojawiły się początki siwizny, choć czuprynę miał nadal bujną. Cesał się tak jak dawniej, z przedziałkiem po lewej stronie.

Patty miała piętnaście lat. Ta zdrowa, wesola, szczęśliwa dziewczyna, zadowolona z siebie i z życia, była moją prawdziwą pociechą. Miasteczko nie posiadało liceum, więc wysłaliśmy ją do szkoły z internatem w niezbyt odległym Portland, by mogła nas często odwiedzać. My również do niej jeździliśmy — droga była na ogół dobra i podczas ładnej pogody bardzo miło się jechało, choć zimą podróż stawała się czasem dość ryzykowna. Glen był zafascynowany samochodami i co roku kupował nowe auto.

Podczas dnia dom był pusty. Kiedyś miałam do towarzystwa i Jennie, i Patty, teraz pozostał mi tylko Glen. Choć starał się każdą wolną chwilę spędzać ze mną, był jednak bardzo zajęty i większość czasu przebywał poza domem. Starłam się znaleźć sobie jakieś zajęcie i zaczęłam wzbogacać swoje wiedzę o fabryce i przemyśle włókienniczym w ogóle.

Dywidendy znacznie zmalały. Uruchomiono nowe przedsiębiorstwa, większe i nowocześniejsze. Transport bawełny z Południa, przez całe Stany, do Nowej Anglii, był kosztowny, więc nowe fabryki lokowano na Południu, bliżej plantacji bawełny.

Robotnicy szybko zrozumieli, że mogą się uważać za szczęściarzy, iż w ogóle mają jakąkolwiek pracę. Z początku niektórzy wyjeżdżali z miasta, choć rzadko udawało im się w ten sposób poprawić warunki życia, bo gdzie indziej było jeszcze gorzej niż u nas. Ale migracja części mieszkańców przestraszyła Cameronów. Zmieniili swoje postępowanie wobec robotników. Obniżyli czynsze i ceny we wszystkich sklepach i punktach usługowych, których byli właścicielami. Stali się również bardziej wyrozumiali, jeśli chodzi o egzekwowanie długów. Posunęli się nawet do tego, że w domach, które wynajmowali, wprowadzili szereg udogodnień: elektryczność, łazienki, porcelanowe zlewy w miejsce starych, żeliwnych. Odmalowane fasady wpłynęły na poprawę wyglądu miasta i samopoczucia jego mieszkańców. Cameronowie, ludzie wyjątkowo skąpi, pojęli w końcu, że choć interesy nie idą najlepiej, to jednak fabryka jakoś funkcjonuje, a jeśli robotnicy będą na tyle niezadowoleni, że zaczną opuszczać miasto, trzeba będzie w ogóle zamknąć zakłady. Glen mówił, że Cameronowie zmądrzeli w obliczu druzgocącego ciosu, inaczej mówiąc — nadejścia nowych czasów.

Jennie i Willie'emu Markhamom powodziło się całkiem nieźle, mieli trzech rozbrykanych synów. Odwiedzaliśmy ich przeciętnie dwa razy do roku. Glenowi trudno było wyrwać się z domu choć na kilka dni. Brakowało lekarzy i nie było nikogo, kto mógłby go zastąpić choćby na krótko. Był tak sumienny, że pozwalał sobie tylko na kilkudniowe wyjazdy.

Podczas wszystkich tych lat ani razu nie radziłam się swego zwierciadła. Nie mogło mi wyprorokować większego szczęścia niż to, którego doświadczałam, a nie miałam ochoty ujrzeć w nim jakiegoś przygnębiającego obrazu.

Nora wróciła z Europy. Razem z Helen spędziły tam kilka lat i przyjechały zaledwie parę miesięcy temu. Kiedy się dowiedziałam o ich powrocie, mało brakowało, a sięgnęłabym po czarodziejskie zwierciadło, bo akurat wtedy zatonął *Titanic*. Podczas tych wypełnionych udręką godzin, kiedy telegraf przyniósł informację o katastrofie, szalałam z niepokoju, czy aby Helen i Nora nie znajdowały się na pokładzie statku. Okazało się, że płynęły *Lusitanią*, więc cały mój niepokój był

zupełnie niepotrzebny.

Nie spotkałam jej jeszcze po powrocie z Europy. Kilka tygodni spędziły w Nowym Jorku i z tego, co wiedziałam, Nora zawitała do domu na Wzgórzu dwa, trzy tygodnie temu. Jeśli nawet przyjeżdżała do miasta, nie wiedziałam o tym i nie spotkałam jej.

Byłam z siebie dumna, bo ostatnio zrobiła się ze mnie zupełnie niezła kobieta interesu. Podczas spotkań udziałowców uważnie słuchano moich wystąpień, a ja wiedziałam, o czym mówię. Moje informacje pochodziły bezpośrednio od naszych kontrahentów, których odwiedzałam, z prasy fachowej i od komiwojażerów, stale przebywających w terenie.

— Nie podoba mi się obecna sytuacja w fabryce — powiedziałam pewnego wieczoru Glenowi. — Powstały nadmierne zapasy, a zamówienia nie napływają tak, jak się spodziewano.

— Czy można coś na to poradzić?

— Nie wiem, Glenie. Próbuję znaleźć rozwiązanie.

— Czy wzięłaś pod uwagę fakt, że w Europie dojdzie do wojny? — spytał.

Skinęłam głową.

— Owszem. Sądząc po lekturze gazet jest to nieuniknione.

— W zeszłym roku doszło do jednego konfliktu, teraz rozpoczęła się druga wojna bałkańska. Na całym tym obszarze wrze jak w kotle. Te małe państewka: Serbia, Czarnogóra, Bułgaria, Grecja... a z drugiej strony potężna Turcja... od wieków panuje między nimi nienawiść.

— Czy ten konflikt może wyrzucić jakiś wpływ na nasze życie? — spytałam, okazując całkowitą ignorancję w tym zakresie.

— Konflikt między nimi — nie. Ale Niemcy mają potężną armię i nie potrzeba im specjalnej zachęty ani pretekstu, by wmieszać się do tego zatargu. Francuzi będą próbowali ich powstrzymać. Wtedy rozpocznie się prawdziwa wojna, do której mogą przystąpić kolejne państwa.

— Gdyby tak się miało stać, czy my również zostaniemy w to jakoś wciągnięci?

— Nie potrafię odpowiedzieć. Nie jesteśmy wojowniczym narodem. Ale jeśli rzeczywiście dojdzie do wybuchu wielkiej wojny, walczące kraje będą potrzebowały od nas wielu towarów, a między innymi, co oczywiste, wszelkiego rodzaju tekstyliów. Wyrobów bawełnianych, wełnianych i innych.

— Od tej pory będę uważniej czytała wszelkie doniesienia dotyczące wojny — postanowiłam. — Według ciebie jak długo może potrwać?

— Rok, nie więcej.

— Będą w o wiele większym stopniu zainteresowani wyrobami z wełny niż z bawełny — powiedziałam. — Poza tym wytwarzanie tkanin wełnianych jest znacznie zyskowniejsze niż bawełnianych. Jest jeszcze coś. Nasze maszyny są prawie zupełnie wyeksploatowane i Cameronowie rozważają zakup nowych. Czemu nie miałyby to być urządzenia przetwarzające wełnę?

— Mundury wojskowe są z sukna — powiedział Glen. — A będzie ich potrzeba co najmniej dziesięć milionów. Kiedy wybuchnie wojna, zostanie zmobilizowanych tylu mężczyzn, że europejskie fabryki nie będą w stanie zrealizować wszystkich zamówień. Europejczycy będą się musieli zdać na nas. To najlepsza okazja do przewyciężenia kryzysu w naszym przemyśle.

— Zamierzam poruszyć ten temat na najbliższym posiedzeniu zarządu.

— Najprawdopodobniej modernizacja będzie wymagała znacznych nakładów. Czy Cameronowie mają tyle pieniędzy?

— Nie — powiedziałam. — Pod pewnymi względami są bardzo oszczędni, właściwie skąpi, ale z drugiej strony szastają pieniędzmi. Dużo ich kosztował pobyt Nory i Helen w Europie. Gabriel sporo zainwestował w akcje tuż przed ubiegłorocznym krachem. Może Loran ma trochę pieniędzy, ale na pewno za mało.

— Na Boga, Maeve, w takim razie nie uda się wam. Będziecie potrzebowali przynajmniej pół miliona.

— Tak — odrzekłam wolno. — Zgadza się, ale wiem, skąd tyle wziąć.

— Pół miliona? Czy wiesz, ile to pieniędzy?

— Tak, spora kwota, ale mam już całkiem pokaźną sumkę w banku, a moje

udziały w fabryce mogą wykorzystać jako dodatkowe zabezpieczenie kredytu. Dobra królowa Maeve zapewni resztę.

— O czym ty mówisz?

— O naszyjniku! — powiedziałam.

Glen gwałtownie potrząsnął głową.

— Zapomniałem o nim, bo nigdy go nie widziałem. Nie wiem, ile moglibyśmy za niego dostać, ale przecież i tak nie wolno ci go sprzedać. Musi pozostać w rodzinie. Nie wolno ci się z nim rozstawać nawet dla ratowania fabryki.

— Wcale nie zamierzam się go pozbywać. Och, trochę zaryzykuję, ale z tego, co mówisz, mam spore szanse na powodzenie. Będziemy potrzebowali pieniędzy na bardzo krótko. Dwa, trzy lata. Bank udzieli mi pożyczki, jeśli jako zabezpieczenie dam naszyjnik i udziały w fabryce.

— Moja kochana, naiwna żono. Bank nie odróżni twego naszyjnika od zuluskiego świecidełka.

— Uważam, że to się da załatwić — nie ustępowałam, bo myślałam nad tym już od jakiegoś czasu. — Musimy pomóc fabryce. Zwracam ci uwagę, że nie robimy tego dla Cameronów ani nawet dla Nory. Robimy to dla mieszkańców miasta, którzy są zależni od fabryki i bez niej zginą.

— Moja droga, a jak zamierzasz doprowadzić do tej transakcji finansowej?

— Już pan Arnold będzie wiedział, jak to załatwić. Pojadę do Nowego Jorku i porozmawiam z nim. Czy mam twoją zgodę?

— Oczywiście. A także moją pomoc, jeśli na cokolwiek się zda. Czy najpierw nie powinnaś uzyskać pewności, że Cameronowie zaaprobuja twoją propozycję?

— Nie mają innego wyjścia.

— Racja. Moja najdroższa Maeve, pamiętaj o jednym. To będą twoje pieniądze i ty będziesz ryzykowała. Co chcesz zyskać w zamian?

— Dwie rzeczy — odparłam. Dopiero przed chwilą przyszły mi do głowy. — Będę się domagała pięćdziesięciu jeden procent udziałów, żeby móc mieć kontrolę nad firmą. I prawa spotykania się z Norą.

— Bardzo dobrze. — Uśmiechnął się lekko. — Którą z tych rzeczy uważasz za ważniejszą?

— Nie wiem — powiedziałam. — Jutro spróbuję znaleźć odpowiedź. Tak długo, jak wierzysz we mnie, z radością zaryzykuję.

— Nigdy się nie zgodzą, byś zyskała kontrolę nad fabryką.

— Może nie. Ale nauczyłam się trudnej sztuki kompromisu.

— Nie oddadzą ci również Nory.

— Zobaczymy.

— Może powinnaś poradzić się zwierciadła? — spytał Glen.

— Uważam, że nie. Nawet gdyby przepowiedziało klęskę, i tak spróbowałabym. Bo doszłam do wniosku, że należy to zrobić. Po tym, co powiedziałaś mi na temat wojny w Europie, czuję, że nadszedł idealny moment, na który tyle czekałam, i dalsza zwłoka równałaby się niemal niepowodzeniu. Jutro udam się na Wzgórze.

*

Nazajutrz wieczorem pojechałam samochodem na Wzgórze. Już dawno pozbyliśmy się koni. Miejska wypożyczalnia powozów wciąż funkcjonowała, ale zarabiała więcej na sprzedaży benzyny niż wynajmowaniu bryczek. Wraz z wprowadzeniem samoczynnych rozruszników kobiety bez kłopotów radziły sobie z prowadzeniem samochodów, chyba że nawaliła opona albo auto ugrzęzło w błocie. Pilnowałam się, by nie jeździć zbyt daleko i korzystałam wyłącznie z twardych dróg.

Zatrzymałam wóz przed siedzibą Cameronów. Aż dziw, że tak mało się zmieniła. Chyba nawet róże rosły tam gdzie dawniej. Z domem tym nie łączyły mnie żadne miłe wspomnienia, choć kiedy mieszkałam tu, będąc w ciąży z Norą, traktowano mnie jak księżniczkę.

Drzwi otworzyła mi Martha. Bardzo się postarzała, ale przyjęła mnie ze zwykłą obojętnością. Zaszczyciłam ją chłodnym uśmiechem.

Wiedzieli, że przyjadę. Zadzwoiłam, by upewnić się, że wszyscy będą obecni. W salonie zebrali się wszyscy z wyjątkiem Helen i Nory.

Niewiele się zmieniło od czasów, gdy pojawiłam się tu pierwszy raz. Ojciec

Joela był zupełnie siwy, ale na twarzy nie miał ani jednej zmarszczki. Nie można było tego powiedzieć o Evelyn, matce Joela. Włosy miała wprawdzie ciemne, podejrzewałam, że dzięki specjalnym preparatom, ale zmarszczki wokół ust i na szyi zdradzały jej wiek i na niewiele zdawały się farby do włosów, których używała.

Loran przytył, twarz miał rumianą. Może pił za dużo brandy, nie wiem. Był prawie zupełnie łysy, nie licząc wąskiego pasma włosów wokół głowy. Palił grube cygara. Ćmił właśnie jedno z nich, przyglądając mi się trochę kpiącym wzrokiem, jak to zawsze czynił.

Ashley niezbyt się zmienił, choć urósł mu wydatny brzusek, którego nie mogły ukryć spodnie na szelkach.

Usiadłam nie czekając, aż mnie o to poproszą. Od dawna przestałam przejmować się etykietą w obecności tych ludzi.

— Przyszłam, by nieco rozproszyć przygnębienie, które was wszystkich, jak widzę, ogarnęło — powiedziałam. — Póki będziecie stali, nie powiem nic więcej.

Usiedli. Loran, który już wcześniej siedział, pochylił się i spoważniał. Z tonu mojego głosu wywnioskował widocznie, że moja wizyta ma doniosłe znaczenie. Może miał nadzieję, że znalazłam sposób na przetrwanie.

— Prosimy, Maeve — odezwał się Loran. — Jak wygląda ten twój wspaniały pomysł?

— Na Bałkanach toczą się walki. Działania wojenne przybierają na sile i konflikt obejmie nowe obszary. Wkrótce będzie ze sobą walczyło pół Europy.

— Ta kobieta oszalała! — Nie zauważyłam, kiedy do salonu weszła Marcy Tabor. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie.

— Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy jej słuchali. Cóż ona wie o Europie?

— Usiądź, Marcy, i bądź cicho — powiedział Loran. — Wydaje mi się, że wiem, do czego zmierza.

— To wojna między biedakami, którzy nie mają innego zajęcia poza wzajemnym zabijaniem się — ciągnęła Marcy.

— Ashleyu, idź na górę po Helen — poprosił Loran. — Spędziła tam kilka lat.

Powinna mieć jakieś zdanie na ten temat...

A więc Helen była w domu. Może Nora też.

— Niech Nora również przyjdzie — powiedziałam. — Ona też tam była i jestem pewna, że potrafi obserwować i słuchać nie gorzej od Helen.

— Nie! — Evelyn wstała, by zatrzymać Ashleya. — Deborah nie przyjdzie tutaj.

— Na miłość boską, nie wolno mi się nawet zobaczyć z własną córką? — spytałam. — Nie mam zamiaru z nią uciec.

— Pod żadnym warunkiem nie! — powiedziała Evelyn. — Zabraniam.

Ashley rozejrzał się zdezorientowany, nie wiedząc czyje polecenie wykonać. Ja również wstałam. Poprawiłam kapelusz i zaczęłam nakładać rękawiczki.

— W takim razie do widzenia — powiedziałam.

— Ashleyu, przyprowadź Helen i Deborah — rozkazał Loran.

— Loranie, nie wolno ci...

— Evelyn, nie wiem, co Maeve ma nam do powiedzenia, ale nie przyszła tutaj dla kaprysu. To, co chce nam zakomunikować, jest ważne, a my znaleźliśmy się w trudnym położeniu. Grozi nam utrata fabryki i wszystkiego co posiadamy.

— Pani Cameron — zwróciłam się do niej — dam pani słowo, że nie powiem Norze, iż jest moją córką. Jeszcze nie teraz.

Evelyn ponownie usiadła. Sięgnęła po wachlarz leżący na stoliku obok i zaczęła się energicznie wachlować, choć w salonie wcale nie było gorąco. Usiadłam na krześle.

Pierwsza zeszła Helen.

— Dobry wieczór, Maeve — powitała mnie uprzejmie. — Mimo swoich lat wyglądasz bardzo dobrze.

Helen nie zmieniła się wcale. Zachowała szczupłą, młodzieńczą figurę. Zazdrościłam jej.

— Z tobą czas obszedł się wyjątkowo łaskawie, Helen.

— Dziękuję. Jak się ma twoja córka?

— Bardzo dobrze. Jest w szkole z internatem.

— Ach, racja, jest młodsza od Deborah, prawda? — Nie zaczekała na odpowiedź, urwała niespodziewanie i przemówiła do Lorana: — Stryju Loranie, chciałeś się ze mną zobaczyć?

— Tak. Usiądź, to może trochę potrwać. Dyskutujemy nad sytuacją w Europie. Maeve sądzi, że wojna ogarnie nowe obszary. Spędziłaś w Europie kilka lat. Jaka jest twoja opinia na ten temat?

— Kłopoty ograniczą się jedynie do Bałkanów — odparła Helen. — Wojna nie rozszerzy się na inne kraje. Większe państwa są zbyt rozsądne, by wszczynać kolejną wojnę.

— Czy byłaś w Niemczech? — spytałam.

— Owszem, i to cały rok. Byłyśmy gośćmi na balu wydanym na cześć cesarza Wilhelma.

— Powiedz mi — ciągnęłam — czy sytuacja gospodarcza Niemiec jest dobra?

— Lepsza niż Stanów. Gospodarka wprost kwitnie. Potrafią produkować.

— Czy zakłady Kruppa mają co robić? — kontynuowałam.

— Oczywiście. Pracują nawet w nocy.

— Powiedz mi, Helen — Loran przeszedł nagle na moją stronę — co produkuje imperium Kruppa?

— No więc... więc...

— Karabiny — powiedziałam. — Broń wszelkiego typu. Nie wytwarzają samochodów ani pługów, tramwajów ani wózków dzieciennych. Robią broń! W jakim celu?

— Masz rację, Maeve — powiedział Loran. — Jakie jest twoje zdanie, Gabe? Gabriel skinął głową.

— Muszę się z tym zgodzić.

— Wojny lokalne toczą się cały czas — zauważyła matka Joela. — Nie ma żadnych przesłanek, by wierzyć, iż większe państwa włączą się w konflikt.

Zanim mogłam sprzeciwić się tej uwadze, przemówiła Helen.

— Kiedy się nad tym zastanowiłam, myślę, że Maeve może mieć rację —

powiedziała. — Oficjalne uroczystości, w których brałyśmy udział, miały niemal charakter wojskowy, tylu było na nich oficerów armii. Poza tym człowiek odnosi wrażenie, że żołnierze są wszędzie. Słyszałam, że powołują do wojska coraz młodsze roczniki. Wszyscy uważali, że to zwykła formalność.

— Maeve, zgadzam się z twoją teorią — odezwał się Loran. — Dziękuję ci, Helen, za twoją pomoc. Informacje z pierwszej ręki są zawsze najbardziej wiarygodne. Założmy, że zanoszą się na wielką wojnę. Maeve, znasz obecne położenie fabryki. Możemy zgarnąć olbrzymie zyski, jeśli uda nam się zdobyć zamówienia, ale nie wiemy, jak szybko dojdzie do wybuchu wojny.

— Co nam po zamówieniach, skoro nie będziemy mieli nowych maszyn? — spytał ponuro Gabriel. — A nie mamy pieniędzy na ich wymianę.

— Domyślam się, Maeve — powiedział Loran — że przyszedł tu z jakimś gotowym projektem.

— Musimy się przerwycić na wyroby z wełny, może również z innych surowców. Musimy wymienić nasze maszyny na nowocześniejsze. Będzie to sporo kosztowało i trochę potrwa.

Gabriel pochylił się, by zaprotestować, a Marcy Tabor prychnęła pogardliwie. Evelyn tylko wzruszyła ramionami, jakby cała ta sprawa jej nie interesowała, ale Helen i Loran słuchali uważnie.

— Zanim zaczniecie wysuwać obiekcje — ciągnęłam — wysłuchajcie mnie do końca. Mam jeszcze dużo do powiedzenia, i to ważnych rzeczy.

— Oddajemy ci głos — przyzwolił Loran.

— Ta wojna, jeśli wybuchnie, może trwać długo. Siła robocza w Europie będzie na wagę złota. Fabryki nie będą produkować tyle, ile powinny. W tej sytuacji wszyscy zwrócą się do Ameryki. Największe zapotrzebowanie będzie na wyroby z wełny. Mamy może kilka miesięcy, by się do tego przygotować, by kupić maszyny, zainstalować je, nauczyć robotników, jak je obsługiwać i wyprodukować przynajmniej tyle, by mieć na składzie jakieś zapasy.

— To szaleństwo. — Marcy Tabor użyła swojego ulubionego zwrotu.

— Co o tym myślisz, Gabe? — spytał Loran.

— Ma rację — przyznał ojciec Joela. — Ale żeby kupić maszyny, przestawić produkcję... ile by to kosztowało?

— Sądzę, że pół miliona — powiedziałam.

— Dolarów? — Ashleyowi aż zapało dech. Był to jego pierwszy wkład w dyskusję.

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

— I ani centa mniej — zgodził się Loran. — Maeve, mówiąc szczerze nie stać nas na to.

— Bardzo dobrze zdaję sobie z tego sprawę — powiedziałam.

— W takim razie jaki sens przychodzić tu z projektem, którego nie można zrealizować? — chciał wiedzieć Gabriel.

— Mogę doprowadzić do jego realizacji — oświadczyłam. Nadszedł moment mojego triumfu.

— Ty? Masz pół miliona? — drwiąco spytał Loran.

— Powiedziałam, że mogę doprowadzić do realizacji tego projektu. Mam zupełnie dobre szanse. Jeśli uda mi się zgromadzić połowę tej kwoty, każdy bank pożyczy resztę. Mam rację?

— Tak, ale skąd wziąć ćwierć miliona dolarów?

Ujrzałam, jak moja dorosła córka wchodzi do pokoju. Kiedy ją widziałam po raz ostatni, była jeszcze dzieckiem, a teraz stanęła przede mną niemal kobieta. Z wdziękiem przeszła przez pokój. Może przy dużym wkładzie pracy Patty za dwa, trzy lata dorównałaby jej urodą. Biło z niej zrównoważenie, pewność siebie, śmiałość — i wyniosłość, której wcale nie kryła.

— Pamiętasz panią Kinnery? — spytała Helen.

— Tak, trochę — odparła Nora.

Gdyby zaprowadzić ją do jednego pokoju, a Patty do drugiego, i gdyby jedna z nich przemówiła, trudno by było zgadnąć, która z nich się odezwała. Ze sposobu jej wysławiania się można było poznać osobę bardzo dobrze wykształconą. Nie wiem, co

poza tym zrobili z tej dziewczyny, natomiast na pewno uczynili z niej prawdziwą młodą damę. Wyobraziłam ją sobie sunącą po parkiecie z wielką gracją, występującą w roli gospodyni na przyjęciu, siedzącą na honorowym miejscu przy stole podczas ważnego bankietu.

Pamiętała trochę swoją matkę.

— Bardzo ładnie wyglądasz — powiedziałam. — Czy podobało ci się w Europie?

— Oczywiście. Czy mogę spytać, jaki jest cel tego zgromadzenia?

— Pani Kinnery miała nam właśnie powiedzieć, w jaki sposób może zdobyć pół miliona dolarów na modernizację fabryki, byśmy mogli zacząć pracować pełną parą i zarobić trochę grosza — wyjaśnił Loran.

— Czy to możliwe? — spytała Nora. — Pani Kinnery i pół miliona...?

— Moja droga — powiedziałam — gdyby to było niemożliwe, nie siedziałabym tu i nie mówiła o tym.

— Przepraszam panią — powiedziała sztywno.

— Maeve, może byś przeszła do sedna sprawy. Czego chcesz w zamian? — spytał Loran.

— Dwóch rzeczy — powiedziałam. — O jednej w tej chwili nie wspomnę, ale jestem pewna, że domyślacie się, o co mi chodzi. Druga musi zostać formalnie przeprowadzona, zanim cokolwiek zrobię. A dotyczy zagwarantowania mi pięćdziesięciu jeden procent udziałów.

Loran wstał.

— Dobranoc, Maeve.

— Mówiłam wam, że to wariatka! — powiedziała Marcy.

Wciągnęłam rękawiczki.

— Dobranoc panu, panie Cameron... i wam wszystkim. Było mi bardzo miło z państwem się spotkać.

Wymaszerowałam, rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie Norze, modląc się, by nie było w nim widać tęsknoty, którą czułam.

Podeszłam do samochodu. Drzwi wejściowe uchyliły się i ktoś zbiegł po marmurowych stopniach. Odwróciłam się i czekałam, aż podejdzie do mnie Helen. Była sama.

— Maeve, nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale chciałabym wyjaśnić kilka rzeczy. W pokoju dałaś do zrozumienia, że czegoś zażadasz. Domyślałam się, że chodzi o to, byśmy ci oddali Deborah.

— Tak — powiedziałam.

— Wyrosła z niej śliczna dziewczyna, prawda?

— Ostatecznie to moja córka. Zrozumiałe, że jest taka piękna.

— Posyłałam ją do najlepszych szkół w Europie. Otrzymała wykształcenie jak rzadko która panienka. Mówi po francusku i włosku. Biegłe włada niemieckim i hiszpańskim. Nauczyła się manier. Poznała tyle ważnych osobistości, że z trudem mogłabym wymienić nazwiska choć części. W tej chwili potrafiłaby zarządzać zamkiem z pięćdziesięcioma osobami służby. Jest biegła we wszystkim, co robi.

— Nie mam co do tego wątpliwości.

— Czy ty byłabyś w stanie tyle dla niej uczynić?

— Mogłabym ją obdarzyć miłością macierzyńską.

— Kocham ją jak córkę — powiedziała Helen.

Odwróciłam się od niej i wsiadłam do samochodu. Przepelniała mnie taka złość, że uruchamiając silnik spowodowałam, iż przepustnica zawyła głośno. Podejrzewam, że odgłos ten przestraszył wszystkich mieszkańców domu. Odjechałam kipiąc gniewem. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że gotowa byłam odesłać ich do wszystkich diabłów. Czemu miałabym ryzykować utratę naszyjnika, pomagając takim ludziom jak oni? Niech diabli wezmą fabrykę i ich razem z nią.

W domach stojących przy ulicy Main paliły się światła. Niektórzy mieszkańcy siedzieli na schodkach przed drzwiami albo w hamakach i bujanych ławeczkach na werandach. Pozdrawiali mnie głośno, a ja machałam do nich ręką.

Gdyby Cameronowie zbankrutowali, wszyscy ci dobrzy ludzie zginęliby razem z nimi. Powrócił mi zdrowy rozsądek. Potrzebna mi była teraz mądrość Glena i jego

niezłomność, kiedy będziemy podejmować decyzję. Zapraǳnęłam, by przytulił się do mnie, pocałował mnie obejmując delikatnie, uspokoił moją duszę i nerwy.

Zaczełam mu zdawać relację z wizyty u Cameronów, zanim jeszcze zdjęłam kapelusz i woalkę. Pomógł mi zdjąć prochowiec i powiesił go w szafie.

— Blefują — oświadczył. — Znają cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że potrafisz zdobyć pieniądze, ale nie mogą się zgodzić na twoje warunki bez walki. Cóż, podejmiemy wyzwanie.

— Musimy mieć całkowitą pewność, najdroższy — powiedziałam. — Zbyt wiele ryzykujemy.

— Poczekają dzień lub dwa, czy znów się u nich nie pojawiysz. Jeśli nie złożysz im wizyty, sami przyjdą do ciebie. Radzę ci zaczekać.

— Tak potrzebuję twoich rad, najdroższy Glenie. We wszystkich sprawach.

— Może uda nam się osiągnąć kompromis.

— Zastanawiam się, co się stanie, jeśli mój projekt nie zostanie wprowadzony w życie. Myśl ta przyszła mi do głowy, kiedy jechałam wzdłuż ulicy Main. Przepelniała mnie taka wściekłość, że gotowa byłam pozwolić im zbankrutować. Doprowadzili mnie do białej gorączki, a Helen wyszła za mną, by mi jeszcze raz powiedzieć słodko, jak tylko ona potrafi, że to ona jest matką Nory. Wyobrażasz to sobie? Odjechałam, żeby nie zrobić czegoś, czego bym później żałowała.

— Widziałaś Nore?

— Och, tak. Glenie, jest cudowna. Ale ani trochę ładniejsza od naszej Patty, ani odrobinę mądrzejsza, a poza tym Patty jest milion razy bardziej uczuciowa. Tylko że Nora została wykształcona jak prawdziwa dama. O tak — jak prawdziwa dama. Włada kilkoma językami, co w mieście takim jak nasze, którego mieszkańcy mówią zaledwie jednym językiem, ma ogromne znaczenie. Niemniej dużo dla niej zrobili. Wychowali ją nie tak, jak ja bym to zrobiła, ale mimo wszystko dobrze. Odzyskam ją. Powiedziałam im o tym. Teraz nie stać ich już na to, by mi się sprzeciwić. Znam ich tragiczne położenie.

— I położenie miasta — przypomniał mi Glen.

— Tak, miasta i ludzi, których kochamy. Och, Glenie, nie wiem, co robić. Pomóż mi! Nie pozwól mi zachować się jak jakaś zwariowana baba. Powstrzymaj mnie i przypilnuj, bym zrobiła to co należy.

— Inicjatywa spoczywa teraz w ich rękach. Przedstawiłaś im swoją propozycję. Oni albo ją przyjmą, albo odrzucą.

— A według ciebie co zrobią? — spytałam.

— Zaproponują jakiś kompromis. Nigdy nie zgodzą się na oddanie ci kontroli nad fabryką, ale możesz uzyskać większy wpływ na jej funkcjonowanie.

— A jeśli chodzi o Norę? Och, Glenie, zaczynam tracić nadzieję. Wydaje mi się, że zamknęli ją w skorupie, której nigdy nie uda mi się rozbić. Nawet jeśli mi ją oddadzą, w jaki sposób zyskam i utrzymam jej miłość? Biorąc pod uwagę całą jej wyniosłość, znajomość pięciu języków i edukację. Pobierała nauki u utytułowanych znakomitości, podczas gdy mnie uczył ojciec i stara kobieta, która nigdy na oczy nie widziała szkolnej izby.

— Patty jest moją córką i zawsze będę ją faworyzował — powiedział Glen. — Załadaj od obu rozwiązania jakiegoś trudnego problemu, wymagającego poważnego zastanowienia się, a jedna nie przewyższy drugiej. Z tego, co wiem o Norze, leczyłem ją przecież, kiedy była dzieckiem, obie dziewczynki mogłyby być bliźniaczkami, mają tak podobne charaktery i umysły.

— Rzeczywiście bardzo są do siebie podobne — przyznałam. — Mogłyby być razem takie szczęśliwe. Będę się upierała, by mi ją oddali.

— Nie zrobią tego. Będą się opierali bez względu na to, co byś im zaproponowała. Nora jest ich przyszłością. Czymś ważniejszym niż dobrze prosperująca fabryka.

— Tak, zgadzam się z tobą. Ale czy nie mam prawa mieć jakiegoś udziału w tej przyszłości? Czy jej część nie należy do mnie?

— Bez wątpienia tak. Nawet całkowicie należy się tobie. Jest jednak coś, czego zdaje się nie dostrzegasz. Kiedy w grę wchodzi osoba Nory, myślisz wyłącznie jak matka, nie biorąc pod uwagę innych okoliczności.

— O jakich okolicznościach mówisz? — spytałam.

Zupełnie nie wiedziałam, co miał na myśli.

— Wysłali Norę za granicę, by was rozdzielić, ale mieli również co innego na względzie. Kiedy Nora dorośnie, dopilnują, by poślubiła kogoś wpływowego i majątnego, kto postawiłby fabrykę na nogi.

— Och, święta Petronelo! Wydadzą ją za księcia lub diuka. W dzisiejszych czasach robią tak wszyscy nuworysze.

— W przypadku Cameronów będzie istotna różnica. Nawet jeśli ich wybór padnie na księcia lub diuka, będzie to musiał być bardzo bogaty kawaler. W przeciwieństwie do ambitnych matek, szukających dla swoich córek utytułowanych narzeczonych, Cameronowie będą rozglądali się za kimś majątnym i wpływowym.

— Nie pozwolę na to.

W słowach Glena tkwiła wielka prawda. Nigdy wcześniej nie brałam tego pod uwagę ani nawet przez chwilę o tym nie myślałam. Ale rzeczywiście musieli kierować się takimi intencjami, wychowując Norę na wielką damę. Pragnęli wpływów i bogactwa, a Nora miała być magnesem, który je przyciągnie.

— Poczekamy, zobaczymy — powiedział Glen. — Nadejdzie dzień, kiedy będziesz musiała postawić wszystko na jedną kartę, ryzykując, że wykorzystają te fałszywe oświadczenia, ten stek kłamstw.

Powiedziałam sobie, że się nie ugnę. Nie była teraz właściwa pora, by o tym mówić, choć miałam obok siebie najbardziej kochającego mężczyznę, w kamizelkę którego zawsze mogłam się wyplakać.

— Glenie, pamiętam jak Nora, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, nazwała mnie złą kobietą. Bała się mnie. Myślę, że zapomniała o tym, ale ja nigdy tego nie zapomnę. Gdyby znów tak mnie nazwała, chyba by mi pękło serce. Och, jak dobrze ją wyszkolili ci ludzie! Jak dobrze mnie znają.

— Ale nie tak dobrze jak ja, Maeve. Jeśli będziesz musiała się im sprzeciwić, zrobisz to. Bez względu na konsekwencje.

Podeszłam do niego od tyłu, pochyliłam się i kiedy uniósł głowę, by spojrzeć na

mnie, pocałowałam go w czoło.

— Najdroższy, zamierzam poradzić się zwierciadła. Przysięgałam sobie, że nigdy już nie będę tego robiła, bo bardzo często zakłócało moje szczęście, ale teraz czuję, że muszę wiedzieć, czy los nie szykuje nam jakichś przykrych niespodzianek.

— Już tak dawno go nie wyjmowałaś, że może utraciło, swoją czarodziejską moc.

— Najdroższy, to zwierciadło ma ponad dwa tysiące lat. Jeśli przez wszystkie te lata zachowało swoje wyjątkowe właściwości, z pewnością mnie teraz nie zawiedzie. Poczekasz tu na mnie?

— Oczywiście. Przynieś je może tutaj.

— Dobrze — powiedziała i pośpieszyła na górę.

Jak zwykle przechowywałam je głęboko, w najciemniejszym kącie szafy. Zniosłam je na dół i z pełną czcią odwinęłam z materiału. Zawsze traktowałam ten kawałek metalu z szacunkiem, na jaki zasługiwał.

— Wygląda tak samo — powiedziała Glenowi. — Tylko środkowy fragment zachował dawny blask, ale obrazy i tak pojawiają się tam, gdzie powierzchnia jest matowa. Najdroższy, trzymaj mnie mocno za rękę. Robię coś, czego przysięgałam nigdy już nie uczynić. Boję się tego, co mi ukaże lustro.

Ujął moją dłoń. Chuchnęłam lekko na zwierciadło, a potem przycisnęłam je mocno do piersi. Zamknęłam oczy i szeptem wymówiłam prośbę do ducha kobiety, która od dwudziestu wieków nie żyła.

— Proszę, powiedz, czy odzyskam córkę? Czy zagraża jej jakieś niebezpieczeństwo?

Wolno uniosłam zwierciadło do oczu. Obraz pojawił się i już zaczynał znikać, ale nie miałam wątpliwości, co przedstawia. Znow ujrzałam wodę. Ale tym razem nie było to wzburzone, spienione morze, tylko gładka tafla wody, bez najmniejszej zmarszczki. Kiedy zniknęła, w lustrze mignął profil młodej dziewczyny. Nie zdążyłam rozpoznać z całą pewnością, do kogo należy, ale widziałam dosyć, by się domyślić.

Odwróciłam się do Glena.

— Kiedyś ujrzałam wzburzone morze; wkrótce umarł mój ojciec. Później widziałam obraz, który stopniowo gasł, tak jak gaśnie płomień ludzkiego życia; niebawem straciłam Joela. Ujrzałam wzburzony tłum; z jego ręki zginął Abner. Teraz znów widziałam wodę — i profil dziewczyny.

— Czy to była Nora? — spytał. — Czy grozi jej jakieś niebezpieczeństwo?

— To nie była Nora, Glenie, tylko Patty. Jestem tego pewna.

— Na twoim miejscu — powiedział Glen lodowatym tonem — zniszczyłbym to zwierciadło.

— Och, nie, mój drogi, ostrzegło nas. Będziemy mieli się na baczności.

— Tak jak twój ojciec?

— Mój ojciec nie znał przepowiedni dotyczącej jego śmierci. Nigdy mu o niej nie powiedziałam. Joel też nie wiedział, że wkrótce umrze. Teraz też niczego nie powiem Patty, ale od tej chwili będziemy jej bacznie strzegli.

— Czy na pewno była to Patty? Pytałaś o Norę.

— To była Patty. Jednak — dodałam z wahaniem — tym razem obraz był inny. Tante złowróżbne wizje, przedstawiające profile ojca i Joela, były niematerialne, podczas gdy podobizna Patty była wyraźna i jasna. Poza tym nie rozplýwała się stopniowo, tylko zniknęła w jednej chwili. Może to coś oznacza. Nie wiem. Nieważne, istotne jest to, że naszej córce grozi coś niedobrego i na nas spoczywa odpowiedzialność, byśmy temu czemuś zapobiegli.

— Zrobimy co w naszej mocy — zapewnił mnie Glen. — Czy znasz taki wypadek, kiedy w wyniku działania człowieka przepowiednia się nie spełniła?

— Nie. Nigdy o niczym takim nie słyszałam.

— Będziemy jej pilnowali.

— Woda była spokojna, stała nieruchomo, przypominała jeziorko. Najdroższy, nigdzie w okolicy nie ma żadnej wody.

— Z wyjątkiem rzeki, która właściwie nie jest rzeką. Kiedyś wykorzystywano ją jako źródło energii dla fabryki. Później Cameronowie odwrócili jej bieg, żeby nie

podpływała zbyt blisko do zakładów. Nie była im już potrzebna, bo wprowadzili maszyny parowe.

— Czy jest tam jakiś staw? Nie zaglądałam tam zbyt często, więc nie pamiętam.

— Można go tak określić. Kiedy byłem chłopcem, pływałem w nim. Nie dało się w nim nurkować, bo jest zbyt płytki, ale nasi ojcowie opowiadali nam, jak pływali w rzece i zakładali się, jak blisko uda im się podpłynąć do koła wodnego. Nie zostało rozebrane, choć od lat nie jest używane.

— W takim razie należy ostrzec Patty, by nie zbliżała się do fabryki od strony, gdzie jest staw — powiedziałam. — Wymyślę jakiś pretekst, by trzymała się z dala od tych miejsc.

— Zrobi dokładnie to, o co ją poprosisz. Patty jest posłuszną dziewczyną, nie trzeba jej grozić ani kusić obietnicami, by zrobiła, o co się ją prosi.

Przy kolacji spytałam Patty, co wie o starej części fabryki i o stawie.

— Pytam, bo jedyne, co mogłabyś tam robić, to się pluskać. Jest zbyt płytki, by w nim pływać, szczególnie dla takiej dużej dziewczyny jak ty.

— Wcale nie jest taki płytki, mamusiu — odparła Patty.

— Kiedyś w nim pływałam. To bardzo miłe miejsce, latem panuje tam przyjemny chłód. Mnóstwo dzieciaków chodzi tam pływać. Mówiłam ci o tym.

— Jakoś mi umknęło — powiedziałam.

Zanim ujrzałam przepowiednię w zwierciadle, nie zaprzętałam sobie głowy fabrycznym stawem. Patty była świetną pływaczką.

— Nie chodzimy tam teraz, bo to miejsce dobre dla dzieciaków — stwierdziła z powagą. — Jestem już za duża. Poza tym woda w nim jest czasami brudna. Dziś po południu widziałam Deborah Cameron.

— Tak? W mieście?

— Prowadziła samochód. Czerwony.

— Nie rozmawiałaś z nią?

— Pomachałam jej ręką, ale chyba mnie nie zauważyła. Często jej się to zdarza. Kiedy razem chodziłyśmy do szkoły, mówiłyśmy jej, że jest ślepa.

— Widziałam ją w domu Cameronów — powiedziałam.

— Jest bardzo ładna.

— Też tak sędzę. Powiedz mi, mamusiu, czemu niektórzy ludzie są tacy zarozumiali? Co sprawia, że Deborah uważa, iż jest lepsza od innych?

— Wychowanie, jakie otrzymała — powiedział Glen. — Nauczono ją takiego zachowania. Wszyscy Cameronowie są zarozumiali.

Patty kiwnęła głową. Niezbyt się tym przejmowała.

— Tak myślałam. Cóż, jeśli zamierza tu mieszkać, nie będzie miała zbyt wielu przyjaciół.

— Lubisz ją? — spytałam. Miałam nadzieję, że ton mojego głosu jest całkowicie obojętny.

— Nie wiem, mamusiu. Nigdy jej dobrze nie znałam.

— Nie miej do niej pretensji o to, że jest taka wyniosła — powiedział Glen. — Nauczono ją tego. Nigdy nie pozwolili jej, by zachowywała się inaczej.

— Jezu, ale się cieszę, że nie mieszkam na Wzgórzu.

— Ja też, moja mała — powiedziałam. — I razem z ojcem bardzo się cieszymy, że nie jesteś zazdrosna o Deborah.

— A czego mam jej zazdrościć? Wolę być sobą. Czy mogę już odejść od stołu? Zaraz po powrocie do szkoły czeka mnie straszny test z geografii.

— Możesz odejść — powiedział Glen. — Nie oblej testu ani nie traktuj z takim lekceważeniem geografii, bo wydaje ci się teraz taka nudna. Kiedy dorośniesz, cały kraj pokryty będzie siecią nowych dróg i będziesz musiała umieć posługiwać się mapą, byś mogła trafić tam, dokąd będziesz zmierzała. Zmykaj więc do siebie.

Usłyszeliśmy, jak zamyka drzwi do swojego pokoju. Glen uśmiechnął się.

— Nie sędzę, żebyśmy musieli się martwić tym, że Patty pójdzie pływać w stawie. Jak sama powiedziała, jest zbyt duża na takie głupie zabawy.

— I tak się będę niepokoiła. Ale muszę przyznać, że kamień spadł mi z serca. Ciekawa jestem, ile czasu będą potrzebowali Cameronowie, by podjąć decyzję?

Tej nocy nie spałam dobrze. Czułam się przygnieciona zbyt wieloma

problemami. Przekazanie funduszy na modernizację fabryki wiązało się z dużym ryzykiem. Wiedziałam, że jeśli nie zachowam maksimum ostrożności, Cameronowie bezlitośnie mnie wykorzystają.

Następnego dnia po południu, kiedy wróciłam do domu z krótkiego wypadu na zakupy, Glen powiedział, że dzwonił do mnie Loran i prosił, bym oddzwoniła. Aparat telefoniczny stał w gabinecie Glena. Kiedy skończył przyjmować pacjentów, wzięłam do ręki słuchawkę.

— Alice, połącz mnie proszę z fabryką — powiedziałam. Ktoś odebrał telefon. Poprosiłam do aparatu Lorana. Podszedł natychmiast. — Prosił pan, żebym zadzwoniła — powiedziałam.

— Tak. Chciałbym, żebyś do nas wpadła najszybciej, jak to tylko możliwe. Pragniemy ci przedstawić bardzo wspaniałomyślną ofertę.

— Przyjadę za godzinę, panie Cameron. Im szybciej skończymy wstępne rozmowy i przystąpimy do modernizacji fabryki, tym lepiej dla wszystkich.

Odwiesiłam słuchawkę.

— Ma jakąś propozycję — powiedziałam Glenowi. — Czy nie pojechałbyś ze mną?

— Sama sobie z nimi poradzisz, Maeve. Niczego nie podpisuj, tylko ich wysłuchaj.

— Oczywiście. Zanim na cokolwiek się zdecyduję, wpierw poproszę o opinię pana Arnolda z Nowego Jorku.

Przebrałam się w beżową spódnicę, wykończoną ciemnobrązową plisą i dobrany kolorem żakiet. Mały słomkowy kapelusz nasunęłam nisko na czoło i przywiązałam go wąskim woalem. Włożyłam prochowiec i rękawiczki.

Glenowi nie był akurat potrzebny samochód, więc udałam się do fabryki autem i w godzinę po rozmowie telefonicznej z Loranem weszłam do jego gabinetu. Zostałam tam również Gabriela Camerona. Ucieszyłam się, że Evelyn i Marcy Tabor były nieobecne, choć żałowałam, że nie ma Nory.

— Od razu przystąpmy do rzeczy — powiedział Loran. — Po pierwsze, czy

jesteś pewna, że możesz zebrać tyle pieniędzy?

— Całkowicie pewna, panie Cameron — odpowiedziałam.

— Skąd weźmie pani taką kwotę? — spytał ojciec Joela.

— Wolałabym tego w tej chwili nie wyjawiać. Niech wam wystarczy stwierdzenie, że pieniądze będą pochodziły z uczciwego źródła i jeśli zajdzie potrzeba, mogę się wyliczyć z każdego centa.

— Bardzo dobrze — odparł Loran. — Nie możemy ci dać pakietu kontrolnego. Pięćdziesiąt jeden procent absolutnie nie wchodzi w grę i myślę, że dobrze o tym wiesz.

— Co w takim razie proponujecie?

— Dostaniesz czterdzieści dziewięć procent.

— Chcę pięćdziesiąt. To moje ostatnie słowo. Loran wzruszył ramionami.

— Ostatecznie to ty masz pieniądze.

— Wspomniała pani coś o drugim warunku — powiedział ojciec Joela. — Rozumiem, że dotyczył on Deborah.

— Tak, dotyczył mojej córki.

— Pani Kinnery, proszę mnie wysłuchać — powiedział. — Jesteśmy gotowi pozwolić na to, by zbankrutowała fabryka, by przestało istnieć całe miasto, jeśli utrzymanie fabryki i miasta będzie uzależnione od oddania pani Deborah. Pod żadnym warunkiem nie oddamy pani tej dziewczyny.

— Jestem jej matką. Czy muszę panom o tym przypominać?

— Jest pani również ladaczną. Mamy dowody pani niemoralnego prowadzenia się w Irlandii. Również tutaj zachowywała się pani w sposób, który okrył wstydem całą naszą rodzinę. Nie pozwolę, by to dziecko dostało się pod wpływ takiej kobiety jak pani.

Popatrzyłam na niego, bo sprawa przybrała nieoczekiwany obrót.

— Wierzy pan w to, prawda, panie Cameron? Szczerze pan w to wierzy.

— Oczywiście. Przecież posiadamy dowody. Wystarczą, by uzyskać wyrok skazujący w każdym sądzie. Bo jeśli nas pani do tego zmusi, sprawa zakończy się w

sądzie. Jeśli Deborah ma się dowiedzieć prawdy, wolę, by odbyło się to w ten sposób, a nie, by usłyszała wszystko od pani. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.

Zrozumiałam, że mam teraz bardzo nikłe szanse odzyskania Nory. Przyjęłam to spokojnie, bo Glen wielokrotnie mi powtarzał, że Cameronowie będą nieugięci. Zdumiało mnie natomiast, że uwierzyli w owe absurdalne bajeczki.

— Zwrócę się do mojego prawnika, by przygotował umowę, zgodnie z którą otrzymam połowę udziałów — powiedziałam. — Umowa będzie zawierała kilka warunków, które mogą się panom nie spodobać, ale przy których będę twardo obstawała. Najważniejszym z nich będzie zapis, że każdy robotnik przez cały okres modernizacji fabryki, aż do ponownego uruchomienia produkcji, będzie otrzymywał wynagrodzenie równe poborom z ostatniego tygodnia.

— Co jeszcze? — spytał ojciec Joela.

— Całe zadłużenie robotników wobec fabryki zostanie umorzone. Dotyczy to zaległych czynszów, zakupów na kredyt w sklepach fabrycznych, wszelkich pożyczek, jeśli takowe były kiedykolwiek udzielane. Kiedy fabryka ponownie przystąpi do pracy, wszyscy będą mieli czyste konta. Dzięki temu będą pracowali chętniej i z większym zaangażowaniem.

— Możesz włączyć te warunki — powiedział Loran. — Kiedy będziesz wiedziała coś konkretnego o pieniądzach?

— Prawdopodobnie pojutrze. Zadzwońię do biura, a jeśli fabryka będzie zamknięta, do was do domu.

Ojciec Joela podszedł do drzwi.

— W takim razie uważam naszą rozmowę za zakończoną. Życzę pani miłego dnia, pani Kinnery.

— Nie wychodź jeszcze, Maeve — powiedział Loran. — Wierzę, że tym razem nam się uda. Zrobiłem pewne rozeznanie i wszystko wskazuje na to, że wkrótce popyt na wyroby wełniane poważnie wzrośnie. W Europie wybuchnie wielka wojna i będą im potrzebne tysiące mundurów.

— Czy kiedykolwiek oddadzą mi Deborah? — spytałam. — Dobrze się

orientuję, jakie mamy szanse powodzenia, jeśli chodzi o interesy, ale interesuje mnie również przyszłość mojej córki.

— Jeśli spróbujesz im ją odebrać, natychmiast się dowie o twoim niemoralnym prowadzeniu się, zarówno w Irlandii, jak i tutaj. W ten sposób zaszkodzą tobie, a już z pewnością spowodują, że Deborah odwróci się od ciebie, nawet jeśli będzie przekonana, że jesteś jej matką. Jeśli podejmiesz jakiegokolwiek kroki albo będziesz nalegała, by ci ją oddali, mój brat skorzysta z dowodów, które zgromadził przeciwko tobie. Są wystarczająco mocne, o czym wiesz równie dobrze jak ja, bo radziłaś się w tej sprawie swego adwokata. Gdyby ci powiedział, że masz szansę odzyskać dziecko, już dawno zaczęłabyś o nie walczyć.

— Panie Cameron, czy kiedykolwiek pomyślał pan — lub inni członkowie pańskiej rodziny — jak się czuje matka, która nie z własnej winy utraciła dziecko?

— Oczywiście. A czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, ile zrobiliśmy dla Deborah? Nie zapominaj też, że jej ojciec był jednym z nas.

— O nie! — zaprzeczyłam gwałtownie. — Nigdy nie był i dobrze o tym wiecie. Ani on, ani Abner nie chcieli mieć nic wspólnego z wami i waszymi metodami postępowania. Abner nie wyjechał, bo nie posiadając żadnych środków zmuszony był do pozostania w mieście. Gdyby podobnie jak Joel został uwzględniony w testamencie dziadka, też by stąd uciekł. O nie, wcale nie byli jednymi z was.

— Masz prawo do własnego zdania — powiedział Loran i wstał na znak, że uważa rozmowę za zakończoną.

Nie miałam nic przeciwko temu. Opuściłam go i pojechałam do domu, gdzie Glen czekał, żeby wysłuchać mojej relacji ze spotkania. Przedstawiłam mu ich propozycję.

— Jeśli dadzą mi połowę udziałów — powiedziałam — nie będę mogła przeforsować swoich decyzji, ale oni też nie będą mogli postawić na swoim. A bardziej niż mnie zależy im na odrobieniu strat, które notują od kilku miesięcy, a może nawet lat. Jeśli propozycje Cameronów nie będą mi odpowiadały, mogę się sprzeciwić wprowadzeniu ich w życie i mimo to przetrwam, podczas gdy oni — nie.

Glen skinął głową.

— Wyszli ci bardzo daleko naprzeciw. Przy tej okazji zdradzili się, jak bardzo potrzebują zastrzyku kapitału. Więc może twoja decyzja jest słuszna, ale nalegam, by została formalnie spisana.

— Jutro pojadę do Nowego Jorku i zwrócę się do pana Arnolda z prośbą, by zajął się całą sprawą i pouczył mnie, co mi wolno, a co nie jako właścicielce połowy udziałów. Podczas gdy on będzie przygotowywał umowę, zorientuję się, jakie są szanse zaciągnięcia pożyczki pod zastaw naszyjnika.

— Czy nie niepokoi cię to, iż jesteś zmuszona tak postąpić? Mówiłaś, że twoi przodkowie woleli raczej przymierać głodem niż sprzedać naszyjnik.

— Zgadza się, najdroższy, ale przecież ja go nie sprzedaję. Dość szybko ponownie go odzyskam. Martwiłabym się, gdyby Cameronowie wiedzieli, w jaki sposób chcę zdobyć pieniądze. Albo czemu ten naszyjnik ma dla mnie taką wartość. Już by się postarali, żebym nie oddała długu w terminie i straciła naszyjnik. Wtedy bym nie zaryzykowała.

— Ja też nie. Wiedziałem, że stanowczo sprzeciwią się oddaniu ci Nory.

— Słyszając dziś Gabriela Camerona zaczynam myśleć, że naprawdę wierzy, iż Cathal Dolan i ja winni jesteśmy niemoralnego prowadzenia się. I że naprawdę tamtej nocy zwabiłam owego gbura do ogrodu. Bóg jeden wie, w co jeszcze wierzą.

— Najprawdopodobniej tak długo wmawiali sobie te historyjki, że w nie w końcu uwierzyli. W głębi serca muszą wierzyć, że to kłamstwa. Pewnego dnia dowiedziemy tego.

— A będzie to wielki dzień — powiedziałam. — Martwię się przepowiednią zwierciadła. Proszę cię, najdroższy, gdyby Patty przyjechała ze szkoły do domu podczas mojego pobytu w Nowym Jorku, nie spuszczać jej z oka.

— Możesz być o to zupełnie spokojna. Choć wątpię, by przyjechała do domu. Zapomniałaś, że ma teraz egzaminy. Rozpoczęły się w ubiegłym tygodniu i będą trwały jeszcze w przyszłym.

— Dzięki niech będą Bogu. Wrócę na długo przed jej przyjazdem na wakacje.

Muszę się teraz spakować. Nie będzie mnie w domu najwyżej dwa, trzy dni.

Podróż pociągiem do Nowego Jorku niezbyt się różniła od tej sprzed lat, kiedy po raz pierwszy zjechałam do tego miasta, które później stało się moim domem. Z Cameron do Bostonu parowóz wyrzucał kłęby czarnego dymu, jak dawniej. W wagonie pulmanowskim z Bostonu do Nowego Jorku było dosyć czysto, ale strasznie gorąco. Małe wiatraczki w przedziałach niewiele pomagały.

Zatrzymałam się w nowym hotelu Waldorf-Astoria, jeszcze bardziej olśniewającym niż stary. Następnie zadzwoniłam do biura pana Arnolda i natychmiast się tam udałam. Wysłuchał mojej opowieści o naszyjniku i moim zamiarze wykorzystania go jako dodatkowego zabezpieczenia pożyczki. Znał się na tych sprawach i wiedział dokładnie, do kogo się zgłosić, aby uzyskać dokładne informacje.

Nazajutrz rano położyłam naszyjnik na biurku prezesa zarządu jednego z wielkich banków. Był zagorzałym wielbicielem zabytków z przeszłości i z miejsca zorientował się, że naszyjnik jest oryginalny.

— To wielki zaszczyt oglądać taki przedmiot — powiedział. — Podobne można ujrzeć tylko w muzeum w Dublinie.

— Ile mogłabym pożyczyć pod jego zastaw, panie Bishop? — spytałam.

— Pani Kinnery, pan Arnold szczegółowo ze mną przedyskutował tę kwestię. Ze swojej strony pozwoliłem sobie dziś rano, przed pani wizytą u mnie, poczynić rozeznanie. Istnieją wszelkie przesłanki, by fabryka Cameronów stanęła na nogi i zaczęła przynosić zyski. Mówiąc między nami, sytuacja na Bałkanach wygląda poważniej, niż się początkowo zdawało, i szanse na pokój są znikome. My, bankierzy, musimy się orientować w sytuacji międzynarodowej. Niemcy tylko czekają na pretekst, choćby błahy, by włączyć się do działań. W tych warunkach jest wykluczone, by nasz kraj wszystkiemu przyglądał się z boku. Czy nadaża pani za mną, pani Kinnery?

— Zdaję sobie sprawę z aktualnej sytuacji w Europie. Mój mąż na bieżąco śledzi jej rozwój. Wiem, że ogromnie wzrośnie popyt na wyroby wełniane i jeśli zgromadzimy pewne zapasy, możemy zarobić masę pieniędzy, bo cena z pewnością

pójdzie w górę.

— I to znacznie! Wojna zawsze wywołuje wzrost cen na wszystko, nie wyłączając życia ludzkiego. Ale wracajmy do interesów. Jestem gotów wypłacić pani żadaną kwotę, mając jako zabezpieczenie ten prześliczny i unikalny przedmiot. Wprawdzie banki na ogół nie zawierają podobnych transakcji, ale to wyjątkowy wypadek. Jeśli w całości zainwestuje pani te pieniądze w modernizację fabryki, jesteśmy gotowi udzielić zakładom dodatkowo ćwierć miliona dolarów kredytu.

— Panie Bishop, jestem bardzo wdzięczna...

— Pani Kinnery, to czysty interes. Bank na tym zarobi, a ja będę miał miłą świadomość, że ten wspaniały przedmiot jest w moim posiadaniu, nawet jeśli tylko przez krótki czas.

Resztę popołudnia spędziłam z panem Arnoldem, omawiając z nim treść formalnej umowy, którą będą musieli podpisać Cameronowie.

— Jej warunki nie są najlepsze — powiedział mi pan Arnold. — Ale rozumiem, że w obecnej sytuacji to wszystko, co mogła pani wytargować. Żeby przeforsować jakąkolwiek decyzję potrzebna będzie zgoda obu stron, ale czasami fabryka może dość dobrze funkcjonować nawet przy braku jednomyślności. Teraz chciałbym porozmawiać z panią o pani córce — tej, którą odebrali pani Cameronowie. O ile dobrze pamiętam, posiadają dokument podpisany przez jakiegoś Irlandczyka, który pod przysięgą oświadczył, że utrzymywaliście państwo ze sobą przez jakiś czas stosunki intymne. I że poślubiła pani Joela tylko dla pieniędzy.

— Zgadza się, taka jest treść tego dokumentu, panie Arnold.

— Poza tym podczas balu wydanego przez Cameronów doszło do pewnego incydentu, w wyniku którego znalazła się pani w dwuznacznej sytuacji.

— Tak.

— Nie wątpię, że owego mężczyznę skłoniono do odegrania komedii, a może mu nawet za to zapłacono. Od tamtej pory minęło już trochę czasu. Może ów pan zmienił zdanie. Czasami tak się zdarza. Nie wykluczam, iż gotów jest odwołać swoje zeznania i powiedzieć prawdę.

— Bardzo w to wątpię — odparłam.

— Rozumiem. Wróćmy zatem do tego Irlandczyka. Czy dysponuje pani jakimiś możliwościami dotarcia do niego?

— Mam brata-chirurga i to dość znanego. Mieszka w Szkocji. Może skontaktować się z Cathalem Dolanem.

— Czemu się pani o to do niego nie zwróciła? Niech porozmawia z owym mężczyzną i kto wie, może uda mu się go namówić do złożenia nowego oświadczenia, w którym odwołałby to, co zawarte jest w poprzednim.

— Często nad tym myślałam — powiedziałam. — Nie mam odwagi ryzykować. Cathal jest taki głupi, że nigdy nie odwoła tego, co powiedział. Gdybym wszczęła jakiegokolwiek kroki, Nora z pewnością dowiedziałaby się o wszystkim. Gdyby doszła do przekonania, iż jestem nieodpowiednią osobą, by być jej matką, chyba by mi pękło serce.

Pan Arnold znacznie się postarzał, ale jednocześnie nabrał ogromnego doświadczenia. Jego rady były mądre. Dobrze rozumiał, co czuję, bo od wielu lat miał do czynienia z podobnymi problemami.

— Wiem, co pani czuje, moja droga. Ale jeśli kiedykolwiek zmuszą panią do stawienia się przed sądem i będzie się pani musiała bronić, proszę się wtedy zwrócić do kogoś, by odwiedził tego Irlandczyka i jednocześnie sprawdził, co się da zrobić, by wyjaśnić tajemnicze okoliczności nagłej śmierci Joela.

— Nadal nie daje mi to spokoju — przyznałam. — Ale po tylu latach nie widzę możliwości udowodnienia, że został otruty.

— Z pewnością nie da się tego udowodnić na drodze badań lekarskich, ale są inne sposoby. Przecież ktoś musiał mu podać tę truciznę. W tym celu albo kogoś wynajęto, albo dokonała tego osoba, która spotkała się z Joelem specjalnie, by go otruć. Jeśli jest pani w stanie, proszę spróbować się dowiedzieć, z kim spotykał się Joel podczas swojej ostatniej bytności w Dublinie. Istnieje wiele sposobów, moja droga Maeve.

— Napiszę do mojego brata — powiedziałam. — Jeśli okaże się to konieczne,

sama pojedę do Irlandii. — Na chwilę zamknęłam oczy. — Z radością popatrzyłabym na swój stary dom i odwiedziłabym groby tych, których tak kochałam. Podsunął mi pan pewien pomysł, panie Arnold.

— Ale głównym celem wyprawy proszę uczynić rozwiązanie tej zagadki — ostrzegł mnie. — Niech dawne sentymenty nie przesłonią pani prawdziwego celu wyjazdu.

— Zapamiętam sobie pańskie słowa. Ale oczywiście nie mogę wyjechać teraz. W tej chwili najważniejsza jest modernizacja fabryki. Będę pana informowała o rozwoju sytuacji i jeszcze raz bardzo panu dziękuję. Powtarzam to za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam.

Po opuszczeniu biura pana Arnolda nie miałam już nic więcej do roboty w tym wielkim mieście, więc kupiłam bilety na podróż powrotną. Do Bostonu udałam się pociągiem nocnym. Siedząc samotnie w przedziale miałam czas zastanowić się nad słowami pana Arnolda i uzmysłowić sobie, jak mądra była jego rada.

Zaraz po śmierci Joela podejrzewałam, że przyczyną jego zgonu było zatrucie, ale nigdy mi nie przeszło przez myśl — byłam przecież naiwną dziewczyną, wychowaną w małej, irlandzkiej wiosce — że popełniono zbrodnię. Sądziłam jedynie, że gdzieś podano mu zepsute jedzenie. Teraz, starsza i znacznie mądrzejsza, zdałam sobie sprawę z tego, że mógł zostać rozmyślnie otruty, że podano mu jakiś wolno działający środek, który spowodował zgon.

Wiedziałam również, że gdybym spotkała się z Cathalem Dolanem, mogłabym go zmusić nie tylko do odwołania wcześniejszego oświadczenia, ale również do złożenia nowego, w którym informowałby, że poprzednio skłamał na żądanie pewnej osoby, która mu za to sownie zapłaciła.

Mijały godziny, ale w głowie miałam taki natłok myśli, że nie mogłam usnąć. Przypomniałam sobie przepowiednię zwierciadła dotyczącą Patty i znów zaczęłam się martwić. Konduktor zapukał i zapytał, czy przygotować mi miejsce do spania. Poprosiłam, by przyszedł później. Absolutnie nie byłam w nastroju do snu.

Zwierciadło ukazało mi spokojną taflę wody, a później profil Patty. Ponieważ

jednak jej twarz nie zanikała stopniowo, jak działo się z osobami, których śmierć przepowiedziało mi lustro, czułam, że niebezpieczeństwu zagrażającemu Patty można się przeciwstawić. Nie można zmienić biegu wypadków, bo przepowiednia musi się sprawdzić, ale że koniec końców Patty wyjdzie z tej opresji cała i zdrowa.

Próbowałam wyobrazić sobie, w jaki sposób może jej zagrażać gładka tafla wody, ale nadaremnie. Jedyne staw znajdował się w pobliżu starej fabryki. Miejsce wydawało mi się całkowicie bezpieczne.

W końcu przestałam zaprzętać sobie tym głowę i myślami zwróciłam się w stronę Cameronów i fabryki. Kiedy podpiszą dokument, który miałam przy sobie, stanę się właścicielką połowy udziałów. Nikt nie będzie miał większości podczas głosowania, ale zarówno Cameronowie, jak ja, będziemy mogli torpedować propozycje drugiej strony. Będą musieli się ze mną targować, a ja posiadałam nad nimi pewną przewagę. To ja kontrolowałam finanse.

Ustąpili mi teraz, ale kiedy fabryka zacznie odzyskiwać swoją dawną pozycję — a z pewnością zyska nawet większe znaczenie niż kiedyś — znów zaczną się zachowywać arogancko, bo nie będą się musieli zdawać na mnie w kwestii finansowania. Wciąż zachowam połowę udziałów, ale jeśli nie będę wyjątkowo ostrożna i przebiegła, znajdą sposób, by mnie wywieść w pole. Postanowiłam, że będę bardzo ostrożna.

Rozdział czternasty

Zatrzymałam się na jeden dzień w Bostonie, by odwiedzić Jennie i Willie'ego Markhamów. Świetnie im się powodziło; mieli cudowne dzieci. Spędziłam u nich uroczy wieczór. Wspominaliśmy dawne czasy, a potem opowiedziałam Willie'emu, co się teraz dzieje w miasteczku.

— Nigdy nie zapominaj — ostrzegł mnie — że Cameronowie są niezwykle pomysłowi. Godzinami siedzą i obmyślają kolejny ruch. Czekają na odpowiedni moment i wtedy wprowadzają swoje plany w życie. Maeve, oni nie cofną się przed niczym, by zaspokoić swoje ambicje. Pracowałam u nich dosyć długo, więc dobrze ich poznałam.

— Willie powiedział mi niedawno, że zamierzają wydać Norę za kogoś wpływowego i bogatego — dodała Jennie. — Zawsze nosili się z takim zamiarem. Dla nich Nora to inwestycja, rodzaj aktywów, które kiedyś przyniosą zysk. Maeve, jeśli jesteś w stanie, odbierz im ją.

— Możesz być pewna, że będę próbowała — odparłam. — Nawiasem mówiąc Glen powiedział mi to samo. Zamierzam, przedyskutować z nim całą sprawę. Może mimo wszystko uda się nam coś zrobić, by odzyskać Norę.

— Bardzo bym się cieszyła, gdyby się tak stało. Nora i Patty powinny się chować razem.

— Obiecuję ci, że zrobię wszystko, by tak było.

Po wizycie u nich poczułam się lepiej, zrobiło mi się lżej na sercu i ogromnie się ucieszyłam, kiedy ujrzałam na stacji Glena i Patty, czekających na mój przyjazd. Patty objęła mnie i uroniła ze szczęścia kilka łez. Tak ją kochałam. Glen otoczył mnie ramionami i pocałował tak żarliwie, aż mi zabrakło tchu. Zrozumiałam, jak bardzo za mną tęsknił.

Wieczorem, po kolacji, kiedy Patty poszła do swojego pokoju, by się uczyć, powtórzyłam Glenowi radę pana Arnolda i zakończyłam swoją relację słowami:

— Najdroższy, chcę jechać do Irlandii najszybciej, jak to tylko będzie możliwe.

Chcę zobaczyć swoje rodzinne strony.

— Jeśli będę mógł, pojedę z tobą. O ile oczywiście zechcesz.

— Och, Glenie, nie śmiałam cię prosić, ale bardzo tego pragnę. Zamierzam spotkać się z Cathalem Dolanem i zmusić go do odwołania oszczerstw. Wiem, że jestem w stanie to osiągnąć. Mściwy z niego człowiek, ale może po tylu latach złość mu przeszła. Jeśli nie, zmuszę go do powiedzenia prawdy.

— Kiedy będziemy mogli wyjechać? — spytał Glen.

— Chciałabym, żebyśmy mogli wyruszyć jutro, ale po naszym powrocie okazałoby się, że Cameronowie przejęli kontrolę nad wszystkim. Z przykrością muszę stwierdzić, że upłynie kilka tygodni, nim będziemy mogli wybrać się w podróż. Ale tyle już czekałam, by odzyskać Noreę, że mogę jeszcze trochę poczekać.

— Mam przecucie, że tym razem wygramy — powiedział Glen. — A teraz pozwól, że ja ci coś zakomunikuję. Mam dobrą wiadomość, choć kiedy ją usłyszałem, trochę się zaniepokoiłem, bo to zupełnie niepodobne do Cameronów.

— Co nowego wymyślili? — spytałam.

— Natychmiast po otrzymaniu twojego telegramu Loran wywiesił na tablicy ogłoszeń informację, że za tydzień fabryka zostanie zamknięta aż do odwołania. Że wszyscy robotnicy będą otrzymywali dotychczasowe wynagrodzenie, że zawiesza się pobór czynszów, wszelkie zaległości anuluje, a zadłużenie w sklepach fabrycznych umarza. Jest to rzecz tak nieprawdopodobna, że aż trudno w nią uwierzyć.

— Przywiozłam ze sobą formalną umowę, którą mają podpisać Cameronowie. Zawiera wszystko, o czym wspomniałeś. Takie postawiłam warunki.

— Zamierzają sobie przypisać wszystkie zasługi, chyba że się sprzeciwisz.

— Niech im będzie. To może mieć dobry wpływ. Pomiedzy robotnikami a Cameronami panuje taka wrogość, że trochę pozytywnych uczuć żadnej stronie nie zaszkodzi.

Glen usiadł obok mnie na kanapie i objął mnie.

— Wiele poświęciłaś i podjęłaś ogromne ryzyko, by pomóc miastu. Nikt nigdy nie będzie sobie z tego zdawał sprawy, ale ja wiem i nigdy nie kochałem cię bardziej

niż teraz.

— W takim razie sprawa warta była zachodu — powiedziałam nie kryjąc zadowolenia. — Jutro przystępujemy do prac. Przypuszczam, że modernizacja potrwa dwa miesiące. Potem upłyną kolejne dwa, trzy miesiące, nim wszystko zacznie działać jak należy. I wreszcie będziemy mogli zacząć planować podróż do Irlandii. Chciałabym, żebyśmy wzięli ze sobą Patty, jeśli uda nam się ukryć przed nią prawdziwy powód podróży.

— Na pewno się uda.

— A więc pojedzie z nami. Dobrze będzie, jeśli zobaczy, gdzie żyli jej przodkowie. No, mamy masę roboty. Końcówka 1913 roku będzie bardzo pracowita.

Nazajutrz w biurze fabryki Gabriel Cameron i Helen Easterly podpisali umowę, przekazując mi tyle udziałów, bym dysponowała dokładnie ich połową. Nie było żadnych zbędnych dyskusji ani targów. Trochę mnie zaniepokoiło, że uczynili to bez ociągania, ale ostatecznie cóż innego mogli zrobić?

Zakładałam, że najbliższe dni wypełnione będą intensywną pracą, ale nie doceniłam jej skali. Najpierw należało usunąć stare maszyny, żeby zrobić miejsce dla nowych urządzeń. Choć udzieliliśmy robotnikom płatnego urlopu, zwróciliśmy się do nich o pomoc przy niektórych pracach, a oni ochoczo i z entuzjazmem na to przystali. Wnętrza fabryki pomalowano, wysprzątno i doprowadzono do idealnego stanu. Następnie pojawili się przedstawiciele producentów maszyn. Wymierzyli hale i przeprowadzili z nami rozmowy. Wkrótce zaczęły nadchodzić kolejną nowe surowce i urządzenia. Kupiliśmy ciężarówkę, która bez przerwy kursowała między stacją a fabryką.

Minęło Boże Narodzenie, nadszedł Nowy Rok, a my prawie tego nie zauważyliśmy. Zima i opady śniegu zwolniły nieco tempo prac. Na owe niesprzyjające miesiące zaplanowaliśmy prace wewnątrz fabryki.

Wojna na Bałkanach wciąż trwała, choć nie wzbudzała specjalnego zainteresowania. Zresztą byliśmy zbyt zajęci, by o niej myśleć. Fabryka zaczęła wypuszczać pierwsze wyroby z wełny w kwietniu. Dzięki najnowocześniejszym

maszynom i wykwalifikowanej sile roboczej okazały się najwyższej jakości.

Wyczerpaliśmy prawie wszystkie zasoby finansowe, ale wystarczyło nam środków, by doprowadzić modernizację do końca. Przystąpiliśmy do sprzedaży. Zreorganizowaliśmy pion zbytu, nadzorowany przez Lorana, i jego pracownicy wyruszyli w teren. Wszyscy pamiętali, że produkujemy świetne wyroby, zaczęto nas więc wkrótce zasypywać zamówieniami i wyszliśmy na prostą.

Przez cały ten czas współpraca z Cameronami układała się bardzo dobrze. Wszelkie spory rozstrzygaliśmy szybko. Czasami ja ustępowałam, kiedy indziej oni. Gabriel i Loran pracowali bardzo ciężko. Ashley nie robił nic lub prawie nic. Nora większość czasu spędzała w Bostonie, a na zimę wyjechała do Nowego Jorku. W czerwcu Helen zabrała ją do Saratogi. Stamtąd miały jechać do Newport. Często modliłam się, by nie poślubiła kogoś wskazanego jej przez Cameronów. Była jeszcze za młoda, by myśleć o małżeństwie.

W połowie czerwca zaczęłam rozmawiać z Glenem o naszej wyprawie do Irlandii. Po tylu latach poczułam nagle dziwną tęsknotę za rodzinnymi stronami. Zapragnęłam znów zobaczyć swoją wioskę, dowiedzieć się, jak żyją ludzie, których tak kochałam, przejść się piaszczystym wybrzeżem wzdłuż zatoki Clew.

Pod koniec czerwca jakiś szaleniec zastrzelił w Sarajewie austriackiego arcyksięcia Ferdynanda i jego żonę. Austria natychmiast oskarżyła o zamach Serbię i wystosowała ultimatum.

— Czuję, że się na tym nie skończy — powiedział Glen. — To może być pretekst, na który od tak dawna czekają Niemcy. A może również i inne państwa. Nie podoba mi się to wszystko.

Podczas gdy Glen ze wstrętem myślał o ewentualnej wojnie, nawet toczącej się tak daleko, Loran i Gabriel Cameronowie snuli plany, z góry ciesząc się z szans, jakie im stwarzał ewentualny konflikt zbrojny w Europie. Pilnie śledzili rozwój wypadków i zgadzali się z Glenem, że to dopiero początek.

— Jak tylko wybuchnie wojna — mówił Loran ze źle skrywanym zadowoleniem — zaczniemy otrzymywać liczne zamówienia. Jeśli walki potrwać sześć czy siedem

miesiący, nasz kraj będzie zmuszony do powiększenia sił zbrojnych, co wywoła dalszy wzrost zapotrzebowania na sukno. Wszyscy uzmysłowią sobie, że wkrótce z pewnością wystąpią braki na rynku, i zaczną wykupywać towary. Czeka nas największy boom gospodarczy w naszej historii.

Również powinnam się była cieszyć. Prawdopodobnie spłacimy zadłużenie przed terminem. Już byliśmy wypłacalni.

Loran siedział za swoim nowym biurkiem, dwa razy większym od poprzedniego, w skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Ze złączonymi dłońmi wyglądał zupełnie jak święty.

— Nauczyłaś nas jednego — powiedział mi Loran. — Nie mieliśmy racji, traktując robotników tak, jak to kiedyś robiliśmy. Płacąc im podczas całego okresu modernizacji...

— Ciężko pracowali, pomagając nam ponownie uruchomić fabrykę — przypomniałam mu. — A najpierw rozmontowali stare urządzenia i doprowadzili hale do porządku. Nie można powiedzieć, by beczynn timer spędzili czas podczas tego długiego urlopu.

— Ale umorzyliśmy im wszystkie długi — zwrócił mi uwagę Gabriel.

— Do czego zmierzasz, Lorianie?

— Prawdopodobnie już wkrótce będziemy musieli zatrudnić więcej osób, a także przedłużyć godziny pracy. Robotnicy nie będą mieli dużo czasu na odpoczynek, więc proponuję zorganizować dla nich festyn. Największy festyn w dziejach miasta. Maeve, ty możesz się zająć zakupami żywności. Ma jej być dużo i pierwszego gatunku. A także napojami, zabawkami dla dzieci... wszystkim. Chcę, żeby ten dzień zapamiętali do samej śmierci

— Cóż, Lorianie — powiedziałam — nigdy cię nie podejrzewałam o coś takiego. Pomysł jest przedni.

— Będzie to bardzo kosztowna impreza — zauważył Gabriel.

— Masz rację — powiedziałam mu. — Ten festyn będzie prawdziwym przyjęciem. Dajcie mi czas na zorganizowanie wszystkiego, a potem wywiesimy

ogłoszenie na tablicy. Może urządzimy festyn w następną sobotę.

— Świetnie — zgodził się Loran. — Przywiozę na ten dzień Helen i Deborah.

Opuściłam gabinet przepełniona najcieplejszymi uczuciami do klanu Cameronów, jakie kiedykolwiek do nich żywiłam. Może się zmienili. Może kiedyś zmienią swoje zdanie w sprawie oddania mi Nory.

Powiedziałam o wszystkim Glenowi, ale nie podzielał mojej opinii o Cameronach.

— Owszem, impreza będzie kosztowna, ale dzięki tobie nauczyli się, że dobre traktowanie robotników zwraca się z nawiązką. Może kierują się jeszcze czymś. Podczas twojej nieobecności rozmawiałem przez telefon z dyrektorem firmy farmaceutycznej. Ich główne biuro i zakłady mieszczą się w Niemczech. Mój rozmówca właśnie wrócił z Europy. Mówił, że walki rozpoczną się najdalej za miesiąc, na pewno przed końcem lata, przed jesiennymi deszczami, aby można było przeprowadzić udane akcje z udziałem kawalerii i piechoty. Cameronowie musieli usłyszeć, że nadciąga wojna i że będą potrzebowali wydajnie pracujących robotników.

— Glenie, czy wojna dotknie również nas? Czy myślisz, że do niej przystąpimy?

— Nie, chyba że sytuacja ulegnie drastycznej zmianie. W chwili obecnej to nie nasza wojna. Ale trudno przewidzieć, co się stanie za kilka miesięcy. Na razie musimy czekać, zdając się na mądrość prezydenta Wilsona.

— Nie pozwolę, by wojna przeszkodziła w organizacji festynu. Sądzę też, że powinniśmy jak najszybciej wybrać się do Irlandii. Wielkie nieba, nie myślisz chyba, że walki obejmą i tę część Europy?

— Mało prawdopodobne — Bałkany leżą na drugim krańcu kontynentu. Może działania ograniczą się tylko do tych małych państweczek. Wątpię w to, ale nie można niczego wykluczyć. Możemy spokojnie planować naszą podróż.

Jednak najpierw musiałam poczynić przygotowania do festynu. Miasto zaczęło się zmieniać. Wznoszono nowe domy; niektóre stare czynszówki rozbierano i na ich miejsce budowano nowoczesne budynki. Sprowadzano nowych robotników; place nie były wysokie, ale w porównaniu z poprzednimi widoczna była znaczna poprawa.

Granice miasta przesuwwały się, wreszcie zabudowa zaczęła wkraczać na tereny, które nie należały do Cameronów. Kiedy na krańcach miasta, tam, gdzie nie sięgały już wpływy Cameronów, uruchomiono sklep spożywczy, powitałam to z zadowoleniem. W ten sposób powstała konkurencja dla sklepów fabrycznych. Dumna byłam, że mam swój wkład w poprawę warunków życia w mieście.

Zwróciłam się o pomoc do kilku mężczyzn znających się na stolarce. Dostarczyłam drewno, z którego zrobili stoły i ławki. Nie wybrałam jeszcze miejsca na festyn, ale okazało się, że Loran o tym pomyślał.

— Powinniśmy utworzyć w mieście park — powiedział. — Ze stołami i ławkami, z miejscem do rozpalania ogniska i gotowania na świeżym powietrzu. Co byś powiedziała na propozycję wykorzystania terenów wokół stawu i starego zakładu? Dzieciaki, jeśli zechcą, będą się miały gdzie pluskać. Wielu ludzi pamięta jeszcze, jak wyglądała stara fabryka, pamiętają olbrzymie koło obracające się w wodzie, długi skórzany pas transmisyjny, przenoszący napęd do samych zakładów. Musisz przyznać, że w całej okolicy nie ma lepszego miejsca na park.

— Masz rację — powiedziałam. — A więc tam urządzimy festyn. Wszyscy są nim ogromnie przejęci.

— Ja również oczekuję go z niecierpliwością. Podobnie jak pozostali członkowie naszej rodziny.

Festyn zaplanowaliśmy na pierwszą sobotę sierpnia. Dwudziestego ósmego lipca Austro-Węgry wypowiedziały Serbii wojnę. Trzy dni później Niemcy wydały wojnę Rosji i niemal jednocześnie najechały na Luksemburg. Następnego dnia Niemcy wypowiedziały wojnę Francji i ich wojska wkroczyły do neutralnej Belgii. Anglia natychmiast proklamowała wojnę z Niemcami i ogłosiła mobilizację, podobnie jak Francja. Inne, mniejsze kraje również przystąpiły do konfliktu. Odnosiłam wrażenie, że przypadkowo wybierały stronę, po której będą walczyć. Całą Europę ogarnęło szaleństwo.

Dla samego festynu nie miało to żadnego znaczenia. Ostatecznie wojna toczyła się bardzo daleko i nie dotyczyła nas bezpośrednio, nie licząc wpływu, jaki miała na

amerykańską gospodarke. Kobiety upiekły placki i ciasta, ale większość potraw dostarczono gotowych. Zwróciłam się do lodziarza, by przyjechał swoim wozem i na miejscu robił lody. Zaplanowane były gry dla dzieci i mecz baseballowy dla mężczyzn. Impreza miała się rozpocząć w sobotę rano i skończyć w niedzielę po południu, z przerwą na nabożeństwo.

W jednym miejscu urządzono bar z taką ilością baryłek piwa, która według mnie wystarczyłaby na zaspokojenie pragnienia niewielkiej armii. Udekorowaliśmy stary budynek fabryki flagami, zawiesiliśmy chorągiewki na drzewach i gdzie tylko się dało umieściliśmy japońskie lampiony. Pociągnęliśmy od fabryki przewody elektryczne i zamontowaliśmy żarówki, bo zabawa miała trwać nawet po zmroku. W pamięci mieszkańców Cameron do tej pory zapisało się może niewiele momentów z historii miasta, ale o tym festynie będzie się opowiadać przez lata. O nikim nie zapomnimy.

Patty przyjechała do domu w przeddzień festynu. W chwili kiedy zasiadła z nami do kolacji, wypuściłam z dłoni widelec. Uderzył głośno o mój talerz. Patty i Glen spojrzeli na mnie zaniepokojeni.

— Przepraszam — powiedziałam. — Jestem taka zmęczona, że wszystko leci mi z rąk. No, życzę smacznego. A podczas kolacji Patty może nam opowiedzieć o swoich stopniach.

— Pod warunkiem, że jej relacja nie odbierze nam apetytu — zastrzegł dobrodusznie Glen.

— Och, tatusiu — oburzyła się Patty. — Mam bardzo dobre stopnie.

— Wiemy o tym, kochanie — powiedziałam. — Ojciec tylko żartował.

— Widziałam Deborah — oświadczyła Patty.

— W mieście? — spytałam.

— Prowadziła ten swój hałaśliwy samochód. O rety, ależ ona zadziera nosa! Krzyczałam do niej i machałam, ale nawet na mnie nie spojrzała. Czułam się, jakbym rzucała grochem o ścianę.

— Proszę, żebyś nie wyrażała się o niej w ten sposób — powiedziałam. — Już ci mówiłam, że Deborah po prostu tak już została wychowana. My wiemy, że jej

zachowanie jest niewłaściwe, ale ona nie zdaje sobie z tego sprawy.

— W takim razie musi być niezbyt rozgarnięta — oświadczyła Patty. — Możecie być pewni, że nie zawołam jej drugi raz.

Później, kiedy Patty leżała już w łóżku i w całym domu zapanowała cisza, Glen zszedł do salonu i usiadł przy mnie.

— Podczas kolacji byłaś bardzo zdenerwowana. Czy coś się stało?

— Tak, Glenie. Stało się coś i nic nie mogę na to poradzić. Festyn odbędzie się w pobliżu starej fabryki, tam, gdzie jest staw. Przypominasz sobie, co mi ukazało zwierciadło? Gładką tafłę wody. Taką, jaka jest właśnie w stawie. Patty grozi jakieś niebezpieczeństwo i akurat na ten weekend przyjechała do domu. Żałuję, że jej powiedziałam o festynie. Lepiej by było, gdyby została w szkole. Niestety, nie pomyślałam o tym wcześniej. Byłam taka przejęta przygotowaniem... a przepowiednię poznałam tak dawno...

— Cóż, jeśli w jakiś sposób ci to pomoże, też się zaniepokoiłem — przyznał Glen. — Ale spójrzmy na zagadnienie z innej strony. Nie ujrzałaś nic, co by wskazywało, że owa woda oznacza właśnie staw w pobliżu fabryki. Prawda?

— Owszem, ale podobnie było w przypadku przepowiedni dotyczącej śmierci ojca. Och, najdroższy, jestem już zmęczona zapowiedziami nieszczęść. To zwierciadło jest przeklęte!

— Nie zawsze zwiastuje nieszczęścia. Ujrzałaś w nim Joela. Ujrzałaś mnie i wiedziałaś, że mnie poślubisz, zanim jeszcze dowiedziałem się o twoim istnieniu.

— Och, dziękuję, że mi o tym przypomniałaś. Nie czułabym się tak okropnie, gdybym miała Norę. Gdybym wiecznie nie obawiała się czegoś ze strony Cameronów. Wydaje mi się, że zagrażają mi wszędzie, gdzie jestem, bez względu na to, co robię. Czuję przed nimi paniczny strach. Są zdolni do wszystkiego i nienawidzą mnie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek, bo przeze mnie stracili część swoich wpływów.

— Czy byli ostatnio szczególnie nieprzyjemni?

— Nie i właśnie dlatego niepokoję się, bo zazwyczaj lubią mi przeszkadzać jak tylko mogą. Zbyt łatwo się poddali i wydaje mi się, że postąpili tak, bo są przekonani,

że wkrótce odzyskają wszystko, z czego musieli zrezygnować. Czuję się przez nich wiecznie zagrożona. Jakby wiecznie coś knuli przeciwko mnie, spiskowali, postanowili się ze mną jakoś rozprawić, by znów mogli żyć jak dawniej, by znów byli absolutnymi władcami miasta.

— Nigdy im się nie uda — powiedział Glen. — To wykluczone. Jeśli chodzi o przepowiednię, przypilnuję, by Patty nic nie zagroziło.

Ujęłam go za rękę i razem poszliśmy na górę do naszego pokoju. Wyniosłam z garderoby owinięte w jedwab zwierciadło. Usunęłam materiał i podeszłam do lampy stojącej na komodzie.

— Spojrzę w lustro jeszcze raz — powiedziałam. — Nie chcę, ale muszę.

Przybliżyłam zwierciadło do lampy i spojrzałam na nierówną powierzchnię metalu. Zanim zdołałam wypowiedzieć zwyczajową prośbę do nieżyjącej od wieków królowej, ukazał się ten sam obraz. Gładka tafla wody, bez żadnego znaku szczególnego, który pozwoliłby stwierdzić, gdzie się ona znajduje. Tak jak poprzednio obraz zniknął i ujrzałam twarz Patty. Już się miałam poddać, kiedy pojawiło się coś jeszcze. Obok Patty wyłonił się profil drugiej dziewczyny. Lekko się poruszyła i delikatnie przytknęła policzek do twarzy Patty. Po chwili obraz się rozplątał.

— Zobaczyłaś coś? — spytał Glen.

— Tak. Znów ten staw. — Owinęłam zwierciadło. — I znowu twarz Patty.

— Czyli nic się nie zmieniło?

— Była tam też Nora. Jestem pewna, że Nora. Są z Patty bardzo podobne, ale to z pewnością była Nora. Zrobiła coś dziwnego. Przytknęła policzek do twarzy Patty.

— Co to może oznaczać?

— To był gest miłości. Gdyby na początku nie pojawiła się woda, byłabym niezmiernie uszczęśliwiona. Ale teraz nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Część przepowiedni zapowiada coś złego, a część to, o co się od dawna modliłam: żeby Patty i Nora pokochały się jak przystało na siostry. Czy potrafisz wywnioskować coś z tego, co zobaczyłam?

— Ja? A skądże! — powiedział Glen. — Ale możesz być pewna, że nie

spuszczę oka z Patty.

*

Nadszedł sobotni poranek. Pogoda okazała się wprost wymarzona na festyn. Na niebie nie widać było ani jednej chmurki, ale jednocześnie było niezbyt gorąco. Wstałam wcześniej, by dopilnować ostatnich przygotowań. Pomagała mi przy tym Patty. Upewniliśmy się, że dostarczone wcześniej potrawy są odpowiedniej jakości, sprawdziliśmy, czy w specjalnie skonstruowanym pomieszczeniu zgromadzono wystarczającą ilość lodu do chłodzenia napojów i przechowywania łatwiej psujących się produktów.

Patty zlustrowała cały teren zabawy, z mającą w oddali starą fabryką.

— Mamusiu, wszystko wygląda idealnie. Ależ ludzie będą mieli uciechę.

— Ty też masz miło spędzić czas — powiedziałam. — Dosyć się napracowałaś.

Kiedy rozpocznie się impreza, myśl tylko o zabawie.

— Nie martw się o mnie. Myślisz, że Deborah zniży się do tego, by się pojawić wśród nas?

— Wierzę, że przyjdzie.

— Lepiej, gdyby się zachowywała jak należy i zanadto nie zadzierała nosa.

Niektórym dzieciakom mogłoby się to nie spodobać i gotowe się na nią zdenerwować.

— Uważaj, żebyś ty się nie znalazła w tej grupie — ostrzegłam ją. — Ta dziewczyna potrzebuje specjalnych względów. Potrzebuje pomocy i przyjaźni, a nie naigrawania się.

— W takim razie czemu nie pozwala nam, byśmy odnosili się do niej życzliwie? Nikt nie chce traktować jej źle. Nienawidzimy jej, bo zmusza nas do tego swoim zachowaniem.

— Nie podoba mi się to słowo, Patty. Nienawiść wywołuje wiele zła. Spróbujmy zapomnieć, że coś takiego w ogóle istnieje i postarajmy się, by wszyscy byli dziś szczęśliwi, nawet Deborah.

— Spróbuję. Ale nie mogę ręczyć za innych. Cóż, sądzę, że jedyne, czego nam teraz potrzeba, to publiczność.

— Wkrótce wszyscy zaczną się schodzić. Czas wziąć się za krojenie pomidorów i ogórków. Później trzeba też będzie pokroić pieczywo.

Objęłam Patty w pasie i stałam, spoglądając uważnie dokoła.

— Czyż to nie wspaniały widok? — spytałam. — Miasto istnieje już tyle lat, a do tej pory nigdy nie zorganizowano tu festynu. A więc ten musi być absolutnie największy i najlepszy pod słońcem.

Pierwsi goście byli nieco onieśmieleni. Dotychczas nigdy nie zorganizowano dla nich takiej imprezy. Nie byli skłonni ufać Cameronom, niektórzy nawet wątpili, czy w ogóle dojdzie do tego festynu. W miarę jak przybywali kolejni mieszkańcy, wszyscy czyściutcy i ładnie ubrani, onieśmienie gdzieś zniknęło i zabawa zaczęła się rozkręcać.

Glen miał kilka wizyt domowych. Wszystkim pacjentom, którzy byli zbyt chorzy, by wziąć udział w imprezie, miał zanieść kosze pełne wiktuałów. Staraliśmy się nie zapomnieć o niczym. Patty przyłączyła się do jakiejś młodej pary. Chichocząc zwierzali się sobie z tajemnic, snuli plany, które nigdy nie miały być zrealizowane, a w końcu pobiegli zagrać w koszykówkę.

Późnym popołudniem, tuż zanim miało się rozpocząć serwowanie potraw, przybyli Cameronowie. Pojawili się wszyscy w komplecie. Byłam pewna, że Marcy Tabor i matka Joela nie bawiły się dobrze, ale Loran sprawiał wrażenie całkiem zadowolonego. Ojciec Joela wdał się w rozmowę z jakimiś ludźmi, na których w innych okolicznościach nawet by nie spojrział.

Ashley i Helen wmieszali się w tłum, choć Ashley był taki nadęty, że nikt nie chciał z nim rozmawiać zbyt długo. W końcu oddalił się od zebranych. Marcy i matka Joela usiadły przy małym stoliku przygotowanym specjalnie dla rodziny Cameronów i energicznie się wachlowały. Nigdzie nie dostrzegłam Nory, choć się za nią rozglądałam.

W stawie pluskało się kilkoro młodszych dzieci, a starsze popisywały się swoimi umiejętnościami pływackimi. Większość dzieci bawiło się, hałasując niemiłosiernie. Panowała beztroska atmosfera. W momencie pojawienia się Cameronów nastrój uległ

chwilowemu zważeniu, ale wkrótce zabawa znów się rozkręciła.

Kiedy wszyscy zaczęli się ustawiać w kolejce po jedzenie, pojawiła się Nora. Miała na sobie sukienkę z białego jedwabiu, przewiazaną różową szarfą i identyczną różową wstążkę we włosach.

— Ładna z niej dziewczyna — powiedział Glen.

Przyłączył się do mnie chwilę wcześniej.

— I taka podobna do Patty. Dziwne, że nikt dotąd nie zwrócił na to uwagi.

— Są podobne — przyznał Glen — ale Patty jest dwa lata młodsza. Nie ma w niej nic z damy, na jaką wyrosła Nora, więc z tego względu podobieństwo nie jest takie uderzające.

— Dobrze by było, gdyby się zaprzyjaźniły — powiedziałam wiedząc, że to całkowicie niemożliwe.

— Być może pewnego dnia... Są siostrami; może kiedyś poczują do siebie sympatię. Cóż, takie jest moje zdanie. Chodź, weźmy sobie coś do jedzenia. Umieram z głodu.

Razem z innymi stanęliśmy w ogonku. Można było wybierać między indykiem, pieczenią wołową i szynką. Do tego serwowano pieczone ziemniaki, pataty, rzepę. Przygotowano również bogaty wybór sałatek; wielu z nich mieszkańcy miasta nigdy nie widzieli na oczy, nie mówiąc już o ich kosztowaniu. Tak, jak nalegałam, porcje były ogromne. Nikt nie powinien odejść od stołu głodny.

Zrobiłam ustępstwo na rzecz Cameronów i poleciłam, by kilka dziewcząt podało jedzenie dla nich na specjalnie wydzielonym stole. Ja razem z Glenem jadłam z mieszkańcami miasta, ale od czasu do czasu zerkałam w kierunku Cameronów. Nawet Marcy zajadała z apetytem, tylko Nora przebierała na talerzu z wyniosłą miną, która zaczynała mnie irytować. Uświadomiłam sobie, czemu inne dzieci jej nie lubiły i choć z jednej strony rozzłościła mnie, jednocześnie zrobiło mi się jej żal. Dla mnie była bardzo samotną dziewczyną, której brakowało matczynej miłości, podczas gdy ja siedziałam tu i patrzyłam na nią, nie mogąc nic poradzić na tę sytuację.

Tymczasem Patty jadła ze smakiem jak normalna, zdrowa, wygłodniała

nastolatka. Jadła i jednocześnie paplała ze swoimi przyjaciółkami. Patty miała mnóstwo przyjaciółek i nie było w niej ani odrobiny sobkostwa czy wyniosłości.

Podczas posiłku, który trwał bite dwie godziny, a jego uwieńczeniem były słodczyce i taka ilość lodów, jaką każdy mógł zjeść, przygrywała wynajęta przeze mnie orkiestra. Kiedy uprzątnięto stoły, zapalono lampiony i, muzycy zaczęli grać żywsze melodie. Niewielu mieszkańców miasta kiedykolwiek tańczyło, nie znali tanecznych kroków, ale słysząc te rytmiczne utwory wkrótce zaczęli łączyć się w pary i podrygiwać w takt *Billa Baileya*, *Idy*, *Sunbonnet Sue*, *You Beautiful Doll* oraz nieco wolniejszego od nich walca *Moonlight Bay*, który zresztą cieszył się największym powodzeniem.

Cameron, skąpane w blasku księżyca i migotliwych lampionów, jeszcze nigdy nie widziało czegoś podobnego. Ogarnęła mnie duma, że zorganizowałam taką wspaniałą imprezę. Mogła pomóc zmienić życie całego miasta.

Kilka minut wcześniej Glen został wezwany na drugi kraniec parku, gdzie spadł z drzewa i potłukł się jakiś chłopiec. Najwidoczniej nie było to nic poważnego. Patty, podniecona i szczęśliwa, odłączyła się od tańczących i podeszła do mnie.

— Sprawiasz wrażenie samotnej — powiedziała. — Gdzie tatuś?

— Och, wiesz, że lekarza nigdy nie można utrzymać długo w jednym miejscu. Jakiś chłopiec doznał obrażeń, myślę, że niezbyt poważnych, i twój ojciec poszedł zabandażować mu otarte kolano. Czyż to nie wspaniały festyn?

— Tak się wytańczyłam, że nie czuję nóg — przyznała się, siadając na trawie obok mnie. — Powinniśmy pomyśleć o parkiecie do tańca. Trawa jest zbyt śliska na polki i inne szybkie tańce.

— Nie widziałaś nigdzie Deborah?

— Widziałam ją, nie opuściła podwyższenia wzniesionego specjalnie dla Cameronów. Kiedy ich widziałam, zbierali się do odejścia. Stara Marcy i stara pani Cameron opuściły nas już jakiś czas temu.

— Uważaj, moja panno, kogo określasz mianem starego — powiedziałam jej. — Jeszcze trochę, a mnie zaczniesz tak nazywać.

— Nie powiedziałam tego złośliwie — otwarcie przyznała Patty. — Chciałam jedynie zrobić rozróżnienie między panią Easterly, matką Deborah i... i chyba jej babką.

A więc znów to samo: mówienie o Helen jako o matce Nory. Nie mogłam tego ścierpieć i postanowiłam jak najszybciej położyć temu kres.

Przez tłum przeciskał się dwunastoletni chłopiec. Widocznie zlecono mu jakąś poważną misję. Kiedy mnie zobaczył, pobiegł prosto w moją stronę.

— Pan doktor prosi o swoją torbę — wyrzucił z siebie, zadyszany. — Chce, żeby mu ją pani przyniosła, pani Kinnery. Natychmiast.

— Dziękuję — powiedziałam. — Gdzie teraz jest?

— Niech pani pójdzie w kierunku fabryki i przejdzie przez mały mostek obok koła wodnego. Pan doktor jest zaraz po drugiej stronie. Tak mi powiedział jakiś pan.

— Pójdę zamiast ciebie, mamusiu — odezwała się Patty.

— Czy torba tatusia jest w samochodzie?

— Tak... zanieś mu ją. Dotrzesz na miejsce szybciej ode mnie, a może ojciec pilnie potrzebuje czegoś z torby.

Oddaliła się biegiem, chłopiec też gdzieś zniknął i znów zostałam sama. Rozkoszowałam się efektami swojej pracy. Było po ósmej, ale zabawa trwała w najlepsze. Niektórzy napychali się resztkami jedzenia, inni tańczyli, jeszcze inni wylegiwali się na trawie, zbyt zmęczeni, by cokolwiek robić lub po prostu oddawali się przyjemnemu lenistwu. Będą wspominali ten dzień przez najbliższe dziesięć lat.

Wtem zerwałam się na równe nogi z cichym okrzykiem przerażenia. Patty... przechodząca przez mostek w pobliżu stawu... przepowiednia zwierciadła! Zaczęłam biec. Ludzie próbowali mnie zatrzymać, by mi powiedzieć, jak wspaniale się bawią. Zbywałam ich i biegłam dalej. Byłam w odległości stu metrów od stawu, kiedy usłyszałam czyjś krzyk. Nie był głośny, zagłuszało go skrzypienie wolno obracającego się koła, ale przepełniony lękiem. Coś się stało.

Żeby dotrzeć na drugi brzeg strumienia, trzeba było przejść przez wąski most, przerzucony bezpośrednio nad łopatkami koła. Woda płynąca poniżej była spieniona i

niezbyt spokojna, choć nie można było jej porównywać ze wzburzonym morzem.

Ludzie biegli w stronę przeciwnego brzegu stawu. Minęłam budynek fabryki, przebiegłam przez most i ujrzałam grupkę osób nad brzegiem stawu. Niektórzy mężczyźni zdejmowali buty. Wtem między zebranymi ukazała się Nora w swojej nieskazitelnie białej jedwabnej sukni przewiązanej różową szarfą.

Podbiegła nad sam brzeg stawu, nie zatrzymując się wskoczyła do wody i zaczęła płynąć. Zaczęłam się przepychać przez gęstniejący tłum, aż stanęłam nad brzegiem stawu. Zobaczyłam Norę płynącą do brzegu. Przytrzymała nad wodą czyjaś głowę, zgodnie z regułami udzielania pierwszej pomocy.

Wiedziałam, że to Patty. Weszłam do wody, ale zanim dotarłam do miejsca, gdzie było wystarczająco głęboko, by móc płynąć, Nora znalazła się tuż obok mnie. Wzięłam Patty na rękę.

Nora wyszła na brzeg ociekając wodą. Patty zaczęła cicho jęczeć. Położyłam ją na ziemi i zwróciłam się do kogoś, by sprowadził Glena. Rozluźniłam jej ubranie, upewniłam się, że oddycha i że prawdopodobnie do płuc nie dostała się woda. Otworzyła oczy i krzyknęła, widocznie coś sobie przypomniawszy.

— Już dobrze, kochanie — powiedziałam. — Nic ci nie grozi. Nie ma powodu do zmartwienia. Wszystko w porządku.

— Ja... ja... wpadłam do stawu. Mamusiu, on mnie popchnął...

Zanim Patty zdążyła coś więcej powiedzieć, pojawił się Glen i zbadał ją pobieżnie.

— Nic się jej nie stało — powiedział. — Patty, później nam powiesz, kto to był. Teraz chcę cię zabrać do domu, żebyś mogła zdjąć mokre ubranie. Maeve, przypilnuj ją, a ja pójdę po samochód. Zaraz będę z powrotem.

Ruszył biegiem. Położyłam głowę Patty na swoich kolanach.

— Nie mów teraz nic — poprosiłam. — Oszczędzaj siły. Powiesz nam wszystko, kiedy wrócimy do domu.

— Czy nic jej nie jest? — usłyszałam czyjś głos.

Spojrzałam na Norę. Zbierała do tyłu mokre włosy i wydawała się raczej zła niż

zadowolona z tego, że uratowała komuś życie.

— Nie — powiedziałam — wszystko w porządku. Dziękuję ci, Deborah. Bardzo dzielnie się zachowałaś. Uratowałaś Patty życie.

— Nie powinna być taka niemądra, by wpadać do stawu — powiedziała Nora, po czym odwróciła się i odeszła.

Patty zaczęła się śmiać.

— Czyż to nie cała ona, mamusiu? Uratowała mi życie, ale ma do mnie pretensję.

— Tak, kochanie — powiedziałam. — Ale właśnie ona pośpieszyła ci na ratunek, podczas gdy inni zastanawiali się co robić. Widziałam, jak bez chwili wahania skoczyła do wody.

— No dobrze, ale czemu tak się wścieka, mamusiu?

— Nie wścieka się, kochanie. Sądzę, że w głębi duszy jest z siebie bardzo dumna, podobnie jak ja z niej. Ale jest zbyt nieśmiała, by się do tego przyznać. Chciałaby, ale nie potrafi. Tak już została wychowana.

— O rety, powinna coś z tym zrobić.

— Zrobi — powiedziałam. — A ja zamierzam jej pomóc. Nie zapomnij nigdy, że niewątpliwie uratowała ci życie.

— Mamusiu, on złapał mnie...

— Proszę, nic teraz nie mów — ostrzegłam ją. — To bardzo ważne. O, jest już twój ojciec. Boli cię coś?

— Tylko broda. Rety, porządnie mnie boli.

— Twój ojciec się tym zajmie. Pomogę ci wstać.

Zgromadzeni gapie rozstąpili się i razem z Patty podeszliśmy do zatrzymanego się samochodu. Glen posadził Patty na przednim siedzeniu. Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

— Zaraz przyjdę do domu — powiedziałam. — Muszę jeszcze tu coś załatwić...

— W takim razie czekam na ciebie w domu. Nie martw się o Patty.

Skinęłam głową i odsunęłam się od samochodu. Przez następny kwadrans

chodziłam wśród tłumów, szukając jednej osoby. W końcu ją znalazłam. Chłopiec siedział na trawie i przyglądał się tańczącym. Usiadłam obok i zagadnęłam go. To on przybiegł do mnie z wiadomością, że Glen prosi o torbę lekarską.

— Dobrze się bawisz? — spytałam.

— Tak, proszę pani. To wspaniały festyn.

— Powiedz mi, kto poprosił cię, byś mnie odszukał i powiedział, bym zaniosiła mężowi torbę lekarską?

— Tata Deborah.

— Masz na myśli pana Easterly'ego?

— Tak. Dał mi dziesiątaka.

— Dziękuję — powiedziałam. — Jak się nazywasz?

— Billy Martin.

— Jeszcze raz ci dziękuję, Billy. A teraz baw się tak długo, jak pozwolą ci twoi rodzice.

Skierowałam się w stronę, gdzie stało kilka bryczek i powozów i poprosiłam jednego z mężczyzn, by zawiózł mnie do domu. Chętnie wyświadczył mi tę przysługę, zasypując mnie po drodze komplementami, jak wspaniale zorganizowałam festyn.

Glen był w swoim gabinecie. Delikatnie smarował płynem antyseptycznym brodę Patty. Usiadłam.

— Patty, powtórz matce to, co mi powiedziałaś — zwrócił się do niej Glen.

— No więc wzięłam torbę lekarską i pobiegłam w stronę stawu. Kiedy weszłam na most, wiesz, ten w pobliżu koła z łopatkami... pan Easterly rzucił się na mnie. Było ciemno i w pierwszej chwili nie poznałam go. Próbował... próbował mnie pocałować, ale go kopnęłam. Wtedy on mnie uderzył i... i wydaje mi się, że zrzucił mnie z mostu. Może sama wpadłam do wody. Wszystko stało cię tak szybko.

— Jesteś pewna, że to był Ashley Easterly? — spytałam.

— Tak, mamusiu. Co mu jest? Zwariował?

— Może za dużo wypił. Kochanie, myślę, że powinnaś iść do swojego pokoju i trochę poleżeć. Kiedy nieco odpoczniesz, poczujesz się lepiej. Wtedy znów możesz

przyjść do nas.

— Rzeczywiście chętnie trochę poleżę — przyznała. — To cudowne, że Deborah mnie uratowała, prawda?

— Absolutnie cudowne.

— Mamusiu, czy będę jej mogła później podziękować?

— Tak, uważam, że powinnaś. Porozmawiamy o tym jutro. A teraz chodźmy na górę.

Już wcześniej zdjęła mokre ubranie i zarzuciła płaszcz kąpielowy, więc kiedy dotarliśmy do jej pokoju, mogła od razu położyć się do łóżka. Posiedziałam z nią kilka minut, póki nie ogarnęła jej senność. Pocałowałam ją i wróciłam do gabinetu Glena. Siedział zamyślony. Na jego zazwyczaj pogodnej twarzy malował się gniew.

— Sądysz, że to naprawdę był Ashley? — spytał.

— Tak. Przybiegł do mnie jakiś chłopiec mówiąc, że potrzebna ci torba lekarska. Patty pobiegła ci ją zanieść. Odszukałam później tego chłopca. Powiedział mi, że Ashley dał mu dziesiątaka, by poprosił mnie, żebym przyniosła ci torbę. Sądzę, że to mnie Ashley chciał zrobić coś złego. Nie spostrzegł się, że zamiast mnie ma przed sobą Patty.

— Obojętne mi, na kogo zastawił tę pułapkę. Zamierzam złamać mu szczękę. Bardzo mocno uderzył Patty. Jestem pewien, że była prawie nieprzytomna, kiedy wrzucał ją do stawu. Maeve, gdyby dostała się w łopatki koła... to była próba zabójstwa! Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

— Tak, Glenie. Wiem również, że ja miałam zostać ofiarą. Nie potrafię powiedzieć, czy Ashley zrobił to z własnej inicjatywy, czy też został nakłoniony przez Cameronów. Od jakiegoś czasu czułam, że coś knują i tylko czekają stosownej chwili, by wprowadzić swój plan w życie. Nie wyobrażałam sobie jednak, że będzie to próba morderstwa.

— Ten cholerny głupiec próbował ją pocałować. Powiedziała ci o tym.

— Tak. Sądzę, że wiem, jak to się stało. Czekał, żeby wepchnąć mnie do wody, prosto pod łopatki koła. Z pewnością zginęłabym na miejscu. Ale w panujących

ciemnościach zamiast mnie złapał Patty, sugerując się widocznie tylko torbą lekarską, którą miałam nieść. Kiedy zorientował się, że to nie ja, najwyraźniej stracił głowę. Nie wiem, co o tym myśleć. Nie zepchnął jej jednak prosto pod łopatki koła. Przynajmniej to świadczy na jego korzyść.

— Nic nie świadczy na jego korzyść. Mamy dość dowodów, by posłać tego głupca za kratki i dopilnuję, by tam trafił. Nie zgadzam się, by przejść nad tym do porządku dziennego, traktując całe zdarzenie jako kolejny wypadek. Nie obchodzi mnie, ile osób uknuło spisek, ani czy Ashley zrobił to wyłącznie z własnej inicjatywy. Wracam, by go odszukać.

— Oczywiście, że nie możemy nie zareagować. Ja zostanę z Patty.

— Dobrze. Skrzyknę wszystkich mieszkańców miasta, by mi pomogli odszukać Ashleya. Jeśli skrył się w domu na Wzgórzu, pójdę i tam. Przebrała się miarka.

— Najdroższy, dzięki temu wszystkiemu wydarzyła się jedna dobra rzecz — powiedziałam.

Spojrzał na mnie roziskrzonym wzrokiem, kipiąc wewnątrz gniewem.

— Jaka dobra rzecz mogła się wydarzyć dzięki temu, że niemal zamordowano naszą córkę?

— Sprawdziła się przepowiednia zwierciadła.

Cała złość Glena zniknęła w jednej chwili. Spojrzał na mnie z lękiem.

— Była spokojna tafla wody. Były dwie dziewczynki i Nora okazała miłość wobec Patty. Maeve, to zwierciadło jest niesamowite. Jestem zmuszony uwierzyć w jego niezwykle właściwości, ale od tej pory dosyć. O nie, nie chcę o nim już nigdy więcej słyszeć. Chociaż zgadzam się, że jest swego rodzaju zbawieniem.

— Wcale nie swego rodzaju. Przepowiednia się spełniła i nikt specjalnie nie ucierpiał.

— Bogu niech będą za to dzięki. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Poszłam na paluszkach na górę i zajrzałam do Patty. Smacznie sobie spała. Zeszłam do salonu i usiadłam, by poczekać na Glena. Nie wiedziałam, co robi, kiedy znajdzie Ashleya. Miałam nadzieję, że nie dojdzie do żadnej gwałtownej sceny.

Minęła godzina i zaczęłam się niepokoić. Wysłałam przed dom i rozejrzałam się, czy nie zobaczę gdzieś Glena. Ujrzałam jedynie ze czterdzieści lamp w rękach szybko poruszających się mężczyzn. Szukali Ashleya. Musiał uciec. Nie wiedziałam, czy czuję ulgę, czy też niezadowolenie. Glen na pewno poinformował ludzi, co się stało i festyn zakończył się obławą na człowieka, którego z chęcią by powiesili, gdyby tylko dostali w swoje ręce.

Wróciłam do domu i nastawiłam wodę na kawę. Kiedy przyszedł Glen, zrobiłam dwie filiżanki kawy i usiedliśmy przy stole kuchennym. Glen opowiedział mi, co zaszło od chwili, kiedy opuściłam festyn.

— Ashley musiał się domyślić, że Patty go rozpoznała, i uciekł, zanim się dowiedzieliśmy, co zaszło. Przepadł bez śladu, ale rozesłałam informacje do wszystkich okolicznych miast, by mieli na niego oko. Złapiemy go. Mało brakowało, a udałbym się z wizytą na Wzgórze, ale byłem zbyt wzburzony. Mógłbym powiedzieć więcej, niż powinienem. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Może jutro złapiemy Ashleya i posłuchamy jego wersji wydarzeń. Niech Bóg ma w opiece Cameronów, jeśli to oni wszystko ukartowali.

— Cieszę się, że nie poszedłeś na Wzgórze. Nie chcę, żeby Nora się denerwowała. Nie chcę również, by opowiedzieli jej swoją historyjkę, żeby się na mnie zemścić.

— Też o tym pomyślałem.

— Nie spocznię teraz, póki Nora nie dowie się całej prawdy o mnie. Wiem, że zajmie to sporo czasu, ale zanim powiem jej o wszystkim, musimy zdobyć dowody swej niewinności, by Nora nie miała cienia wątpliwości. Jadę do Irlandii. Najpierw napiszę do brata, a później wyruszam w podróż. Sama, bo ty musisz zostać tutaj z Patty na wypadek, gdyby moja misja się nie powiodła. Nie zapominaj, że musimy chronić nie tylko Norę, ale również Patty. Och, najdroższy, ci ludzie ze Wzgórza mają nad nami olbrzymią przewagę. Mogą kłamać, a my nie potrafimy udowodnić, że to kłamstwa. Przynajmniej teraz.

— Zgadza się — powiedział. — Przede wszystkim musimy dbać o spokój obu

dziewczynek. Oczywiście, nie mogę ręczyć za to, co zrobi Ashley, kiedy zostanie schwytany. Nie mogę obiecać, że nie rozgłosi wszystkich tych kłamstw.

— Musimy zaryzykować. Proszę, nie idź jutro na Wzgórze. Patty chce się tam ze mną udać i jeszcze raz podziękować Norze.

Glen przytulił mnie.

— Poślubiłem bardzo mądrą kobietę. Kocham cię. Podejrzewam, że pokochałem cię, zanim cię jeszcze spotkałem. Powiedz mi, co ze zwierciadłem?

— Chcesz, żebym znów się go poradziła?

— Tylko jeśli ty jesteś przekonana, że ci pomoże.

Wzięłam go za rękę.

— W takim razie chodźmy. Może tym razem pokaże mi coś przyjemnego.

Na górze wyciągnęłam zwierciadło i usiadłam tam, gdzie było najwidniej.

— Pytałam cię o wiele rzeczy — odezwałam się półgłosem.

— To, coś mi ukazywało, sprawdzało się zawsze. Powiedz mi, co mnie czeka teraz, kiedy zamierzam uzyskać dowód swej niewinności, by moje córki nigdy nie doznały przykrości w wyniku kłamliwych historii, które mogą o mnie usłyszeć. Zamierzam wrócić do mojej ojczystej Irlandii. Co mnie tam czeka? Czy moja misja się powiedzie?

Uniosłam zwierciadło na wysokość oczu. Trochę się bałam tego, co ujrzę, ale obraz, który mi mignął przed oczami, wywołał we mnie okrzyk grozy. Ujrzałam kłęby dymu, ogień wydobywający się z luf karabinów, padających mężczyzn. Ujrzałam wojnę! Obraz ukazał się i po chwili zniknął. Siedziałam oszołomiona.

— Jeszcze raz ujrzałam przepowiednię, której nie rozumiem — powiedziałam Glenowi. — Widziałam wojnę, salwy karabinowe, umierających mężczyzn. Mogę się tylko domyślać, że wojna uniemożliwi mi zdobycie dowodów mojej niewinności. Zwierciadło ostrzegło mnie, że przez wojnę moja misja zakończy się niepowodzeniem.

— Jest to wielce prawdopodobne — powiedział Glen. — Sytuacja w Europie szybko zmierza do największej wojny w historii ludzkości.

— Irlandia nie bierze w niej udziału. Tutaj również nie dotrą walki. Czemu nie mam jechać do Irlandii tak, jak planowałam? Przecież będę z daleka od terenów objętych konfliktem. Może przepowiednia ma jakieś inne znaczenie.

— Pozwól, że najpierw zorientuję się, jaka sytuacja panuje w Europie — powiedział Glen. — Postaram się jak najszybciej zdobyć ile się da wiadomości na temat wojny. Ale teraz musimy zająć się Ashleyem. No, wystarczy atrakcji na dziś. Odłóż zwierciadło. Zapewniam cię, że już nigdy nie zwątpię w jego przepowiednie.

— Czekam na dzień, najdroższy, kiedy będę mogła pokazać zwierciadło obu moim córkom i opowiedzieć im jego dzieje. A potem pozwolić im spoglądać w nie, modląc się w duszy, by ukazywało same dobre rzeczy.

*

Następnego ranka Glen nie przyjmował chorych, tylko kierował intensywnymi poszukiwaniami Ashleya. Nie było go w domu, kiedy usłyszałam odgłos zatrzymującego się samochodu. Wsiadł z niego Loran. Patty była na górze. Postanowiłam uważać na słowa i w jakiś sposób przerwać Loranowi, gdyby zaczął mówić o Norze.

— Dzień dobry — powiedział Loran. — Przyszedłem ci pogratulować udanego festynu i przeprosić w imieniu całej rodziny za to, co wczoraj wieczorem spotkało twoją córkę.

— Wiesz, że odpowiedzialność za wszystko ponosi Ashley?

— Tak, powiedziano mi o tym. Ostatnio Ashley dziwnie się zachowywał. Nie wiem, co go napadło. Nie spodziewałem się, że stanie się coś takiego, w przeciwnym razie osobiście bym dopilnował, by wyjechał z miasta. Bardzo mi przykro.

— Wiesz, gdzie on teraz jest?

— Niestety nie.

— Wiesz, że go znajdziemy.

— Mam nadzieję, że wam się uda. To znaczy niezupełnie. Widzisz, Ashley może wywlec na światło dzienne pewne sprawy, które przez te wszystkie lata udawało nam się trzymać w tajemnicy.

— Liczysz na to, prawda? — spytałam gorzko.

— Ashley jest nie tylko głupcem, to tchórz. Jeśli zostanie schwytany, gotów się posunąć do wszystkiego, nie wyłączając tego, o czym przed chwilą napomknąłem. Tak samo jak ty nie chcę, by do tego doszło.

Roześmiałam się nie kryjąc ironii.

— Daj spokój, przez wszystkie te lata groziliście mi wyjawieniem owych historii, by osiągnąć swoje własne cele.

— Mówię szczerze. Gdybyśmy to zrobili teraz, ucierpiałyby niewinne istoty...

— Loran, proszę, przestań grać tę komedię. Nie ze mną takie numery. Wiem, że Ashley najprawdopodobniej działał nie z własnej inicjatywy. Powiedziano mu, co ma zrobić, ale przez swoją głupotę wszystko zepsuł. To ja miałam przechodzić przez ten mostek przerzucony nad kołem... które po tylu latach ktoś ponownie uruchomił...

— Maeve, błędnie sobie to wszystko tłumaczysz. Owszem, kazaliśmy ponownie uruchomić koło. Chcieliśmy przypomnieć ludziom dawne czasy, kiedy obracane przez strumień koło wodne było jedynym źródłem energii dla fabryki.

— Koło się obracało i stwarzało dodatkowe niebezpieczeństwo dla każdego, kto by spadł z mostu... albo został popchnięty... albo wrzucony. Ashley czekał tam na mnie. Mnie przekazano nieprawdziwą wiadomość o tym, że Glen potrzebuje torbę lekarską. Tymczasem Patty pobiegła ją zanieść ojcu. Kiedy Ashley zaatakował ją i odkrył swoją pomyłkę, stracił głowę. Uderzył Patty i wrzucił ją do wody, ale za kołem, więc na szczęście nic się jej nie stało.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedział Loran, ale bez charakterystycznej dla niego pewności siebie. — Tak samo jak ty chcemy, by znaleziono Ashleya i go ukarano. Gdyby pokazał się na Wzgórzu, wydamy go policji. Zrobił niewybaczalną rzecz.

— Niewątpliwie — powiedziałam. — Patty chce osobiście podziękować Deborah za uratowanie życia. Wkrótce razem z Patty złożymy jej wizytę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Czemu miałbym mieć coś przeciwko temu? Deborah jest, mówiąc szczerze,

bohaterką. Sama się przekonałaś, że dobrze ją wychowaliśmy. Kiedy twojej córce groziło niebezpieczeństwo utonięcia, nikt z obecnych, a były ich dziesiątki, nie okazał na ty przytomności umysłu, by pośpieszyć jej na ratunek. Natomiast Deborah nie wahała się ani przez chwilę. Musisz nam to uczciwie przyznać.

— Nigdy — odparłam gwałtownie. — Jest taka, jaka jest nie dzięki wam, tylko dlatego, że jest córką Joela i moją. I tego nigdy nie uda wam się zmienić.

— Widzę, że nie pogodzisz się z tym, iż nigdy nie będzie twoja — powiedział Loran wzdychając z rezygnacją. — Bardzo źle. Cóż, nic na to nie poradzę. Uprzedzę domowników o wizycie twojej córki.

Milcząco odprowadziłam go do drzwi. Kilka lat temu, a nawet rok temu popłakałabym się jak bóbr po takiej rozmowie z Loranem, ale przyzwyczaiałam się już do jego sposobu zachowania i nie zdumiewał mnie już niczym ani nie wprawiał w przygnębienie. Byłam tak pewna, że odzyskam Nore, jak on, że to nigdy nie nastąpi. Wiedziałam, że słuszność jest po mojej stronie, więc byłam przekonana, że w końcu wygram i nie traciłam ducha.

— To może być niebezpieczne — ostrzegł Glen. — W razie konfrontacji coś się może komuś niechcący wyrwać i wywołać u dziewcząt podejrzliwość.

— Chętnie przystanę na takie ryzyko — powiedziałam. — Dziewczęta powinny utrzymywać ze sobą kontakty, by później, kiedy ponad wszelką wątpliwość udowodnimy prawdę, nie były sobie zupełnie obce.

— Tak, może masz rację. Życzę ci powodzenia podczas wizyty na Wzgórzu. Istnieje prawdopodobieństwo, że po tym, czego dopuścił się Ashley, spuścili trochę z tonu.

— Wątpię — stwierdziłam. — Przypisują sobie nawet zasługi za bohaterski czyn Nory. Czy w tej sytuacji można się po nich spodziewać czegoś dobrego?

— Obawiam się, że raczej nie. Cóż, prześpijmy się z tym. Może rano wszystko ujrzymy w innym świetle. Nikt mnie nie powstrzyma przed kontynuowaniem poszukiwań Ashleya. Musimy go schwytać.

Mogłam jedynie skinąć potakująco głową. Byłam zmęczona i poirytowana. Nie spałam dobrze i żałowałam, że zgodziłam się, by Patty poszła do domu na Wzgórzu. Ale już jej obiecałam, że ją wezmę z sobą, więc nie mogłam jej zawieść.

Glen wyszedł z domu, jeszcze zanim Patty się obudziła. Przewodził jednej z grup, która miała przeczesać las w poszukiwaniu Ashleya. Była niedziela, więc syrena fabryczna nie przeszkodziła nikomu we wzięciu udziału w polowaniu na Ashleya. Sądząc po ilości osób, które zgłosiły się do pomocy, stawili się chyba wszyscy mieszkańcy miasta.

Patty nie przywiązywała wielkiej wagi do tego, jak ubierze się na wizytę w siedzibie Cameronów. Włożyła prostą kremową sukienkę i kapelusz o fasonie odpowiednim dla dziewczynki w jej wieku, ale uparła się, by włożyć jedwabne pończochy i swoje najlepsze lakierki.

Najpierw udałyśmy się do kościoła, a potem pojechałyśmy do domu na szczycie Wzgórza, który odegrał taką ważną rolę w moim życiu. Szczerze nienawidziłam owego miejsca z uwagi na ludzi, którzy tam mieszkali. Jednak w głębi serca żywiłam do niego cieplejsze uczucia, bo przecież tam urodził się i wychował Joel. Joel był moją pierwszą miłością i wciąż zajmował w moich myślach ważne miejsce, choć nie kolidowało to w najmniejszym stopniu z uczuciem, którym obdarzałam Glena. Pragnęłam wrócić do Irlandii choćby dlatego, by móc uklęknąć na grobie Joela.

— Dlaczego nie lubisz Deborah?— spytała mnie Patty, kiedy zatrzymałam samochód przed domem na Wzgórzu.

— Cóż to za pytanie! — powiedziałam. — Ja nie lubię Deborah? Czemu sądzisz, że jej nie lubię?

— Cóż, na pewno nie lubisz jej rodziny.

— To prawda. Ale to zupełnie co innego. Deborah nie ma z tym nic wspólnego.

— Mamusiu, mogę ci powiedzieć jedno. Nie lubię ojca Deborah. Nie uważasz, że on zwariował?

— Najwidoczniej jest z nim coś nie w porządku. Ale nie będziemy roztrząsać tego tematu. Dziś rano masz jedynie powiedzieć Deborah, że jesteś jej wdzięczna za

to, iż uratowała ci życie.

— Mamusiu, ja tonęłam, prawda?

— Tak.

— Ojciec Deborah chciał, żebym utonęła, prawda? Dlatego tak mocno mnie uderzył.

— Przypuszczam, że tak. Bał się, że powiesz wszystkim, jak cię zaczepił i niestosownie wobec ciebie się zachował. Musiał stracić głowę, a może za dużo wypił podczas festynu. Trudno powiedzieć. Wiemy jedynie, że Deborah nie wahając się pośpieszyła ci na ratunek, podczas gdy pozostali stali i zastanawiali się co robić. I za to winniśmy jej gorące podziękowania.

Drzwi otworzyła nam wyraźnie postarzała Martha, jak zwykle z kamienną twarzą. Ponieważ zapowiedziałam Loranowi, że przyjdziemy, czekali na nasze pojawienie się. Byli wszyscy w komplecie.

— Dzień dobry — przywitałam ich. — Czy mogę przedstawić moją córkę Patrycję? Patty, przywitaj się z panem i panią Cameronami, z panem Loranem Cameronem, z panną Marcy Tabor i z panią Easterly.

Patty ukloniła się grzecznie, podała rękę zebrany i powitała ich, mówiąc wyraźnie i dźwięcznie. W jej głosie nie było ani śladu onieśmienia. Nigdy nie byłam z niej bardziej dumna niż w tej chwili.

Po chwili do pokoju weszła Nora, blada, najwidoczniej zdenerwowana. Instynktownie poczułam, że nie powinnam była tu przyjść z Patty.

Patty zbliżyła się do niej.

— Dziękuję bardzo za to, co wczoraj zrobiłaś — powiedziała szczerze i poważnie. — Uratowałaś mi życie. Przykro mi, że zniszczyłaś tę śliczną sukienkę, którą miałaś na sobie. — Pomyślałam, że Patty jest jeszcze trochę dziecinna.

— Nie musisz mi dziękować — odezwała się Nora. — To mój ojciec wepchnął cię do wody. Nie masz wobec mnie żadnego długu wdzięczności. Pragnę, byś sobie stąd poszła i nigdy się już tutaj nie pokazywała.

Patty stała wstrząśnięta i milczała. Helen okazała dość przytomności umysłu, by

podejść do Nory i wyprowadzić ją z pokoju, zapobiegając dalszym incydentom. Patty zupełnie straciła głowę i zalała się łzami. Wyszłam z nią z domu.

To była moja wina, że nie pomyślałam, jak Nora może się czuć. Przecież za to, co się stało, odpowiedzialność ponosił mężczyzna, którego uważała za swojego ojca. W niczym to jednak nie umniejszało jej bohaterstwa, bo kiedy rzuciła się na ratunek, nie wiedziała, że sprawcą wypadku jest jej ojciec. Ja ze swojej strony nie kojarzyłam nigdy jej osoby z Ashleyem, bo przecież nie był jej ojcem i nigdy nie myślałam o nim jako o ojcu Nory.

Nie miałam pojęcia co teraz zrobić. Patty przestała lać łzy, starałam się ją pocieszyć najlepiej, jak umiałam, choć nie było to wcale łatwe.

— Chciałam, żeby Deborah została moją przyjaciółką — powiedziała. — Nie ma żadnych przyjaciół, a ja ją lubię. Pomyślałam, że możemy się od czasu do czasu spotykać i razem spędzać czas. Mogłabym również sprawić, by polubili ją inni. Powiedziałaś, że w rzeczywistości wcale nie jest taka wyniosła.

— Bo nie jest. Mogę cię zapewnić, że Deborah jest dobrą, kochającą dziewczyną, która niczego nie pragnie bardziej niż twojej przyjaźni, ale... jeśli nawet wcześniej istniała możliwość, byście się zaprzyjaźniły, ten człowiek swym czynem zniszczył wszystko. Deborah wstydzi się za niego i jej powściągliwość stanie się wyraźniejsza, bo będzie jej używała jako broni przed innymi. Nie sądź jej zbyt surowo, Patty. Może kiedyś uda nam się przeniknąć przez tę skorupę, którą się otoczyła. Będziemy próbowały.

Glen gotów był wziąć całą winę za to, co się stało, na siebie.

— Powinienem był wiedzieć, co będzie czuła Nora. Nie pomyślałem o tym.

— A jak tam poszukiwania Ashleya?

— Zniknął. Trudno uwierzyć, ale to fakt. Natychmiast po tym, jak się dowiedzieliśmy, co zrobił, ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, by zablokować mu drogę ucieczki. Przeczesałiśmy nawet las. Ale wymknął się nam.

— Pieszko? — spytałam niedowierzająco.

— Wszystko na to wskazuje. Nie brakuje żadnego konia, nie ukradziono

samochodu... chyba że skorzystał z jednego z trzech, które stoją w garażu na Wzgórzu.

— Dziś rano były tam wszystkie trzy. Widziałam je.

— Myślisz, że może się ukrywać w domu Cameronów? Albo w garażu? Lub w starych stajniach?

— Niewykluczone, choć osobiście w to wątpię. Gdyby go tam znaleziono, gdyby ukrywała go rodzina Cameronów, mieszkańcy miasta mieliby prawo bardzo się tym faktem zdenerwować, a nawet stracić panowanie nad sobą. Cameronowie nie są tacy głupi, by o tym nie wiedzieć. Mimo że są bogaci i wpływowi, mogliby poważnie ucierpieć na całej tej aferze.

— Prawdopodobnie masz rację. Mówiąc szczerze, kilku mężczyzn wśliznęło się nocą do garażu i stajni. Mało prawdopodobne, by Ashley ukrył się w domu, więc wątpię, by w ogóle znajdował się na Wzgórzu. Doszedłem do wniosku, że udało mu się zbiec, może dzięki odrobinie szczęścia. Wydano jednak nakaz jego aresztowania i wcześniej czy później odnajdzie się.

— Do tego czasu ci zapalczycy nieco ochłoną — powiedziałam — więc może to i lepiej. Bałam się, że jak go schwytają ostatniej nocy, może dojść do samosądu.

— Powstrzymałbym ich — odrzekł Glen.

— Byłbyś jeden przeciwko im wszystkim. A oni nie kierowaliby się zdrowym rozsądkiem. Żal mi Patty. Za to, co przeszła przez niego i za to, co ją spotkało dziś rano, kiedy Nora na nią nakrzyczała.

— Nie przerwiemy poszukiwań. Ludzie podzielili się na grupy, każda z nich ma wyznaczony rejon. Ashley, jeśli jest gdzieś w pobliżu, musiałby wykopać sobie długi, głęboki tunel, by nam uciec.

Ale poszukiwania Ashleya, prowadzone przez następne trzy dni, zakończyły się niczym. Albo mu się udało wymknąć, co wszystkim wydawało się mało prawdopodobne, albo znalazł sobie jakąś wyjątkowo dobrą kryjówkę.

Emocje opadły; fabryka pracowała pełną parą, miasto zaczęło znów żyć spokojnie. Warunki uległy pewnej poprawie, wprawdzie nie w takim stopniu, jak tego

chciałam, choć udało mi się doprowadzić do podwyżki płac i dowiodłam ponad wszelką wątpliwość, że ma to pozytywny wpływ na wzrost wydajności pracy, więc Cameronowie byli usatysfakcjonowani.

Podczas zebrań udziałowców często dochodziło do kłótni. Każda strona mogła utracić plany przeciwnika, więc decyzje podejmowano tylko w obliczu konieczności. Jednak przed fabryką roztaczały się wspaniałe perspektywy. Napływały liczne zamówienia od kupców z zagranicy, ale faktycznymi nabywcami były państwa uczestniczące w wojnie. Rysowały się wspaniałe szanse kolejnych, jeszcze większych zamówień. W Waszyngtonie zaczęto mówić o powiększeniu liczebności armii, co dla fabryki oznaczało więcej pracy. Już wkrótce zyski osiągnęły poziom sprzed kryzysu.

W poniedziałek Patty wróciła do szkoły. Glen skończył przyjmować pacjentów i ponieważ miał problemy z samochodem, postanowił pojechać do Barnborough, miasta większego od Cameron, gdzie działały specjalistyczne warsztaty naprawcze.

Wieczorem zadzwonił, żebym na niego nie czekała, bo nie wróci na kolację. Samochód był częściowo rozebrany i Glen nie miał pojęcia, kiedy go z powrotem złożą. Na pewno dotrze do domu bardzo późno.

— Przygotuję coś specjalnie na twój powrót — powiedziałam mu. — Ale koniecznie zjedz kolację w mieście.

— Dobrze — obiecał. — Czy są informacje o Ashleyu?

— Nie.

— Sądzę, że wciąż ukrywa się gdzieś w pobliżu. Trzymaj pod ręką ten pistolet, który ci dałem jakiś czas temu i w razie potrzeby użyj go. Ashley mógł zupełnie stracić głowę.

— Będę ostrożna — powiedziałam. — Nie sądzą, by ośmielił się pokazać w mieście. Wróć jak najszybciej, najdroższy.

Zjadłam samotnie kolację i zaczęłam błądzić gdzieś myślami. Uwaga Glena na temat trzymania broni w pogotowiu przestraszyła mnie.

O ósmej, kiedy pozmywałam statki i posprzątałam w kuchni, zaczęłam odczuwać jeszcze większy lęk. Wyciągnęłam pistolet z szafki nocnej i wsunęłam go

do wielkiej kieszeni fartucha. Było mi niewygodnie, gdyż był dość ciężki.

Potem przyszła mi do głowy pewna myśl. Nikt nie wiedział, gdzie się ukrywa Ashley, ale przecież zwierciadło mogło mi to powiedzieć. Warto było chociaż spróbować. Musiałam się pozbyć potencjalnego zagrożenia, jakie stwarzał. Gdybym znalazła Ashleya przed powrotem Glena, mogłabym go przekazać w ręce mieszkańców miasta. Pośpieszyłam na górę i sięgnęłam po zwierciadło.

— Mam poważny problem i grozi mi wielkie niebezpieczeństwo — powiedziałam. — Zrozumiesz to, dobra królowo Maeve, bo w swoim życiu często miałaś do czynienia i z jednym, i z drugim. Zagraża mi pewien mężczyzna. Ukrywa się. Pragnę się dowiedzieć, gdzie się skrył, by można go było oddać w ręce sprawiedliwości, by poniósł słuszną karę za swój czyn. Jeśli nie uważasz mej sprawy za błąd, proszę, ukaż mi sposób, w jaki mogę się pozbyć grożącego mi niebezpieczeństwa.

Odczekałam pełną minutę, nim spojrzałam w lustro. Ujrzałam znajomy widok. Stary budynek fabryki. Był tak wyraźny jak na pocztówce. Obraz pojawił się i natychmiast zniknął, ale uzyskałam odpowiedź. Schowałam zwierciadło na miejsce i zdjęłam fartuch, wyciągnąwszy uprzednio z kieszeni ciężki pistolet. Ubrałam się pośpiesznie i włożyłam broń do torebki, którą zabrałam ze sobą.

Postanowiłam zakraść się cicho do budynku fabryki i rozejrzeć za jakimś śladem obecności Ashleya, a później wrócić tu z większą grupą osób. Nie mogłam przecież oświadczyć tym ludziom, że wiem, iż się tam ukrywa, bo powiedziało mi to zwierciadło liczące dwa tysiące lat.

Może powinnam była zaczekać na Glena, ale sam nie potrafił mi powiedzieć, kiedy wróci. Ashley mógł w każdej chwili opuścić kryjówkę. Najwidoczniej zdecydował, że będzie się ukrywał tak długo, póki mieszkańcy miasta nie staną się mniej czujni, a później zaryzykuje ucieczkę. Nic mi nie będzie groziło, bo się do niego nawet nie zbliżę. Jeśli tak się pechowo złoży, że mnie zobaczy, w torebce miałam pistolet i umiałam się nim posługiwać.

Ruszyłam wzdłuż ulicy Main, mając nadzieję, że nikt mnie nie zaczepi nawet na

krótką pogawędkę. Ulica była zupełnie opustoszała, więc spotkałam tylko parę osób, które skinęły mi na powitanie i poszły dalej. Kiedy dotarłam do starej fabryki, było już po dziewiątej. Minęłam tonące w ciemnościach tereny, na których zorganizowano festyn. Poruszałam się niemal bezszelestnie.

Wiedziałam, że przeszukiwano budynek fabryki, ale prawdopodobnie nikt nie zapuścił się na górę, gdzie znajdowała się górna część wału napędowego poruszanego kołem. Nie brakowało tam zakamarków, które stanowiły idealną kryjówkę. Do tej pory nikt ich starannie nie przeszukał. Zbliżałam się do mostka, na którym kilka dni temu czekał na mnie Ashley.

Nagle dojrzałam samochód. Mały czerwony kabriolet Nory. Nie było mowy o pomyłce, bo w całym stanie nikt nie miał takiego auta. Ashley się tu ukrywał, a dziewczyna, która była przekonana, że jest jej ojcem, składała mu potajemnie wizytę. Przypadłam do ziemi za olbrzymim dębem. Mogłam stąd obserwować wejście do budynku. Jednocześnie zastanawiałam się gorączkowo, co powinnam teraz zrobić.

Nie mogłam sprowadzić ludzi z miasta, dopóki była tu Nora. Mogło dojść do gwałtownej sceny i bałam się, że coś by się jej stało. Mogłam jedynie czekać na rozwój wypadków.

Nie miałam pojęcia, ile upłynęło czasu. Może pół godziny, a może tylko pół minuty. Wtem dostrzegłam w pobliżu fabryki jakiś ruch. Zerwałam się na nogi. Wyłoniła się czyjaś postać i skierowała w stronę samochodu. Nie mogłam rozpoznać, kto to był. Uczyniłam kilka kroków do przodu. Widocznie zrobiłam to głośno, bo postać znieruchomiała.

— Debbie — rozległ się zachrypnięty, stłumiony głos Ashleya — czy to ty?

Wyciągnęłam pistolet z torebki i wyszłam na otwartą przestrzeń. Ashley, choć nie widział mnie lepiej niż ja jego, wyraźnie się zaniepokoił. Wsiadł do samochodu. Włączył silnik. Kiedy pojazd ruszył, wyciągnęłam przed siebie pistolet. Oceniłam, że minie mnie w odległości jakiś dziesięciu metrów. Mogłam go zatrzymać. Samochód nie osiągnął jeszcze dużej prędkości. Wycelowałam broń. Trzymałam palec na cynglu, kurek był odwiedziony. Wystarczyło nacisnąć trochę mocniej...

Samochód zbliżał się, nabierając powoli szybkości. Skierowałam broń w stronę ruchomego celu, ale niespodziewanie wydałam stłumiony okrzyk i opuściłam pistolet. Jak można zabić człowieka? Nawet takiego jak ten. Potrząsnęłam głową i odwróciłam się. Trzy metry dalej stała Nora.

— Nora! — zawołałam odruchowo na jej widok.

— Czy tak mam na imię? — spytała najbardziej lodowatym tonem, jaki kiedykolwiek słyszałam z ust tej słodkiej istoty.

— Co ty tu robisz? — spytałam ostro, by ukryć własne zdumienie.

— Proszę mi najpierw pozwolić zadać jedno pytanie. Czemu go pani nie zastrzeliła?

— Nie mogłam. Nie... nie mogłam.

— Kłamie pani. Zbyt szybko jechał i wiedziała pani, że nie uda się pani w niego trafić.

— Możesz sobie myśleć, co chcesz.

— Czy zamierza pani wszcząć alarm?

— Nie, skoro pozwoliłaś mu skorzystać ze swojego samochodu.

— Co ma wspólnego jedno z drugim?

— Bardzo dużo. Popełniłaś przestępstwo. Nie chcę, byś była wplątana w całą tę sprawę.

— Czemu nie?

Nie wiedziałam, do czego zmierza, choć powinnam była się domyślić. Wiedziałam jedynie, że stoję twarzą w twarz z moją córką i że przede wszystkim pragnę ją wziąć w ramiona. Tymczasem stałam jak kołek, trzymając w jednym ręku pistolet. Wsunęłam broń do torebki.

— Pomogłaś uciec swojemu ojcu. Nie mogę ci tego mieć za złe, choć inni oceniliby twój czyn inaczej.

Zbliżyła się do mnie. Twarz miała kamienną, oczy pozbawione życia.

— On nie jest moim ojcem.

Odetchnęłam głęboko. A więc dowiedziała się prawdy. Powinnam była zdać

sobie z tego sprawę, kiedy zadała mi pytanie dotyczące jej prawdziwego imienia.

— Powiedział mi, że pani jest moją matką — ciągnęła.

— Tak, jestem twoją matką. Nie ma sensu dalej udawać. — Stałam odrętwiała, przepełniona trwogą. Wiedziałam, że nie zaakceptuje mnie.

— Kim był mój ojciec? A może nie powinnam o to pytać takiej kobiety jak pani?

Poczułam się tak, jakby mi ktoś wymierzył policzek.

— O czym ty mówisz? Twoim ojcem był Joel Cameron. Był wspaniałym, kochającym człowiekiem, którego ubóstwiałam całym sercem.

— Jest pani pewna, że Joel Cameron był moim ojcem?

Wolno skinęłam głową.

— Rozumiem. Czy to on ci powiedział? Człowiek, którego przez te wszystkie lata uważałaś za swojego ojca?

— Powiedział, że mam prawo poznać całą prawdę.

— Owszem. Gdyby to była rzeczywiście prawda. Okłamał cię.

— Jeśli zapytam dziadka i babcię, jeśli zapytam Lorana i ciocię Marcy, jeśli zapytam Helen, która była moją matką... czy oni też mnie okłamią?

— Wszyscy bez wyjątku — powiedziałam.

— Czy ten Irlandczyk kłamał? Albo ten mężczyzna, z którym pani otwarcie flirtowała podczas balu? Czy te wszystkie haniebne czyny, których się pani dopuściła, to też nieprawda?

— Powiem ci prawdę, możliwie jak najbardziej zwięźle.

— Nie wysłucham pani. Nie zmusi mnie pani.

Odwróciła się, ale złapałam ją obiema rękami i przytrzymałam mocno.

— Jesteś córką Joela Camerona i moją. Ludzie, którzy cię wychowali, odebrali mi cię, grożąc, że ujawnią wszystkie te kłamstwa. A chcieli to zrobić, ponieważ twój ojciec zapisał mi w testamencie swoje udziały w fabryce, a ja nie zgodziłam się ich zrzec na rzecz Cameronów. Wszystko, co mówią, to kłamstwa. Pewnego dnia dowiodę tego...

— Gdyby miała pani jakieś dowody, już dawno by je pani przedstawiła. To pani kłamie. Nie jestem pani córką. Moją matką jest Helen. Moim ojcem jest Ashley. Czuję do pani taką pogardę i nienawiść, że mogłabym wziąć od pani ten pistolet i zabić panią.

Puściłam ją. Otworzyłam torebkę i wyjęłam pistolet. Wyciągnęłam go w jej stronę. Cofnęła się, patrząc to na pistolet, to na mnie.

— Nie jest pani tego warta — powiedziała. — Żadna dziwka nie jest tego warta. Nie chcę pani nigdy widzieć. Nigdy nie uznam pani za swoją matkę. Nigdy!

— Noro... — upuściłam pistolet na ziemię. — Noro, proszę...

— Jeśli będzie mnie pani zmuszała do tego, bym uznała panią za swoją matkę, popełnię samobójstwo!

— Rozumiem, Deborah — powiedziałam, siląc się na spokój. — Daję ci słowo, że w żaden sposób nie będę wtrącała się w twoje życie. Dopóki nie zdobędę dowodu, że Cameronowie cię okłamali. Wtedy przedstawię ci go, a ty albo przyznasz, że się myliłaś, albo nadal pozostaniesz głupią, upartą dziewczyną, jaką z ciebie zrobili Cameronowie. Winna ci jestem tylko jedno. Mówię o twojej siostrze. Uratowałaś Patty życie. Nie wie, że jesteście przyrodnimi siostrami i nie dowie się tego, póki ty nie zechcesz jej uznać za swoją siostrę. To wszystko, co ci mam do powiedzenia.

Odwróciłam się, zrobiłam kilka kroków, przypomniałam sobie o leżącym na ziemi pistolecie i wróciłam się po niego. Nora zniknęła w ciemnościach nocy. Schowałam pistolet do torebki i wolno ruszyłam w stronę domu, hamując gniew na tych, którzy zatruli umysł mojej córki ohydnymi kłamstwami. Nie płakałam. Nie byłam w stanie płakać.

Kiedy Glen, wrócił tuż przed północą, opowiedziałam mu, co zaszło, nie ukrywając przed nim niczego.

— Mam przeczucie, że nie powie Cameronom, co się stało — powiedziałam. — Wraca do nich i chce, by wszystko było tak jak do tej pory. Jestem przekonana, że Ashley z własnej woli powiedział jej wszystko, bo był wściekły na nas, na całe miasto, a szczególnie na rodzinę swej żony. Chciał się na nich zemścić.

— Jeśli nadal korzysta z tego samochodu, łatwo go będzie złapać. Tak się w nim rzuca w oczy, jakby jechał na słońcu.

— Proszę, nie rób nic — powiedziałam. — Nawet jeśli ucieknie, jakie to ma teraz znaczenie? Zniszczył własne życie. Dla niego nie ma tu powrotu. Niech sobie jedzie.

— Jak sobie życzysz, moja droga. A jakie są twoje plany? Za dobrze cię znam, by uwierzyć, że poddasz się bez walki.

— Nie zmieniłam swych planów. Na wiosnę zamierzam udać się do Irlandii. Zdobę dowody, które mi są potrzebne, i przedstawię je Norze. Zrobi to, co będzie uważała za stosowne. Jeśli nadal będzie czuła to, co w tej chwili, trudno. Nic więcej nie będę już mogła zrobić. Och, Glenie, złamałaby mi serce.

Nazajutrz, kiedy weszłam do biura fabryki, by wziąć udział w okresowej naradzie, czułam niepokój. Ani Loran, ani Gabriel nie dali poznać, by wiedzieli, że Nora poznała prawdę. Tak jak przypuszczałam, nie powiedziała nikomu o naszym spotkaniu. Ciekawa byłam, jak wytłumaczą zniknięcie jej czerwonego auta. W końcu będą musieli coś na ten temat powiedzieć.

Spotkanie było krótkie. Interesy szły tak dobrze, że nie było się o co spierać. Sądząc po ostatnich raportach, napływało tyle zamówień, że nie mogliśmy nadażyć z ich realizacją. Przez chwilę rozmawialiśmy o dalszej rozbudowie, ale sprzeciwiłam się temu. Większość zamówień była wynikiem wojny, a wojny zazwyczaj kończą się wielkimi kryzysami.

— Lepiej teraz zadowolić się trochę mniejszym zyskiem, niż później wszystko stracić — powiedziałam. — Będę głosowała przeciwko dalszej rozbudowie, choć nie mam nic przeciwko zainstalowaniu jeszcze kilku maszyn, jeśli wygospodarujemy dla nich miejsce. Teraz najważniejszą sprawą jest jak najszybsze spłacenie zaciągniętej przeze mnie pożyczki.

Korciło mnie, by natychmiast wyjechać do Irlandii, tak jak to sobie pierwotnie planowałam, ale po głębszym zastanowieniu doszłam do wniosku, że lepiej odłożyć wyjazd. Zresztą rejs zimą przez Atlantyk, choć nie był niebezpieczny, na pewno nie

należał do przyjemności. Jimmy napisał do mnie, bym przełożyła swój przyjazd, póki sytuacja się nieco nie uspokoi. Wojna obejmowała coraz to nowe obszary. Mówiono o wojnie podwodnej, co było dla mnie czymś zupełnie nie znanym, ale Glen orientował się, co to może oznaczać i zgadzał się z Jimmym.

— Niemcy już pokonały Rosję — powiedział. — Nacierają teraz na Paryż, ale jeśli chcą w tej wojnie zwyciężyć, będą musiały podbić Anglię. W tym celu nieuniknione jest dokonanie desantu na Wyspy Brytyjskie, co jest raczej mało prawdopodobne z uwagi na dość duże ryzyko niepowodzenia. Przypuszczam, że będą próbowali zagłodzić Anglię, by się sama poddała, a jedynym sposobem na to jest blokada wyspy.

Zdradzając swoją całkowitą ignorancję w tematyce wojennej zaprotestowałam łagodnie:

— Przecież nasze statki mogą im dostarczać żywność i towary.

— Moja droga, Niemcom jest obojętne, czyje statki będą torpedowali albo ilu mieszkańców państw neutralnych zginie wskutek zatopienia statku. Już ukuli określenie dla tego typu akcji: nieograniczona wojna podwodna.

Wydawało mi się to nieprawdopodobne i wprost nie do uwierzenia aż do maja, kiedy rozeszła się wieść o zatopieniu *Lusitanii*. Ponad tysiąc osób straciło życie. Mój wyjazd do Irlandii przed zakończeniem wojny okazał się niemożliwy.

— Cóż za okrucieństwo — powiedziałam do Glena. — Cóż za nonsens zabijać tyle istnień ludzkich, zabijać tylu ludzi, którzy nie stanowili dla Niemców żadnego zagrożenia.

— Ale sam statek stanowił takie zagrożenie. Niemcy upierają się, że statek transportował do Anglii materiały wojenne. Kto wie, co rodzi się w umysłach ludzi podczas wojny?

— Jak sądzisz, czy wkrótce my też włączymy się do niej? — spytałam.

— Trudno powiedzieć. Wystarczy teraz lada pretekst. Nawet bagniet w rękach jakiegoś głupiego niemieckiego żołnierza może być wykorzystany w taki sposób, że stanie się to punktem zwrotnym. Podejrzewam jednak, że niemieckie łodzie

podwodne zaczną zatapiać zbyt wiele naszych statków, powodując śmierć zbyt wielu Amerykanów. W tej sytuacji nasz rząd będzie musiał jakoś zareagować.

Uniosłam głowę znad robótki, którą trzymałam w ręku.

— Nigdy dotąd o tym nie pomyślałam — powiedziałam wystraszona. — Glenie, czy musiałbyś iść na front?

— Nie wiem. Jestem przekonany, że na początku na pewno nie z uwagi na mój wiek, choć w armii będą potrzebni lekarze. Jednak część z nas będzie musiała zostać w kraju i opiekować się chorymi robotnikami pracującymi w fabrykach, które dostarczają towary na potrzeby wojska. Jest to nie mniej ważne niż opieka nad rannymi żołnierzami. Trudno przewidzieć, co się ze mną stanie, choć wydaje mi się, że... że zostawią mnie w spokoju.

— Nie słyszałeś nic o Ashleyu? — spytałam, chcąc zmienić temat rozmowy.

— Nie, ale jeśli nadal używa samochodu Nory, złapią go. Myślę, że nawet jeśli porzuci samochód, też go znajdą. Pytanie tylko, co z nim wtedy zrobią.

— Mam nadzieję, że go nigdy nie schwytają — powiedziałam.

— Muszę ci o czymś powiedzieć. Dziś Helen i Nora wyjechały rannym pociągiem, a na popołudniowy załadowano masę ich bagaży. Dowiedziałem się, że rzeczy nadano do Filadelfii, ale nie pod żaden konkretny adres. Ktoś ma się po nie zgłosić.

— To znaczy, że zamierzają się tam zatrzymać na dłużej, ale jeszcze nie wiedzą dokładnie gdzie. Wydaje mi się, że Nora chciała stąd wyjechać i wymyśliła jakiś pretekst. Zupełnie nie wiem, jak mam postępować z tą dziewczyną, Glenie.

— Jeśli teraz cokolwiek zrobisz, możesz ją stracić na zawsze — ostrzegł mnie Glen. — Musisz polegać na jednym: Nora jest córką twoją i Joela. Odziedziczyła po was charakter, choć obecne jej zachowanie wynika z tego, co jej powiedzieli Cameronowie. I ze sposobu, w jaki ją wychowali. Uzbrój się w cierpliwość, kochana Maeve. Czas działa na twoją korzyść.

— Gdybym tylko mogła w to całkowicie uwierzyć, poczułabym się lepiej, Glenie. Tyle mnie już spotkało w życiu przykrości. Kiedy mi powiedziała, że wie, kim

jestem, przepełniała ją taka nienawiść, iż poczułam się, jakby mnie ktoś unurzał w błocie.

— Wyobraź sobie, jak się będzie czuła, kiedy się dowie, że jej nienawiść opierała się jedynie na steku kłamstw.

— Tego też się lękam. Niemal tak samo jak jej nienawiści. Ale mam jeszcze Patty, która jest dla mnie źródłem radości. Przykro mi, że nie mogłam ci dać więcej dzieci, najdroższy.

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Dobre nieba, mamy dosyć kłopotów z tą dwójką. A mówiąc o dzieciach, jest coś, o czym ani ty, ani Cameronowie nie pomyśleliście. Jeśli nasz kraj przystąpi do wojny, wielu robotników zgłosi się na ochotnika do armii, a inni zostaną zmobilizowani. Fabryka będzie mogła nadal funkcjonować, jeśli zatrudni starszych ludzi i wydłuży czas pracy. Młodzi mężczyźni przywdzieją mundury. Należałoby się do tego przygotować.

— Masz rację. Nie pomyślałam o tym — przyznałam się. — Poruszę ten temat na następnym zebraniu zarządu. Zwołujemy je teraz co tydzień, a nie raz w miesiącu, z uwagi na dużą ilość spraw do omówienia.

— A co z pożyczką, którą wzięłaś pod zastaw naszyjnika? Dobrze by było ją spłacić przed przystąpieniem naszego kraju do wojny, kiedy mogą zostać wprowadzone różne ograniczenia rozliczeń finansowych. Nie twierdzą, że musi to nastąpić, ale na przykład wprowadzono szereg restrykcji w obrocie frankami i funtami szterlingami.

— Za dwa, trzy miesiące będę mogła odzyskać naszyjnik. Spłacamy również kredyt zaciągnięty przez fabrykę. Kondycja finansowa zakładów jest idealna.

— Przynajmniej o to nie musisz się martwić. Najdroższa, świetnie się spisujesz. Mówiąc szczerze, potrafisz prowadzić interesy lepiej ode mnie.

— To, że jestem dobra w interesach, nie oznacza, że potrafię nastawiać kości czy usunąć wyrostek robaczkowy. A według mnie są to rzeczy o wiele ważniejsze.

Podczas następnych kilku tygodni odczuliśmy wzrost napięcia. Wszędzie

słyszało się rozmowy o wojnie; w gazetach było mnóstwo artykułów na ten temat, a w kinach puszczano kroniki filmowe, w których ukazywano jej bohaterów i... okropieństwa. Zaczęliśmy coraz wyraźniej zdawać sobie sprawę z tego, że żyjemy w świecie tak szybko zachodzących zmian, że nie potrafimy nadążyć za rozwojem wypadków.

Od zniknięcia Ashleya minął miesiąc. Przerwano poszukiwania, jedynie kilka posterunków policji rozesłało za nim listy gończe. Loran, wkrótce po ucieczce Ashleya, poinformował policję stanową, że Ashley najprawdopodobniej ukradł samochód Nory. Najpewniej zrobił to dopiero wtedy, kiedy otrzymał potajemnie jakąś wiadomość od Ashleya. Widocznie wyjawiał ten fakt, bo nie miał on już wpływu na aresztowanie Ashleya.

Całkowitą pewność zdobyłam na jednym z posiedzeń zarządu, które Loran otworzył osobliwym oświadczeniem.

— Maeve, z dumą informuję cię, że Ashley uciekł do Kanady i jakiś czas temu zgłosił się na ochotnika do Marynarki Brytyjskiej — powiedział. — Był wytrawnym żeglarzem i przyda mu się teraz jego doświadczenie.

— Czy mogę spytać, co zamierzasz zrobić z tą informacją? — zapytała pani Cameron.

Matka Joela coraz rzadziej zabierała głos na spotkaniach zarządu, ale zadając to pytanie niemal rzucała mi wyzwanie.

— Jestem pewna, że można doprowadzić do tego, by władze kanadyjskie aresztowały Ashleya — oświadczyłam. — Skoro jednak wstąpił do armii i bierze udział w wojnie, nawet jeśli zrobił to, by uniknąć aresztowania i skazania, nie zamierzam wnieść przeciwko niemu oskarżenia. Mam nadzieję, że nie splami honoru rodziny.

— To niezwykle uprzejmie z twojej strony — odrzekła sarkastycznie Marcy Tabor.

— Prawda? — spytałam. — Podjęłam taką decyzję, bo jestem przekonana, że Ashley nie dopuścił się owego czynu sam z siebie. Możecie sobie interpretować moje

oświadczenie, jak chcecie. Czy możemy zacząć zebranie, zanim zbyt się zdenerwuję, by je dalej prowadzić?

Fabryka przynosiła olbrzymie dochody, ale Cameronom zawsze było mało. Nasze cotygodniowe zebrania zarządu nieodmiennie kończyły się awanturą, że za dużo płacimy robotnikom, którzy za mało wydajnie lub za krótko pracują, a w sklepach fabrycznych są takie niskie ceny, że sprzedaż towarów przynosi bardzo marny zysk.

Ponawianą przeze mnie propozycję, żeby czynsz płacony przez robotników potraktowano jako raty za wykup domów, Cameronowie odbierali jako osobistą zniewagę. Nie przyjmowali do wiadomości ostrzeżeń, że jeśli nie nastąpią podwyżki płac i innych świadczeń, w fabryce wkrótce rozpanoszą się związki. W nowych warunkach było to wysoce prawdopodobne. Jednak Cameronowie trwali w swym uporze, a moje przerażenie pogłębiało się.

Na początku 1914 roku wkroczyłam do pokoju, w którym miała się odbyć narada i zastałam wszystkich dziwnie milczących.

— Mamy smutną wiadomość — ogłosił Loran. — Niszczyciel Ashleya Easterly'ego został zaatakowany przez niemiecki okręt podwodny i storpedowany. Cała załoga zatonęła. Ashley zginął jak bohater. Cokolwiek uczynił w przeszłości, zostało tym samym wymazane.

Wojna dotknęła nas bezpośrednio.

Rozdział piętnasty

Wydawało się, że przemoc i wojna zapanowały wszędzie. Doszło do zamieszek na Haiti. Wysłaliśmy tam piechotę morską. W Meksyku niejaki Villa, ogłoszony bandytą, był poszukiwany przez naszych żołnierzy. W Dominikanie wylądowały kolejne oddziały piechoty morskiej. W Chinach szalała wojna domowa, ale najbardziej zasmuciła mnie informacja o powstaniu w Irlandii, stłumionym po skazaniu jego przywódców. W 1917 roku wybuchła rewolucja w Rosji, a w kwietniu wypowiedzieliśmy wojnę Niemcom.

Te szalone czasy upłynęły w Cameron dość spokojnie. Miasto kwitło. Robotnicy otrzymali podwyżki i przywileje, które sprawiały ból Cameronom, ale cieszyły mnie. Jak na razie związkom nie udało się na dobre zadomowić w fabryce. Za każdym razem, kiedy wydawało się, że zwyciężą, Cameronowie okazywali na tyle rozsądku, by zrezygnować z czegoś, ku zadowoleniu robotników.

Wszystko, co zaplanowałam sobie przed nastaniem tych burzliwych czasów, trwało w zawieszeniu. Mój brat Jimmy napisał mi, że nie udało mu się nic zrobić, by udowodnić moją niewinność, bo właśnie kiedy zamierzał się zająć tą sprawą, zmobilizowano go do armii brytyjskiej i służył teraz we Francji. Przez wiele miesięcy nie otrzymywałam od niego żadnych wiadomości, ale Glen spokojnie zwrócił mi uwagę na fakt, że Jimmy nigdy nie lubił pisać listów.

Patty miała dziewiętnaście lat. Kończyła prywatne liceum w Bostonie i rozważała, czy nie wstąpić do szkoły pielęgniarstwa, by móc się okazać użyteczną podczas tej wojny. Niewiele wiedziałam o Norze. Cameronowie pilnowali się, by nie wymieniać nawet jej imienia, ale i tak docierały do nas jakieś informacje o niej.

Dowiedzieliśmy się, że wstąpiła do szkoły handlowej, co mnie zdziwiło. Glen przyjął rzecz normalnie.

— Czemu miałyby tego nie zrobić? Mężczyźni nie mają monopolu na prowadzenie interesów. Popatrz tylko, jak tobie się świetnie udaje. A nie zapominaj, że Cameronowie wierzą niezłomnie, iż fabryka po wsze czasy będzie ich własnością.

Nora jest ich jedyną wnuczką, jedyną osobą, która może odziedziczyć zarówno nazwisko, jak i fabrykę. Pewnego dnia będzie musiała zrezygnować z nazwiska, ale nie z fabryki. I powinna wiedzieć, jak nią kierować.

— Nie odważą się pozwolić jej tu wrócić, póki jestem członkiem zarządu.

— Ta rodzina posunie się do wszystkiego, byleby tylko zachować władzę nad miastem i fabryką. Co zrobisz, jeśli Nora wróci i dadzą jej stanowisko dyrektorskie?

— Co mogę zrobić? Pogodziłabym się. Ale nie ma się co martwić na zapas, bo nigdy do tego nie dojdzie.

— Zapominasz o jednym, najdroższa — powiedział Glen.

— Cameronowie nie mają pojęcia, że Nora wie, iż jesteś jej matką.

— Nie mam zamiaru zaprzętać sobie tym głowy. Nic na to nie poradzę, jeśli postanowią ją tu ściągnąć, więc muszę to zaakceptować.

Cameronowie według mnie zbyt optymistycznie oceniali stosunek robotników do dyrekcji fabryki. Byli pewni, że są nie tylko szanowani, ale nawet kochani. Bo niby czemu miałyby być inaczej? Czyż nie poszli na szereg ustępstw? Uczynili robotników szczęśliwszymi, płacili im cztery razy więcej niż kiedyś. Położenie mieszkańców miasta poprawiło się pod każdym względem.

Marcy Tabor umarła pod koniec lata 1917 roku. Zbudzili Glena w środku nocy, ale zanim dotarł na Wzgórze, już nie żyła. Doszło do gwałtownej sceny między Glenem i Cameronami, bo Glen dowiedział się, że Marcy narzekała na bóle serca przez dwa dni, nim straciła przytomność, a mimo to nie wezwali go wcześniej.

— Są tak cholernie zarozumiali, że nawet nie uznają śmierci — mrucał. — Mogłem ją uratować. Istnieją sposoby pomocy ofiarom ataku serca, jeśli dotrzemy do chorych na czas. Dwa dni! Wyobraź to sobie! Pozwolili jej cierpieć całe dwa dni i przerazili się dopiero, kiedy zapadła w śpiączkę.

— Stało się — powiedziałam. — Nie ma w tym twojej winy. Są tacy, jacy są.

Zupełnie niespodziewanie zostałam wciągnięta w tę sprawę. Wezwano mnie do sali posiedzeń. Zwołano tam krótkie spotkanie, na którym oficjalnie ogłoszono zgon Marcy. Informacja o tym miała zostać wywieszona na fabrycznej tablicy ogłoszeń.

Pogrzeb miał się odbyć następnego dnia.

— Chcę, żeby jutro fabryka nie pracowała — powiedział Loran. — Chcę...

— Panie Cameron — przerwałam mu — nie może pan zamknąć fabryki. Nie wyrazi na to zgody Urząd Pracy. Kraj jest w stanie wojny!

Entuzjazm Lorana nieco opadł. Nie byłam pewna, czy to, co powiedziałam, jest prawdą, ale pragnęłam oszczędzić Cameronom kłopotliwej sytuacji.

— W takim razie — powiedział — zawiesimy pracę na trzy godziny, podczas uroczystości pogrzebowych. Władze nie mogą się sprzeciwić. Jeśli będą miały coś przeciwko temu, odpracujemy te trzy godziny.

Matka Joela, jak zawsze wyniosła, nawet wtedy, kiedy okryta była żałobą po śmierci siostry, zadała pytanie, z którym, miałam nadzieję, że nikt nie wystąpi.

— Myśli pani, że przyjdą na pogrzeb, pani Kinnery?

— Nie wiem — odparłam.

I naprawdę nie wiedziałam, choć miałam pewne przeczucia.

— Jestem pewna, że przyjdą. Marcy była związana z fabryką i miastem przez większą część swego życia. Uszanują pamięć Marcy — oświadczyła pani Cameron.

— Jestem o tym przekonany — dodał Gabriel Cameron.

— A ty przyjdiesz? — spytał mnie Loran tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Tak — powiedziałam.

Na pogrzeb mogła przyjechać Nora... już tak dawno jej nie widziałam.

Na tablicy ogłoszeń wywieszono komunikat. Choć nikt nie powiedział ani jednego złego słowa na zmarłą, nikt również nie wyraził współczucia. Nie potrafiłam powiedzieć, czy przyjdą na mszę żałobną i na uroczystości pogrzebowe.

Następnego ranka w całym mieście panowała napięta atmosfera. Ludzie jak zwykle zgłosili się do pracy. Była godzina siódma. O dziesiątej planowano wyłączenie maszyn i zamknięcie fabryki na trzy godziny.

Razem z Glenem jechaliśmy przez puste ulice miasta. Kiedy weszliśmy do kościoła, okazało się, że jesteśmy jedynymi osobami.

— Nikt nie przyjdzie — oświadczył Glen. — Powiedziałem ci to wczoraj

wieczorem. Sądzę, że z całego klanu Cameronów Marcy była najbardziej nielubiana. Ci ludzie nie są skłonni pożegnać się z kimś, kto jest im obojętny.

— Wolałabym, żeby przyszli. Trudno powiedzieć, co zrobią Cameronowie, jeśli się rozzłoszczą, a to na pewno doprowadzi ich do wściekłości.

— Mieszkałaś z nimi przez rok. Gdybyś nie była członkiem rady nadzorczej, przyszłabyś tu?

— Nie.

— Gdybyś pracowała kilka lat w fabryce, przyszłabyś?

— Na pewno nie.

— Nie przyjdą — powtórzył. — I nic ich nie obchodzi, co sobie pomyślą ich szefowie. Nie wyłączając ciebie.

Zajęliśmy miejsca z samego przodu. Po chwili pojawili się Cameronowie. Kroczyli za trumną, a potem chyba specjalnie usiedli po drugiej stronie przejścia. Przyszła też Nora. Nie widziałam jej ponad dwa lata. Szła w sporej odległości za Cameronami. Na jej widok wydałam stłumiony okrzyk zdziwienia, który usłyszał Glen. Odwrócił głowę i ujrzał to, co mnie wprawiło w takie zdumienie. Nora, wysoka, atrakcyjna, ubrana na czarno, szła razem z Patty. Poinformowaliśmy Patty telefonicznie o śmierci Marcy, ale nie spodziewałam się jej przyjazdu. A już z całą pewnością nie w towarzystwie Nory.

Glen nachylił się do mojego ucha.

— Można powiedzieć jak dwie krople wody.

Była to prawda. Kiedy znalazły się naprzeciwko nas, ich podobieństwo było zdumiewające; mogły być bliźniaczkami; różniły się właściwie tylko kolorem włosów. Pomyślałam, że Patty zachowuje się o wiele swobodniej i jest bez porównania mniej wyniosła, ale nie chodziło tu o ich zachowanie.

— Jeśli kiedykolwiek staną obok siebie i spojrzą w lustro — szepnęłam — zaczną snuć domysły.

— Nora już wszystko wie — przypomniał mi Glen.

— Jeśli powiedziała Patty...

Patty zostawiła Norę i podeszła do nas. Usiadła obok mnie i wyciągnęła rękę, by uścisnąć moją dłoń. Nie zamieniłyśmy ani słowa, bo zaraz miała się zacząć msza. W kościele nie było ani jednego mieszkańca miasta. Cameronowie, z wyjątkiem Nory, sprawiali wrażenie zagniewanych. Może nie rozumiała sytuacji.

Po mszy wszyscy udali się na cmentarz. Na orszak składały się dwa samochody. W drugim jechałam ja z Glenem i Patty. Pojazdy toczyły się wolno przez ulice osiedla, przypominającego miasto-widmo. Sklepy były nieczynne, wszystkie drzwi pozamykane, story w wielu oknach zaciągnięte.

— Gdzie się wszyscy podzieli?— spytała Patty.

— Moja droga — powiedział Glen — nie znałaś Marcy Tabor, ale mieszkańcy miasta znali ją. Nie lubili jej i najwidoczniej postanowili nie przyjść na jej pogrzeb.

— To zwykła głupota — powiedziała Patty. — Przecież nie może ich teraz skrzywdzić.

— To prawda.

— Cieszę się, że ty i tatuś przyszlście na pogrzeb.

— Do kościoła weszłaś z Deborah — powiedziałam. — Jak to się stało?

— Och, spotkałyśmy się w pociągu. Postanowiłam przyjechać do domu i wsiadłam akurat do tego przedziału, w którym siedziała razem ze swą matką. Przywitałam się z nimi i zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać.

— O czym? — spytał Glen.

— O różnych rzeczach. Głównie o wojnie.

A więc Nora nie poinformowała Patty, że były siostrami przyrodnimi. Trudno mi było powiedzieć, czy ucieszyłam się tym, czy też zmartwiłam.

Na cmentarzu Nora stanęła w pewnej odległości od swej rodziny czy też tych, których uważała za swoją rodzinę, a Patty stanęła w pewnej odległości od nas — jakby obie czuły potrzebę bliskości w tej smutnej chwili. Nie wiem, jak ocenili to inni, ale mnie sytuacja wydawała się wspaniała. Niespodziewanie Nora zaczęła płakać i Patty objęła ją ramieniem. Z trudem powstrzymałam łzy, bynajmniej nie wywołane żalem po śmierci Marcy Tabor, której ciało składano na miejsce wiecznego

spoczynku.

Loran skinął głową mnie i Glenowi. Rodzice Joela zawsze udawali, że nas nie widzą. Helen, która nie pojawiła się w kościele, przyłączyła się do nas na cmentarzu. Wyglądała na zirytowaną faktem, że Patty i Nora stoją tak blisko. Kiedy się wszyscy odwróciliśmy, Helen podeszła do Nory i szepnęła jej coś. Nora posłusznie poszła z nią, ale odwróciła się i uśmiechnęła lekko do Patty. Patty pomachała jej i podeszła do nas.

— Wydaje mi się, że lubiła Marcy — powiedziała Patty.

— Mam nadzieję, że tak. Czy znowu się spotkacie?

— Wątpię. Jej rodzina prawdopodobnie nie pozwala jej się z nikim spotykać. Ukończyła jakąś szkołę handlową i sędzę, że zamierza pracować w biurze fabryki.

— W takim razie najprawdopodobniej od czasu do czasu będę ją widywała — powiedziałam.

— Myślę, że tak, mamusi. Gdybyś ją zobaczyła, proszę, powiedz jej, że jeśli kiedykolwiek będzie miała ochotę się ze mną spotkać, umówię się z nią z największą przyjemnością. Lubię Deborah.

— Wydawało mi się, że uważasz ją za zarozumiałą — powiedział Glen.

— Kiedyś tak myślałam, ale ona teraz wcale już nie zadziera nosa. Może na zewnątrz udaje, że taka jest, ale... no cóż, po prostu ją lubię i już. Mogłybyśmy być bardzo dobrymi przyjaciółkami.

Otoczyłam Patty ramieniem i zanim wsiadłyśmy do samochodu, uścisnęłam ją.

— Cieszę się. Nie ma nic cenniejszego niż przyjaźń. Powtórzę jej twoje słowa.

Nora nie wstąpiła do biura, tylko zaraz po pogrzebie wróciła do szkoły. Razem z nią wyjechała Helen. Nawet do mnie nie podeszła. Cieszyłam się, że Nora nie powiedziała Cameronom o tym, że zna swoich prawdziwych rodziców. Nie byłam jeszcze na to przygotowana i nie miałam wątpliwości, że Patty również nie.

Patty wyjechała, by złożyć końcowe egzaminy, a bezpośrednio po nich wstąpiła do szkoły pielęgniarstwa w Bostonie. Jennie często się z nią widywała i przekazywała nam najświeższe wiadomości na jej temat, bo Patty była zbyt zajęta, by pisać listy.

W fabryce wszystko toczyło się gładko. Nie ulegało wątpliwości, że zawdzięczamy to wojnie, ale osiągnęliśmy mocną pozycję, nasze towary cieszyły się dobrą opinią i byliśmy pewni, że nawet po wojnie mamy wszelkie dane, by kontynuować nasz sukces — niewykluczone, że podejmując produkcję nowych wyrobów, co obecnie, z uwagi na wojnę, było niemożliwe.

A wojna toczyła się w najlepsze. Pojawiły się nowe, mechaniczne potwory, zwane czołgami; okazało się, że samoloty są wspaniałymi narzędziami ataku i obrony. Los uśmiechał się to do jednych, to do drugich, ale alianci wolno zdobywali przewagę i spekulowano, kiedy rozpocznie się kampania mająca na celu przełamanie linii Hindenburga.

Glena nie zmobilizowano ze względu na wiek oraz dlatego, że jego opieka była niezbędna ludności cywilnej, produkującej towary na potrzeby wojska. Miał bardzo dużo pracy, bo młodszych lekarzy powołano do armii i musiał rozszerzyć swoją praktykę na dwa sąsiadujące miasta. Były tygodnie, kiedy widziałam się z nim tylko kilka minut w ciągu dnia. Oddawałam się działalności w Czerwonym Krzyżu. Pomagałam również pisać listy tym mieszkańcom naszego miasta, którym sprawiało to trudności. Dzięki mnie ich synowie, przebywający z dala od kraju, byli na bieżąco informowani o wszystkim, co się dzieje w domu. Oczywiście wojna zdeorganizowała życie. Ceny były niebotyczne, braki stały się czymś powszednim. Wszyscy hodowali w ogródkach warzywa, nawet ja mogłam się poszczycić niezłymi plonami, uzyskiwanymi na skrawku ziemi na tyłach naszego domu.

Na początku lata, po końcowych egzaminach w szkołach, dowiedziałam się, że Nora otrzymała etat w biurze fabryki i znów zamieszkała w domu na Wzgórzu. Podczas następnego zebrania zarządu cicho przyłączyła się do siedzących przy stole. Staralam się nie za często spoglądać w jej kierunku, ale kiedy przez chwilę nasze spojrzenia spotkały się, poczułam ukłucie bólu na widok jej obojętnego wzroku. Jednak przynajmniej miałam jakiś kontakt z Norą.

Po omówieniu aktualnej sytuacji fabryki Loran oświadczył:

— Czuję, że wkrótce wojna się skończy. Powinniśmy być przygotowani na

zmianę profilu produkcji. Deborah przygotowuje kampanię, która zostanie przeprowadzona przez rozbudowany pion sprzedaży. Celem tej kampanii będzie zagwarantowanie poziomu sprzedaży przynajmniej na dotychczasowym poziomie, a nawet jego wzrost. Z dumą informuję, że Deborah jest jedną z pierwszych młodych dam na stanowisku dyrektorskim. Będzie odpowiadała za zbył. Jestem pewien, że nie ma pani nic przeciwko temu, pani Kinnery?

— Nie zgłaszam sprzeciwu — powiedziałam z uśmiechem.

— Sądzę, że Deborah będzie się spisywała w swojej pracy na medal i wszyscy będziemy mogli być z niej dumni.

Deborah nie powiedziała ani słowa, nawet nie spojrzała w moją stronę. Wkrótce spotkanie zakończyło się i nie podchodząc do Nory opuściłam salę. Chciałam, żeby widziała, że w żaden sposób nie chcę ingerować w jej życie.

Dogoniła mnie na jednym z długich korytarzy.

— Dowiedziałam się, że pani hojność uratowała fabrykę od bankructwa — powiedziała. — Czuję się za to wobec pani zobowiązana, ale nadal nie życzę sobie mieć z panią nic wspólnego.

— Jak chcesz — powiedziałam. — Przykro mi, że zmuszone jesteśmy do kontaktów służbowych, ale nie da się ich uniknąć bez wyjawiania prawdy, a wyraźnie dałaś do zrozumienia, że sobie tego nie życzysz.

— Nie zmieniałam swojej decyzji.

— Bardzo dobrze, ale nie musisz odnosić się do mnie z taką rezerwą, moja droga. Gram całą tę komedię, tak jak chciałaś. Zresztą nie od dzisiaj.

— Bo nie ma pani innego wyjścia — odparła zgryźliwie.

— Uważam dyskusję na ten temat za wyczerpaną. Jakiś czas temu Patty poprosiła mnie, by przekazać ci wiadomość, jeśli się spotkamy. Lubi ciebie i chciałaby się z tobą zaprzyjaźnić. Z całego serca popieram jej zamiar. Jeśli jednak planujesz sprawić ból mnie — i Patty — mówiąc jej pewnego dnia, że jesteś jej przyrodnią siostrą, nigdy ci tego nie wybaczę. Proszę, zrozum mnie.

— Jak mogłabym jej to powiedzieć nie niszcząc wszystkiego? Nie sprawiając

bólu Helen i pozostałym?

— Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę. Kiedy będę gotowa, by ogłosić prawdę, zrobię to, ale na moich warunkach. Są bardzo proste. Nadejdzie taki dzień, kiedy będę miała dowód, że zostałam oczerniona, że okłamano cię i wtedy nawet ty mi uwierzysz.

— Do widzenia pani — powiedziała oschle i odmaszerowała.

Moja córka! Joel nie byłby dumny z jej dzisiejszego zachowania. Jakby nie była zadowolona z naszego gwałtownego i chłodnego rozstania, zadzwoniła do mnie niezadługo po moim powrocie do domu.

— Zapomniałam pani powiedzieć, pani Kinnery, że wymieniliśmy z pani córką listy i zamierzamy często do siebie pisywać. Więc nie ma potrzeby, by występowała pani w roli posłańca, bo wiem, że jedynym powodem, dla którego pani to robi, jest chęć widywania się ze mną. Będę się modliła, by Patty nie wyrosła na taką kobietę, jaką jest pani.

Nie dała mi możliwości wtrącenia ani jednego słowa. Wolno odwiesiłam słuchawkę. Byłam bliska łez.

Póki nie skończy się wojna i podróż do Irlandii nie będzie bezpieczna, nie mogę jechać do Europy i spotkać się z Cathalem Dolanem. Przemknęło mi przez myśl, że mógł zginąć na wojnie, ale raczej w to wątpiłam. Cathal nigdy nie zaciągnąłby się do armii brytyjskiej ani do żadnej innej. Siał i zbierał swój jęczmień, strzygł owce i od czasu do czasu czyścił swoje buty z błota. Takiego człowieka nie zmieni nawet wojna światowa.

Byłam jednak niespokojna i ogarnęła mnie taka rozterka, że postanowiłam poprosić o pomoc stare zwierciadło królowej Maeve. Zwierzyłam się Glenowi wieczorem, po opowiedzeniu mu wydarzeń dnia.

— Nie widzę przeszkód, byś częściej z niego korzystała — powiedział. — Choć nadal trudno mi uwierzyć w jego moc, zwierciadło nigdy cię jeszcze nie zawiodło.

— Och, mój drogi — powiedziałam — nie można go wykorzystywać dla byle błahostki. To nie *ouija** ani talia kart do wróżenia. Ma czarodziejską moc, z której można skorzystać, kiedy naprawdę istnieje jakaś ważna przyczyna, a nie przy lada kaprysie.

— W takim razie uważam, że potrzebujesz teraz porady zwierciadła.

* *ouija* — ruchoma tabliczka z literami alfabetu i innymi znakami, za pomocą której w czasie seansu spirytystycznego „duch” (albo jedna z osób opierających o nią palce komunikuje się z uczestnikami tegoż seansu) — przyp. tłum.

Poszłam na górę, by je przynieść. Glen ustawił za kanapą stół z lampką o silnej żarówce i usiadł obok mnie. Odwinęłam zwierciadło i wypowiedziałam swoją prośbę.

— Przez całe moje życie, zawsze, kiedy radziłam się twojego zwierciadła, dowiadywałam się prawdy. Teraz znów muszę się dowiedzieć, co mnie czeka. Powiedz mi, proszę, czego mogę się spodziewać w najbliższym czasie.

Uniosłam zwierciadło na wysokość oczu. Ukazał się w nim przelotny obraz. Na początku był wyraźny, ale zniknął po sekundzie czy dwóch, jak się czasami zdarzało. To, co ujrzałam, wywołało we mnie dreszcz grozy. Zacisnęłam mocno powieki.

— Co zobaczyłaś, Maeve? — spytał zaniepokojony Glen. Ostrożnie zawinęłam zwierciadło.

— Po raz pierwszy ujrzałam samą siebie. Widziałam tylko swoją twarz; oczy miałam zamknięte i sprawiałam wrażenie śmiertelnie chorej. Nie sądzę, żebym była martwa. Czy zwierciadło pokazałoby mi moją śmierć? Tak, sądzę, że tak. Ale mimo wszystko odnoszę wrażenie, że nie byłam martwa.

— Jutro z samego rana zbadam cię tak dokładnie, jak jeszcze nigdy w życiu nie byłaś badana — powiedział Glen. — I od tej pory codziennie będę sprawdzał stan twojego zdrowia. Możliwe, że zwierciadło potrafi dokładnie przepowiadać przyszłość, ale tym razem zamierzam przeprowadzić z nim prawdziwą batalię.

— Może nie odzyskałam spokoju ducha — powiedziałam — ale wiem, że mi pomożesz. Choć wydaje mi się, że nigdy w życiu nie czułam się lepiej niż teraz.

— Nie pozwolę ci się też zamartwiać z powodu tej niewdzięcznej Nory Cameron — ostrzegł mnie Glen.

Przysunęłam się do męża i złożyłam mu głowę na ramieniu, szczęśliwa, że mogę polegać na jego sile i umiejętnościach.

— Najdroższy — powiedziałam — nie martwię się Norą. Może kiedyś czułam lęk na myśl o tym, jak ją wychowują. Do pewnego stopnia udało im się przerobić ją na swój wzór, ale nie do końca. Bardzo mądra z niej dziewczyna, choć jej rozsądek jest trochę przesłonięty nienawiścią do mnie. Ma własne poglądy i jest zdolna. Nora jest dziewczyną, o którą nigdy nie będę się musiała martwić, i kiedy będę mogła jej przedstawić fakty dowodzące, że Cameronowie ją okłamali, uwierzy mi i w końcu zostanie moją córką. Nigdy w życiu nie byłam czegoś bardziej pewna jak tego.

Nazajutrz Glen, tak jak obiecał, zbadał mnie dokładnie i stwierdził, że jestem zdrowa jak ryba. Praca w Czerwonym Krzyżu i nieco zajęć w fabryce pochłaniały mi tyle czasu, że stopniowo zacierał się w mojej pamięci obraz ujrany w zwierciadle, aż w końcu zupełnie o nim zapomniałam. Czasem powracał do mnie podczas bezsennych nocy, ale potrafiłam się otrząsnąć z przygnębienia.

Patty regularnie do nas pisywała i często informowała, że miała wiadomości od Nory, choć o czym pisały do siebie obie dziewczyny, wiedziały tylko one. Cieszyłam się ich rosnącą zażyłością. U Patty było to coś zupełnie naturalnego, bo zawsze była bardzo przyjaźnie i ciepło nastawiona do świata. Natomiast Nora pogardliwie i chłodno odnosiła się do znajomych, którzy nie dorównywali jej pozycji społecznej. Wiedziała jednak, że Patty jest jej przyrodnią siostrą. Przy okazji wyszły na jaw pozytywne cechy jej charakteru. Tęskniłam do chwili, kiedy będą mogły otwarcie przyznać, że są siostrami.

Tamtego roku święto Czwartego Lipca nie zostało uczczone w Cameron pokazem ogni sztucznych i uroczystym pochodem, tak jak działo się co roku. Miasto udekorowano chorągiewkami, w małym, nowo utworzonym parku zorganizowano występ orkiestry, ale tylko nieliczni przyszli posłuchać koncertu. Zbyt wiele nazwisk mieszkańców okolic widniało na listach poległych, zbyt wielu młodych mężczyzn

walczyło w odległej Europie. Nikt nie był w nastroju do świętowania, nawet z okazji rocznicy powstania kraju.

Następnego ranka bardzo mnie zdziwił telefon od Nory.

— Mamy do omówienia dość pilną sprawę — powiedziała. — Stryj Loran i dziadek zwrócili się do mnie z prośbą, bym się tym zajęła.

— Jestem gotowa spotkać się z tobą, kiedy tylko zechcesz — powiedziałam zaintrygowana.

— Proponuję, byśmy dziś wieczorem zjadły razem kolację w zajeździe. Czy to pani odpowiada, pani Kinnery?

— Oczywiście. Może spotkamy się o siódmej?

— Świetnie. Zamówię stół. Do zobaczenia wieczorem.

Odwiesiła słuchawkę. W południe Glen zakończył wizyty u chorych i podczas obiadu powiedziałam mu o telefonie Nory.

— Zaprosiła cię na kolację w zajeździe? Macie się spotkać tylko we dwie?

— Tak.

— Znosi się na jakieś kłopoty — ostrzegł. — To pewne. Za nic w świecie nie uwierzę, by Loran polecił dziewczynie omówić z tobą w cztery oczy jakąś ważną sprawę. Poza tym skąd może wiedzieć, czy nie powiesz Norze, że jesteś jej matką?

— Jestem pewna, że jest święcie przekonany, iż to wykluczone. Loran już dawno doszedł do przekonania, że nigdy jej nie odzyskam. Jeśli chodzi o przedyskutowanie spraw fabryki, Nora studiowała przecież w szkole handlowej. Wiesz, że była jedną z dwóch kobiet na trzystu studentów? Jest osobą niezwykle kompetentną i Loran o tym wie.

— Ale cóż mogłybyście omawiać w cztery oczy? Musisz przyznać, że to dość niezwykle.

— Nie wiem. Może Nora chce spróbować swoich sił. Może znów wystąpią z jedną z tych swoich propozycji, w wyniku których robotnicy coś stracą, a kieszenie Cameronów napełnią się większą ilością pieniędzy.

— Wciąż zajmują się takimi rzeczami? — spytał. — Mimo że trwa wojna?

— Myślą już o przyszłości, kiedy nie będzie żadnych komisji, które ograniczają im swobodę działania. Nie, teraz nie śmieliby wprowadzić jakichkolwiek zmian, bo są przekonani, że nie zgodziłabym się, podobnie zresztą jak władze.

— A co będzie później? Kiedy mężczyźni wrócą do domów? Teraz w fabryce brakuje rąk do pracy, ale kiedy wszyscy wrócą z frontu, będzie za dużo chętnych, a za mało miejsc pracy. Co będzie wtedy?

— Jeśli mnie posłuchają, będziemy mieli zajęcie dla wszystkich. To jedna z przyczyn, dla których chcę porozmawiać z Norą. Jest rozsądna, w szkole poznała nowoczesne metody zarządzania, więc dostrzeże bezsens obniżania płac i wydłużania czasu pracy.

— Czyżby zamierzali to zrobić?

— Słuchaj dalej. Jak tylko zniesione zostaną obecnie obowiązujące przepisy, chcą podnieść ceny, a także czynsze. Ale takie osiedla i sklepy fabryczne należą już do przeszłości. Cameronowie nie potrafią tego zrozumieć. Sami się proszą o kłopoty i będą je mieli. O tak, i to więcej, niż będą w stanie znieść.

— W tej sytuacji rozmowa z Norą może się okazać mądrym posunięciem... o ile już nie nabili już jej głowy swoimi poglądami

Kiedy o siódmej weszłam do restauracji, Nora już tam była. Siedziała przy stoliku w głębi sali; najwyraźniej poprosiła właśnie o takie miejsca.

Była naprawdę osobą, z której mogłam być dumna. Jej wyniosłość jeszcze podkreślała jej urodę.

— Dobry wieczór — powiedziała trochę cieplejszym tonem niż zwykle, może ze względu na starszego kelnera, który pomógł mi usiąść.

— Witaj, Deborah — odpowiedziałam.

Nie potrafiłam się złościć na tę dziewczynę.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, proponuję, byśmy od razu zamówiły coś do jedzenia — powiedziała.

— Świetnie. W dzisiejszych czasach nietrudno dokonać wyboru. Co jest dzisiaj w karcie dań, Walterze?

— Pieczony kurczak i ryba — powiedział Walter. — Nie mamy dziś wołowiny. Właściwie wołowiny nie ma już od dwóch tygodni i zapomniałem już, jak smakuje boczek. Brakuje również kawy, ale myślę, że panie o tym wiedzą.

— Poproszę kurczaka — powiedziała Nora. — I czerwone wino.

— Dla mnie też kurczak, ale białe wino. To co zawsze, Walterze.

— Pamiętam — powiedział z uśmiechem. — Zostało nam jeszcze kilka butelek. Mam polecenie, by nalewano go do kieliszków w kuchni, by nikt nie widział, że pochodzi z Niemiec. Po raz pierwszy dowiedziałem się, że prowadzimy wojnę z winem mozelskim.

Odszedł nieco chwiejnym krokiem, bo lata pracy w restauracji osłabiły mu władzę w nogach. Zwróciłam całą uwagę na mą córkę.

— Sądzę, że możemy przystąpić do omawiania spraw — powiedziałam.

— Istniejący między nami konflikt natury osobistej nie ma nic wspólnego z tym, co mamy omówić — oświadczyła oficjalnym tonem. — Czy wyraziłam się jasno?

— Całkowicie — powiedziałam.

— Cieszę się, że się tak dobrze nawzajem rozumiemy. Niezupełnie się zgadzam z tym, co zamierzają zrobić dziadek, Loran i moja matka, ale czuję się w obowiązku przystać na to, czego sobie życzą.

Skinęłam głową.

— To znaczy na obniżkę płac, wydłużenie czasu pracy, zmniejszenie zasiłków chorobowych, podwyżkę czynszów i cen w sklepach fabrycznych.

— Widzę, że oczekiwała pani tego.

— Oczekiwałam? Sprzeciwiam się temu od chwili, kiedy Cameronowie uświadomili sobie, że pewnego dnia wojna się skończy i postanowili wprowadzić te zmiany.

— Czy może mi pani powiedzieć, jak zareagują robotnicy? Znacznie lepiej zna pani ich poglądy niż ja.

Ciekawa byłam, czy przyznanie się do niewiedzy przyszło jej z trudem.

— Po pierwsze dojdzie do strajku, a także do przegłosowania uchwały o

wstąpieniu do związku. Nie możemy zapobiec uchwaleniu tej decyzji. Prawo jest po ich stronie.

— Jeśli ostrzeżemy strajkujących, że zostaną zwolnieni po upływie określonego czasu niestawiania się w pracy, możemy zgodnie z prawem zatrudnić nowych ludzi.

— To prawda. A po zakończeniu wojny przybędzie sporo bezrobotnych. Będzie można przebierać do woli.

— W takim razie czego się pani obawia?

— Bo nie obejdzie się bez kłopotów. Większych niż potrafisz sobie wyobrazić. Pamiętaj, że nasza rozmowa jest całkowicie oficjalna. Mówię ci tylko prawdę. Kiedy po raz pierwszy pojawiłam się w tym mieście, było tak zdominowane przez Cameronów, że stosunki w nim panujące przypominały niewolnictwo. Wydawali rozkazy i wszyscy ich słuchali — nieposłusznych czekał marny koniec. Mieszkańcy miasta nienawidzili ich i gardzili nimi. Pracowali dla nich, bo nie potrafili robić nic innego, poza tym tu były ich korzenie. Nie chcieli stąd wyjeżdżać. W takiej atmosferze wystarczy mała iskierka, by wywołać pożar nie do opanowania.

— Strajkujący oraz ci, którzy podburzają innych, mogą zostać zmuszeni do opuszczenia Cameron, i to całkowicie legalnymi metodami, prawda?

— Owszem, kiedyś tak było, możliwe, że tak jest nadal, ale z pewną różnicą. Cameronowie mieli w zwyczaju wysyłać furmankę oraz miejskiego urzędnika z nakazem eksmisji. Jedną ręką wręczał dokument, a drugą zajmował meble. Dziś by to nie przeszło. Można się odwoływać, domagać się rozprawy, na różne sposoby odwlec eksmisję.

— Co pani w takim razie proponuje? — spytała.

— Nie powiedzieli ci, Deborah?

— Powiedzieli. Ale chcę to usłyszeć bezpośrednio od pani.

— Bardzo dobrze. Proponuję nie wprowadzać żadnych zmian z wyjątkiem jednej: zezwolić na wykupywanie domów przez robotników. Budynki są stare, wyeksploatowane i niewiele warte, więc ich wykup może nastąpić w stosunkowo krótkim czasie. Dzięki temu fabryka nie będzie się musiała dłużej martwić remontami

domów i najprawdopodobniej na dłuższą metę zaoszczędzimy sporo pieniędzy.

— Żadnych zmian płac i czasu pracy?

— Żadnych. Nie ma takiej potrzeby, moja droga. Fabryka przynosi ogromne zyski. Stać nas na utrzymanie dotychczasowego poziomu płac i tylko na tym zyskamy. Po zakończeniu wojny będzie olbrzymi popyt na nasze wyroby wełniane. W wyniku ograniczeń, wprowadzonych na czas wojny, ludzie nie mieli możliwości nabycia porządnego ubrania. Będą sobie chcieli odbić te chude lata. Aby utrzymać wysoki poziom produkcji musimy zapewnić sobie współpracę robotników. Nie ma innej możliwości. Studiowałaś ekonomię. Na litość boską, jeśli nie zgadzasz się ze mną, to znaczy, że straciłaś tylko czas i niczego się nie nauczyłaś.

— Nie liczą się z moją opinią. A w szkole nauczono mnie również, bym słuchała tych, którzy mi dają zatrudnienie.

Przerwałyśmy rozmowę, bo do stolika podszedł Walter z półmiskami. Kiedy się oddalił, wzięłam kieliszek z białym winem i uniosłam go w milczącym toaście. Spojrzała na mnie, ale nie sięgnęła po swój. Podczas jedzenia rozmawiałyśmy jedynie o błahostkach, które nudziły nas obie. Wrócił Walter, by ponownie napełnić kieliszek Nory. Mój musiał zabrać do kuchni, żeby żaden superpatriota nie zobaczył, że w zajeździe podawane jest niemieckie wino.

Przy okazji Walter przekazał mi wiadomość.

— Pani Kinnery, telefon do pani. Aparat jest w holu.

— Przepraszam — powiedziałam do Deborah. — To prawdopodobnie mój mąż chce mnie poinformować, że musi wyjechać do chorego. Zaraz wrócę.

Skinęła chłodno głową. W takiej chwili trudno ją było lubić. Podeszłam do aparatu w holu, ale w słuchawce panowała cisza. Poruszyłam widełkami i poprosiłam telefonistkę.

— Na pewno ktoś do pani dzwonił, pani Kinnery — powiedziała w odpowiedzi na moje pytanie. — Przypuszczam, że się rozłączył.

— Zna pani głos doktora. Czy to on dzwonił?

— Myślę, że nie. Przepraszam, ale nie rozpoznałam głosu osoby, która

dzwoniła.

— Nie szkodzi. To nie pani wina — powiedziałam.

Wróciłam do stolika.

— Ten, kto dzwonił, rozłączył się. Widocznie nie było to nic ważnego.

— Czy często otrzymuje pani takie telefony, kiedy jest pani poza domem? — spytała.

Odsunęłam kieliszek z winem. Straciłam ochotę na jedzenie i picie.

— Deborah, to była wyjątkowo złośliwa uwaga. Wiem, co miałaś na myśli: że dzwonią do mnie potajemnie mężczyźni. Ponosi cię fantazja. Myślałam, że w końcu uwolniłaś się spod wpływu tych ludzi ze Wzgórza i że nie wszystko jeszcze stracone. Najwidoczniej byłam w błędzie.

Nic nie powiedziała, ale spoglądała na mnie cynicznie. Podałam się.

— Na czym przerwałyśmy naszą rozmowę? Chcę już skończyć tę dyskusję.

— Omawiałyśmy stanowisko mojego dziadka, a przede wszystkim Lorana. Oświadczam pani, że nie zgodzą się na pani propozycję.

— Swoich zamiarów również nie będą mogli wprowadzić w życie — powiedziałam. — Ponieważ jestem właścicielką dokładnie połowy udziałów. Mogą zastopować każdy mój wniosek, ale ja również mogę utracić każdą ich propozycję.

— Zyskała pani takie wpływy szantażując ich, prawda?

— Czy tak to nazywają? Uratowałam fabrykę, biorąc pożyczkę pod zastaw własnego majątku. Dysponując tymi pieniędzmi wynegocjowałam kolejne ćwierć miliona kredytu. Gdybym postanowiła ich przetrzymać, mogłabym ich zmusić do przekazania mi pięćdziesięciu jeden procent udziałów. W położeniu, w jakim się znajdowali, nie mogliby mi odmówić. Fabryce groziło bankructwo.

— Kwota, którą pożyczyła pani fabryce, jest w każdej chwili do odbioru — powiedziała.

— Dobrze. Przypilnuję, by jutro została przekazana do banku w Nowym Jorku. Dziękuję ci za tę informację.

Sięgnęła po rękawiczki.

— Uważam naszą rozmowę za zakończoną, pani Kinnery.

Odchyliłam się na oparcie i spojrzałam na nią, smutno kiwając głową.

— Jesteś zagadkową istotą, moja droga. Zgadzasz się z tym, co ci powiedziałam na temat fabryki. Wiem o tym. Jednocześnie nie chcesz mi uwierzyć w kwestiach, które są dla nas obu o wiele ważniejsze niż sprawy fabryki.

— Jedno dotyczy faktów, drugie wymaga dowodów. To dwie zupełnie różne sprawy, pani Kinnery. Nie można ich mieszać.

Wolno założyłam rękawiczki, obserwując chłodną, śliczną twarz swej córki.

— Rozumiem. Uważam, że nie straciłyśmy czasu na darmo, jeśli uda ci się przekonać pana Camerona i Lorana, by zgodzili się na to, o słuszności czego jestem głęboko przekonana, podobnie zresztą jak i ty.

— Nikt nie jest w stanie tego dokonać — oświadczyła. — Podejmują decyzję nie pytając nikogo o radę.

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową, jakbyśmy właśnie pozytywnie załatwiły jakąś ważną sprawę. Razem wyszłyśmy z restauracji. Nora nie zaproponowała, że mnie podwiezie. Zresztą i tak bym odmówiła. Wolałam wrócić do domu na piechotę, by mieć trochę czasu do przemyślenia tego wszystkiego.

Wciąż nie wiedziałam, czemu kazali się jej ze mną spotkać. Na pewno nie po to, żeby uzyskać informacje; wiedzieli wszystko, co jej powiedziałam, dokładnie zdawali sobie sprawę z mojego stosunku do ich planów, które dyktowała chciwość. Spotkałyśmy się sam na sam i gdyby jedna z nas się załamała, druga mogłaby pójść w jej ślady i cała tajemnica mogłaby się wydać. Wszystko to nie miało żadnego sensu. Szczególnie Loran nigdy nie robił niczego, co było ryzykowne lub zbędne. Czułam, że coś się za tym wszystkim kryje, ale nie wiedziałam co.

Ku memu zdumieniu Glen był już w domu. Siedział w saloniku w nocnej koszuli i szlafroku i czytał pismo medyczne. Na powitanie, jak zwykle, objął mnie i pocałował.

— Jak poszło? Siedziałem tu i nasłuchiwałem odgłosów awantury.

— Żadnej awantury. Żadnych kłopotów. Czy dzwoniłeś do mnie do zajazdu?

— Nie. Mam dziś wyjątkowo spokojny wieczór. Gdybyś zadzwoniła, pojechałbym po ciebie.

— Wolałam się przejść. Ktoś do mnie dzwonił, ale zanim podeszłam do telefonu połączenie przerwano.

— Dziwne. Cóż, prawdopodobnie jutro rano wszystko się wyjaśni. Czy miałaś jakieś kłopoty z Norą?

— Nie. Zachowywała się bardzo chłodno i oficjalnie. Kiedyś będzie świetna w kierowaniu fabryką. — Jej złośliwą uwagę na temat telefonu uważałam za niewartą wzmianki.

— Jeśli będzie nią zarządzała w taki sam sposób, jak robią to Cameronowie, wkrótce nie będzie miała czym kierować. Świat się zmienia. Dzięki samochodom ludziom jest się łatwiej przemieszczać — mogą jechać gdzie indziej w poszukiwaniu pracy, jeśli nie odpowiadają im dotychczasowe warunki. Tereny na zachodzie są jeszcze bardzo słabo zaludnione. Obszary te będą się szybko rozwijały. Mówię ci, Maeve, że ludzie przestaną całe życie spędzać w jednym miejscu.

— Według Cameronów nic się nie zmieniło — powiedziałam. — Gdyby mogli, nie dopuściliby do żadnych zmian. Co będzie, jeśli ilość mieszkańców miasta spadnie o połowę? Co wtedy zrobisz?

— No cóż, słyszałem, że mógłbym być całkiem niezłym dyrektorem nowego szpitala, który ma zostać otwarty w Bridgeton.

— Och, Glenie! — wykrzyknęłam uradowana. — Czemu od razu nie skorzystasz z tej propozycji?

— Z tej prostej przyczyny, że jak na razie szpital istnieje tylko na papierze i upłynie parę lat, zanim zostanie zbudowany. Będzie miał trzysta łóżek i pięć sal operacyjnych. Nie chciałbym opuszczać tego miasta po spędzeniu tu tylu lat, ale jeśli istnieje obawa, że miasto może przestać istnieć, muszę się zacząć rozglądać za czymś nowym.

— Uważam, że powinieneś już teraz przystąpić do kampanii. Daj mi tylko znak, a sama się do niej aktywnie włączę.

— Wstrzymajmy się jeszcze trochę.

— Jeśli mamy jeszcze dwa lata, możemy trochę poczekać. Och, jeszcze jedno — zanim pójdę spać, chcę ci dać dokumenty dotyczące pożyczki pod zastaw naszyjnika. Podpiszę również czek do miejscowego banku, gdzie zgromadzono całą kwotę pożyczki. Mogę ją podjąć w każdej chwili. Zajmę się tym, ale gdyby mi coś przeszkodziło, wyręczysz mnie?

— Oczywiście. A co mają znaczyć te słowa, że nie mogłabyś sama się tym zająć?

— Och, kochany Glenie, nie zwracaj na to uwagi. Tata nauczył mnie, by w kwestiach pieniędzy nie ryzykować. Dlatego sprawa ta będzie spoczywała w rękach nas obojga. W razie czego każde z nas będzie mogło dopełnić formalności.

— W takim razie — odezwał się beztrąsko — nie pozostaje nam nic innego, jak udać się spać.

W połowie schodów złapałam się poręczy.

— To nic — powiedziałam Glenowi, który się również zatrzymał. — Zakręciło mi się w głowie. Wypiłam trochę wina. Może przyczyniło się do tego podniecenie wywołane wieczornym spotkaniem z Norą. Idź. Nic mi nie jest.

Rzeczywiście czułam się dobrze i jak zwykle szybko usnęłam, ale w nocy obudziły mnie mdłości. Leżałam spokojnie, mając nadzieję, że wkrótce miną, ale stawały się coraz silniejsze. W końcu usiadłam i związany z tym wysiłek spowodował odruch wymiotny. Wskoczyłam z łóżka i pobiegłam do łazienki.

Glen, który zawsze miał lekki sen, natychmiast się obudził i podążył za mną. Stał obok, podczas gdy mnie męczyły torsje. Wcale nie poczułam się lepiej i nie chciałam się położyć. Glen posadził mnie w fotelu bujanym obok otwartego okna, by nocny wietrzyk ochłodził mnie nieco. Niestety, to też nie pomogło.

— Co jadłaś w zajeździe? — spytał.

Trzymał mnie delikatnie za rękę, próbując niepostrzeżenie zbadać mi puls. Łudził się nadzieją, że tego nie zauważę. Nie dałam po sobie poznać, że go rozszyfrowałam.

— Jak zwykle. Nora jadła to samo. W dzisiejszych czasach nieodmiennie proponują kurczaka lub rybę. Poprosiłyśmy o kurczaka. Nie zapominaj, że trwa wojna.

— Tak — powiedział — zdaje się, że coś o tym słyszałem. Rachunki za żywność mówią same za siebie. Czy boli cię brzuch?

— Trochę. Przypuszczam, że z powodu ataku torsji, który właśnie przeszedłem.

— Bardzo możliwe. Chcę, żebyś się położyła.

— Glenie, nic mi nie będzie. To tylko niedyspozycja żołądkowa.

— Masz nieusunięty wyrostek — przypomniał mi. — Czasami może być bardzo niebezpieczny, ale łatwo można to sprawdzić.

Posłuchałam go. Glen mnie zbadał i wykluczył zapalenie wyrostka. Nie odczuwałam w jego okolicy żadnych boleści.

— To dziwne — powiedział Glen. — Co jadłaś poza kurczakiem? Czy był faszerowany?

— Tak, a do tego podano pieczone ziemniaki. Piłyśmy również wino. Wiesz, że lubię białe, niemieckie wino. Nora piła czerwone... czyżbym mogła się tak pochorować przez wino?

— Cóż, niewykluczone... — W tonie jego głosu można było zauważyć powątpiewanie. Zmierzył mi temperaturę. Ponieważ nie powiedział mi, ile mam stopni, domyśliłam się, że muszę mieć wysoką gorączkę. Zresztą wkrótce stało mi się to obojętne. Glen pomógł mi położyć się do łóżka. Potem zapalił wszystkie lampy, poszedł po swoją torbę lekarską i przystąpił do bardziej gruntownego badania.

Miałam wrażenie, że moje wnętrzności płoną. W ustach i gardle czułam bolesną suchość. Miałam płytki, urywany oddech. Najmniejszy ruch wywoływał ból nie do zniesienia.

Kiedy się ocknęłam, Glen ocierał mi pot z twarzy i szyi. Miał bardzo zatroskaną minę. Udało mi się wyciągnąć dłoń i dotknąć jego twarzy, a także zmusić do czegoś na podobieństwo uśmiechu.

— Najdroższa — powiedział — chcę cię zabrać do szpitala. Nie wiem, co ci

jest, ale twój stan się nie poprawia. W szpitalu mogę przeprowadzić analizy, których nie mogę wykonać tutaj.

— Dobrze — szepnęłam.

— Sądysz, że przetrzymasz taką podróż? Potrwa dwadzieścia Pięć minut. Postaram się jechać jak najszybciej...

— Póki będziesz przy mnie — udało mi się powiedzieć — przetrzymam wszystko. Najdroższy, ratuj mnie. Jestem taka chora.

Nie mówiąc ani słowa więcej ubrał się pośpiesznie, owinał mnie kocami i zniósł do samochodu. Położył mnie na przednim siedzeniu i aby mieć pewność, że nie wypadnę, podniósł budę, jakby spodziewał się deszczu.

Wiedziałam, że jedzie bardzo szybko. Przed każdym zakrętem naciskał klakson i ani na chwilę nie zwalniał. Byłam tak opatulona kocami, że nie zsunęłam się z siedzenia.

W pewnej chwili ogarnął mnie histeryczny śmiech.

— Przynajmniej jednego.... mogę być teraz pewna... — powiedziałam.

— Słucham? — spytał. — Czego możesz być pewna?

— Tym razem.... na pewno nie jestem w ciąży.

Wtem wydałam okrzyk przerażenia.

— Zupełnie jak z Joelem — powiedziałam. — Najdroższy, zupełnie jak z Joelem. Jak z Joelem.... i jak poprzednio ze mną!

— Wytrwaj jeszcze trochę — powiedział. — Za parę minut będziemy na miejscu.

— Otruli mnie. Otruli Joela. Teraz znów mnie... — Jęknęłam ogarnięta nową grozą.

Jeśli zostałam otruta, mogła tego dokonać tylko jedna osoba. Nora, moja własna córka. Próbowałam powiedzieć o tym Glenowi, ale słowa uwięzły mi w gardle. Miałam język jak kołek. Po chwili zemdlałam.

Kiedy odzyskałam przytomność, tak mnie bolał brzuch, że domyśliłam się, iż miałam płukanie żołądka. Glen, ubrany w biały kitel, przyglądał mi się z niepokojem.

— Odzyskała przytomność — powiedział do kogoś. — Ukochana... wszystko w porządku. Nic ci już nie grozi.

— Tak — udało mi się powiedzieć. — Tak, mój najdroższy Glenie, mój kochany mężu...

Ujął moją dłoń w obie ręce.

— Wyzdrowiejesz. Jesteś teraz w szpitalu. Maeve, słyszysz mnie? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Skinęłam głową. Chciałam mu coś powiedzieć, ale nie mogłam sobie przypomnieć co, choć wiedziałam, że to coś bardzo ważnego.

— W zajeździe piłaś białe wino. Czy Nora piła takie samo wino? Tylko skiń głową lub pokręć przecząco. Nie pamiętam, co mi przedtem mówiłaś.

— Czerwone — powiedziałam. Właśnie to chciałam mu powiedzieć. — Czerwone... wino... nie białe... może z przekory... a może nie lubi białego wina...

— W porządku...

— To ona... mnie otruła. — Zacisnęłam powieki i poczułam łzy spływające mi z kącików oczu.

Glen delikatnie pogładził mnie po twarzy. Powstrzymałam łzy, by spojrzeć na niego. Miał posepną, bardzo poważną twarz, ale jednocześnie jakby się postarzał, a jego wciąż dość ciemne włosy zaczęły na moich oczach siwieć. Znów się odezwał, ale to nie był głos Glena. To był głos mojego ojca i to mój ojciec spoglądał na mnie.

— Wstawaj, ty śpiochu. Pora wstawać. Czy zamierzasz cały dzień przeleżeć w łóżku?

— Dobrze, tatusiu — powiedziałam. — Już wstaję. — Wskoczyłam z łóżka. Nagle zorientowałam się, że jestem w swojej sypialni w rodzinnym domu, w wiosce w hrabstwie Mayo, wśród dobrze mi znanych ludzi i miejsc.

Mój rudowłosy brat Jimmy przymierzał nową czapkę, z której był bardzo dumny. Chociaż miał na sobie wytarte spodnie i wełnianą kurtkę, uważał, że nowa czapka świetnie do nich pasuje.

— Przyszedł Cathal. Śmierdział oborą — powiedział Jimmy. — Pytał, kiedy się

z nim spotkasz.

— Cathal! — prychnęłam. — Kiedy się doprowadzi do porządku, niech przyjdzie i sam mnie o to spyta. Może powiem tak, a może powiem nie.

— Posłuchajcie tylko — zadrwił Jimmy. — Posłuchajcie tylko tej dziewczyny, która pobiegłaby za każdym chłopakiem, który zabrałby ją na spacer brzegiem morza.

— A czemu ty nie weźmiesz jej na spacer brzegiem morza? odezwał się ojciec.

— Ja? — spytał oburzony Jimmy. — Żeby mnie jeszcze ktoś zobaczył z własną siostrą? Ojciec, za kogo ty mnie uważasz? Za chłopaka, który nie może mieć swojej dziewczyny?

— Dobrze już, dobrze — powiedział ojciec. — Sam ją zabiorę nad morze, a po drodze wstąpimy do Babci.

Wzdrygnęłam się lekko, bo trochę się bałam Babci. Była bardzo stara. Niektórzy mówili, że ma osiemdziesiąt lat i że będzie żyła wiecznie, bo otrzymała dar przewidywania przyszłości i prawdopodobnie przyleciała tu na miotle czy też na tym, na czym latają czarownice. Ale lubiłam ją. Mówiła mi, co mnie czeka w przyszłości i czasem jej przepowiednie się sprawdzały. Ojciec twierdził, że zawsze się sprawdzają, ale byłam zbyt głupia, by mu wierzyć. Ale było to wielce prawdopodobne.

Dobrze jest być młodym. I nie mieć żadnych trosk. I być szczęśliwą, bo się wszystkich kocha i nie zna się nikogo, kto by żywił do człowieka nieprzychylnie uczucia. Mogłam mieć ciężkie i niezgrabne buty, jak wszystkie dzieci, dorośli zresztą też. Mogłam mieć szaroburą, zbyt długą sukienkę jak na dziewczynkę w moim wieku, ale okrywała mnie dobrze i nie potrafiła zepsuć mojej radości z faktu, że żyję.

Zapach tytoniu i koniczyny, porastających zielone wzgórza, były jedynymi perfumami, które znałam, ale całkowicie mi to wystarczało. Wydawało mi się, że jeśli kiedykolwiek w moim życiu mają nadejść jakieś zmiany, będę się im z całych sił opierała.

Ojciec wyrwał mnie z zadumy.

— Przygotuj wiktuały dla Babci. Na co czekasz, dziewczyno? No tak, jesteś młoda, a to wiek, kiedy się snuje marzenia.

— Nie snułam żadnych marzeń — odparłam nadąsana. — Po prostu... po prostu zamyśliłam się. Zaraz przygotuję coś dla Babci.

Włożyłam do koszyka ulubione smakołyki Babci i razem z ojcem udaliśmy się szybkim krokiem w stronę małej chatki, w której urodziła się Babcia i w której przysięgała, że umrze.

Bardzo rzadko wychodziła z domu. Lubiła siedzieć przed kominkiem nawet wtedy, kiedy było gorąco, bo twierdziła, że letnie upały i tak nie docierają do jej zziębniętych kości.

Babcia nie cierpiała na brak towarzystwa. Wszyscy mieszkańcy wioski byli jej przyjaciółmi i wszyscy się o nią troszczyli. Ale tylko ze mną dzieliła się swą wiedzą i tylko mnie przepowiadała przyszłość.

Zanim się jeszcze zaczęliśmy zbierać do drogi, wiedziała, że przyjdziemy. Jeszcze nie przekroczyliśmy progu jej chaty, a już wołała, byśmy weszli do środka. Ojciec już dawno się z tym pogodził i twierdził, że Babcia obdarzona jest jakimś wyjątkowym zmysłem, którego nie potrafił opisać.

— Chodźcie, usiądźcie przed kominkiem — powiedziała Babcia.

Ojciec bał się tych słów, często powtarzał, że mało się nie dusi od żaru, bijącego od ognia. Przypuszczam, że mnie to nie przeszkadzało, bo byłam młodsza. Więc kiedy ojciec oświadczał, że pójdzie odwiedzić mieszkających w pobliżu chorych, moim obowiązkiem było pozostać i zabawiać Babcię rozmową lub pozwalać się zabawiać staruszce.

Wypiła całą herbatę z imbryka. Uniosła pokrywkę i rzuciła kilka wilgotnych liści na spodeczek, następnie przechyliła imbryk, by wylać na fusy ostatnie krople naparu, żeby zaczęły pływać. Potem zamieszała je końcem łyżeczki i postawiła spodeczek na małym stoliku znajdującym się tuż obok. Pochyliła się, by przyjrzeć się liściom. Co kilka sekund spoglądała na mnie, a mnie przechodził dreszcz strachu. Przepowiedni babci nie wolno było lekceważyć, a czasami staruszka przepowiadała nieszczęścia.

— Nie umrzesz w wiosce, w której przyszedł na świat — powiedziała. — Co

gorzej, nie umrzesz nawet w Irlandii. Śmierć dosięgnie cię za morzami, moje dziecko. Daleko stąd. Nie nastąpi to jednak szybko. Jesteś silna. Twoje życie będzie szczęśliwe, choć nie wolne od trosk. Widzę, że czeka cię niebezpieczeństwo i rozczarowanie.

— Babciu, a czy wyjdę za mąż? — spytałam.

— Moje dziecko, jesteś jeszcze za młoda, by zaprzętać sobie głowę takimi rzeczami. Spotkasz ludzi, którzy będą cię nienawidzili i przysporzą ci wielu zmartwień. W swoim życiu zetkniesz się z ludźmi, którym nigdy nie będziesz ufała, oraz z takimi, którym powinnaś ufać, ale nie zrobisz tego, bo będziesz zaślepiona złością. Jednak twoi wrogowie nie zdobędą nad tobą przewagi. Pokonasz ich, choć twoje zwycięstwo zostanie okupione zgryzotami. Wokół ciebie będzie się panoszyła śmierć.

Zaczęłam się wprost trząść ze strachu. Babcia, przejęta własnymi słowami, ukryła twarz w dłoniach i przez kilka chwil kiwała się na boki, zawodząc cicho.

W końcu wstałam i wycofałam się z izby. Babcia nie zatrzymała mnie ani nie oderwała rąk od twarzy. Byłam szczęśliwa, że znów widzę słońce.

Opowiedziałam ojcu, co mi przepowiedziała staruszka, ale on odparł jedynie, bym się tym nie przejmowała. Wziął mnie za rękę i pobiegliśmy ścieżką prowadzącą na plażę. Kiedy dotarliśmy nad morze, zaczęliśmy brodzić w zimnej wodzie.

Potem skierowaliśmy się na zielone wzgórza wznoszące się tuż nad morzem i położyliśmy się na trawie. Zamknęliśmy oczy i odpoczywaliśmy. Musiałam się zdrzemnąć, bo kiedy uniosłam powieki, ojca nie było przy mnie, a wokół jakby wszystko uległo zmianie.

Od strony morza dobiegał potężny huk. Usiadłam i zobaczyłam spienioną wodę. Wichry wyły jak oszalały i choć nad falami utworzyła się mgiełka, ujrzałam malutką łódeczkę podrzucaną podmuchami wiatru.

Znów się wszystko zmieniło. Morze się uspokoiło, leżałam obok jakiegoś mężczyzny. Odwróciłam głowę i uśmiechnęłam się do Joela. Do mojego kochanego Joela, leżącego na wznak i pogrążonego w głębokim śnie. Pochyliłam się nad nim i

pocałowałam lekko, żeby go nie obudzić. Potem znów zamknęłam oczy. Wydawało mi się, że tylko na chwilę.

Kiedy ponownie uniosłam powieki, ktoś stał nade mną i przyglądał mi się. Wszystko było zamazane, niewyraźne, jakby widziane przez mgłę. Chciałam coś powiedzieć, ale nie mogłam otworzyć ust. Natężyłam wszystkie siły, by przedrzeć się przez mgłę i kiedy mi się to w końcu udało, ujrzałam Glena spoglądającego na mnie z niepokojem.

— Otworzyła oczy — powiedział do kogoś.

Dotknął mojego czoła, a potem pogładził mnie po policzku tak czule, że zachciało mi się płakać.

— Zdaje się, że gorączka trochę opadła — zwrócił się Glen do kogoś.

Nie widziałam niczego poza twarzą Glena. Poczułam, że czyjeś silne ramię wsunęło się pod moje plecy. Ktoś mnie delikatnie uniósł. Do ust wsunięto mi ostrożnie szklaną rurkę.

— Mamo, proszę, napij się trochę wody — odezwał się czyjś błagalny głos. — Proszę, mamo...

Dostrzegłam drugą twarz. Była to Patty i kiedy ponownie poprosiła, bym się napiła, usłuchałam. Chłodny płyn sprawił ulgę mojemu obolałemu gardłu. Usłyszałam czyjś radosny okrzyk, widocznie wywołany faktem, że mogę przełykać. Znów położono mnie na poduszce. Wciąż byłam oszołomiona i niezdolna do wydobywania z siebie głosu. Odniosłam wrażenie, że wyczerpałam wszystkie swoje siły. Zamknęłam oczy i zapadłam w sen.

Kiedy się znów obudziłam, zobaczyłam, że leżę w jakimś pokoju. Od razu poznałam, że to sala szpitalna; było tu tak sterylnie czysto, a wszystkie sprzęty pomalowano na biało. W pokoju nie było nikogo. Nie wiedziałam, czemu się tu znalazłam. Powróciły wspomnienia o moim ojcu, Babci i biednym Joelu. Ale przecież Joel nie żył, podobnie jak mój ojciec i Babcia... Zaczęłam cicho płakać.

Poczułam ruch powietrza i usłyszałam skrzyp otwieranych drzwi. Potem ktoś szybkim krokiem podszedł do mojego łóżka. Patty spojrzała na mnie.

— Mamusiu... obudziłaś się. — Fakt ten zdawał się ją ogromnie ucieszyć. — Och, mamusiu... muszę iść po tatę...

Po chwili pojawił się Glen. Oboje stanęli przy moim łóżku. Uśmiechnęłam się i uniosłam drżącą dłoń, którą Glen ujął czule, a po chwili położył wzdłuż mojego ciała.

— Czy rozumiesz mnie, Maeve? Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Oczywiście — powiedziała oburzona.

Czy to mój głos? Wydawało mi się, że dobiega z oddali i był tak słaby, że ledwo go słyszałam.

Uśmiechnął się, uradowany moim buńczucznym tonem.

— To cudownie. Byłaś bardzo chora. Upłynie jeszcze nieco czasu, nim odzyskasz dość sił, by przynajmniej usiąść. Proszę, teraz nawet nie próbuj tego robić. I nie pora jeszcze na zadawanie pytań. Skoncentruj się przede wszystkim na odzyskiwaniu sił. To teraz najważniejsze.

— Kiedy... przyjechała... Patty? — spytałam ignorując jego prośbę, by nie zadawać żadnych pytań.

— Jest tu od dwóch tygodni.

— Bardzo się cieszę — powiedziała, po czym spróbowałam usiąść, ale okazało się to niewykonalne. — Od dwóch tygodni?

— Jest koniec sierpnia, najdroższa — powiedział Glen. — Przez wiele dni byłaś nieprzytomna.

— Nic nie rozumiem. Nic nie pamiętam.

— Z czasem wszystko sobie przypomnisz i zrozumiesz. Ale póki nie poczujesz się lepiej, nie możemy o tym rozmawiać.

— Mamusiu, proszę, postaraj się jak najszybciej wyzdrowieć — powiedziała Patty.

Nie próbowałam walczyć z przemożną sennością. Po prostu zamknęłam oczy i po chwili już spałam. Pomyślałam sobie, że może znów wrócę do krainy zamieszkaanej przez ojca, Joela, Jimmy'ego i Babcie...

Kiedy się obudziłam, powróciła mi pamięć ostatnich wydarzeń. Nie wątpiłam,

że Glen i Patty są gdzieś w pobliżu, ale nie zawołałam ich. Potrzebowałam czasu, by wszystko przemyśleć.

Uświadomiłam sobie, że musiałam być na granicy życia i śmierci. Tym razem Cameronom prawie się udało. Kiedy zaczęłam formułować pierwsze pytania, weszli Glen i Patty, by sprawdzić, jak się czuję. Byli tak szczęśliwi, że mi lepiej, iż o nic nie pytałam, rozkoszowałam się tylko ich radością i czułością, jaką mi okazywali.

— Muszę ci za coś podziękować — powiedziała Patty. — Jesteś moją pierwszą pacjentką. Och, nie jestem jeszcze pielęgniarką, ale przez ostatnie dwa tygodnie nauczyłam się więcej niż przez rok w szkole. Poza tym tata też mi udzielił kilku lekcji.

— Widocznie robiłaś wszystko jak należy — powiedziałam — bo dziś czuję się znacznie lepiej. Glenie...

— Proszę, byś się do mnie zwracała per „panie doktorze” — powiedział. — W przeciwnym razie zaczniesz mi zadawać za dużo pytań. Jako lekarz jestem zobowiązany odpowiadać tylko na pytania dotyczące twojego stanu zdrowia. Który jest dobry i od tej chwili będzie ulegał szybkiej poprawie.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że musimy porozmawiać?

— Oczywiście.

— Kiedy? Panie doktorze, kiedy będę mogła porozmawiać z mężem?

— Myślę, że za jakieś trzy, cztery dni. Patty, przynieś mamie coś do jedzenia. W kuchni będą wiedzieli co. Pora, by twoja matka znów zaczęła jeść, a nie była karmiona przez rurkę. No, biegnij.

— Jak się spisała, Glenie? — spytałam.

— Jako pielęgniarka? Nie ma jeszcze wprawy, ale zdradza zdolności i predyspozycje do tej pracy. Kiedy się trochę więcej nauczy i zdobędzie nieco praktyki, będzie niezrównana.

— A jak zareagowała na to wszystko jako moja córka, a nie pielęgniarka?

— Była oburzona, podobnie jak ja. Słuchaj, nie będziemy teraz o tym mówili.

— Zrobiła to Nora? — spytałam.

— A któż by inny? No, na dzisiaj wystarczy. Później Patty opowie ci, co się

działo przez cały ten czas, kiedy byłaś nieprzytomna. Nadszedł też ciekawy list od twojego brata.

Patty wróciła z pyszną leguminą i kawałkiem drobno siekanego befsztyka. Ciekawa byłam, gdzie go zdobyli. Przyniosła mi też mleko. Jak na mój stan był to bardzo obfity posiłek, ale wszystko zjadłam.

Patty wprost paliła się, by mi opowiedzieć o ostatnich wydarzeniach.

— Chodzą słuchy, że kajzer poprosił o rozmowę z jakimś wyższym urzędnikiem z Waszyngtonu. Najprawdopodobniej chce prosić o pokój. Gazety piszą, że we Francji jest ponad milion naszych żołnierzy. Spisują się bardzo dzielnie. Niemcy są wypierani. Niektórzy mówią, że pod koniec przyszłego miesiąca będzie po wszystkim.

— Miejmy nadzieję, że tak się stanie. A co w fabryce?

— Nic się nie zmieniło. Na razie — dodała znacząco.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytałam.

— Och, to dla mnie zbyt skomplikowane. Tata ci lepiej wyjaśni.

— Widziałaś się z Deborah?

— Nie — odparła krótko. — Przyszedł list od Jimmy'ego. Mam nadzieję, że go kiedyś poznam osobiście. Sprawia wrażenie człowieka bardzo wesołego. Czy rzeczywiście jest taki, mamusiu?

Wyciągnęła list napisany na papierze z pieczętką armii brytyjskiej, i przeczytała mi go na głos.

Kochana Siostró!

Zacznę od dobrej wiadomości. Zostałem ranny. Zbombardowali teren szpitala i jakiś szrapnel trafił mnie w miejsce, którego nie mogę wymienić w liście do siostry. To nic poważnego. A teraz zła wiadomość. Miałem nadzieję, że zostanę zdemobilizowany i będę mógł wrócić do domu, by wydusić prawdę z tego łajdaka, Cathala Dolana. Niestety, sprawa ta musi jeszcze trochę poczekać. Ale kiedy tylko dostanę urlop, niezwłocznie udam się do naszej wioski. Sądząc po aktualnej sytuacji wojna nie potrwa już długo. Sprawiliśmy Szwabom porządne lanie. Nie przejmuj się moją raną. Nie przeszkodzi mi w wykonywaniu zawodu. Informuję cię, że moje rude włosy

osiwiał, z czym trudno mi się pogodzić, choć oczywiście dzięki temu znacznie wyprzystojniałem, ale niestety wyglądam o wiele starzej, niech to wszyscy diabli. Mam nadzieję, że u was wszystko w porządku i że wkrótce znów się zobaczymy. Jeśli twoje problemy nie rozwiążą się do czasu naszego spotkania, wówczas wezmę się za nie natychmiast.

— To najdłuższy list, jaki Jimmy kiedykolwiek napisał — powiedziałam.

— Mamusiu, o jakich problemach wspomina?

— Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę do domu. Mam ci tyłd do powiedzenia. Wiem, że jesteś mądrą dziewczyną i wszystko zrozumiesz.

— Zawsze wiedziałam, że coś przede mną ukrywacie. Nikt o niczym nie wspominał, ale czasami, kiedy wchodziłam do pokoju, przerywaliście z tatą rozmowę w pół słowa. I wiem, że w całą tę sprawę zamieszani są Cameronowie. Och, mamo, tak nimi gardzę. Wszystkimi, a szczególnie Deborah.

— Czyli że wiesz, co zrobiła?

— Tak, tata mi powiedział. Oświadczył, że skoro jestem na tyle duża, by być twoją pielęgniarką, jestem wystarczająco dorosła, by wiedzieć, co cię spotkało. To okropne. Jak ona mogła coś takiego zrobić?

— To jeden wielki, skomplikowany problem. Bądź cierpliwa, moja droga. Wolałabym ci o tym nigdy nie mówić, ale pora, byś poznała prawdę. Musisz to zrozumieć, bo w naszym życiu zajdą pewne zmiany. Po tym, co się stało, są wręcz nieuniknione.

— Nie wspomnę już o tym — obiecała. — Ty też nie powinnaś tyle mówić. Pozwól, że cię trochę uniosę, by poprawić ci poduszkę... a teraz prześpij się trochę.

Następne cztery dni niemal cały czas spałam. Potem szybko zaczęłam wracać do zdrowia. Kiedy po raz pierwszy przejrzałam się w lusterku, byłam przerażona, ale Glen zapewnił mnie, że moje zapadnięte policzki wkrótce się wypełnią, a pod wpływem słońca trupioblada cera znów odzyska swój normalny kolor.

Nie bałam się dnia powrotu do domu, ale również nie było mi spieszno tam się znaleźć. Czułam się tak, jakbym opuściła osiedle fabryczne na kilka miesięcy, choć w

rzeczywistości upłynęły zaledwie cztery tygodnie. Jak ponuro wyglądało miasto! Zupełnie jakbym widziała je po raz pierwszy — ujrzałam je takim, jakie było naprawdę.

W domu było mi bardzo dobrze. Patty starała się utrzymywać w nim taki sam porządek, jak ja to robiłam, kiedy byłam zdrowa. Doszłam do wniosku, że moja córka wyrosła na dojrzałą, pojętą i zaradną młodą kobietę.

Tego dnia, kiedy wróciłam do domu, po zjedzeniu wspólnej kolacji z Patty i Glenem przeszliśmy do saloniku. W milczeniu piliśmy kawę, każde pogrążone we własnych myślach.

Patty wstała i odstawiła filiżankę na tacę.

— Przyniosę świeżej kawy — powiedziała i wyszła do kuchni.

Może wyczuła, że chcę zamienić z Glenem kilka słów.

— Uważasz, że powinniśmy jej teraz wszystko powiedzieć? — spytał Glen.

— Tak — odrzekłam. — Nie jest już dzieckiem i musi się wszystkiego dowiedzieć o Norze, by mieć się na baczności.

— Jestem tego samego zdania. Oczywiście Patty zdaje sobie sprawę z tego, że coś się dzieje, coś, co dotyczy nie tylko nas, ale również jej. Niewątpliwie zostałaś otruta przez Norę. Patty sama się tego domyśliła.

Wróciła Patty i zanim usiadła, objęła mnie czule.

— Mamo, nie jestem już małą dziewczynką. Myślę, że o tym wiesz.

— Tak, oboje z ojcem o tym wiemy. Teraz opowiem ci wszystko, co pamiętam z owego wieczoru, kiedy się rozchorowałam. Nora poprosiła o spotkanie ze mną...

— Jaka Nora? — spytała Patty.

— Przepraszam, moja droga, zapomniałam. Nora to prawdziwe imię Deborah. Później ci to wyjaśnię. Ale kiedy mówię Nora, mam na myśli Deborah. A więc sprawa nie była aż tak istotna, byśmy musiały się umawiać na kolację. Pamiętam, że zastanawiałam się, czemu tak nalegała na spotkanie. Glenie, czy udało ci się dociec, czy to, co spowodowało moją chorobę, zostało dodane do wina?

— Tak, jesteśmy absolutnie przekonani, że było w winie.

— Nora specjalnie poprosiła o czerwone wino, kiedy ja zamówiłam białe, żeby nie doszło do pomyłki. Glenie, coś mi przyszło do głowy. Może Walter, ten stary kelner, coś widział...

— Walter miał zwyczaj dopijania wina z kieliszków, w których coś pozostało — powiedział Glen. — Wypił twoje wino i następnego dnia umarł.

— Och, mój Boże! — wykrzyknęłam. — Biedaczysko.

— Jesteś młodsza i twój organizm pokonał truciznę. Przypilnowałam, by przeprowadzono sekcję zwłok Waltera, ale nie udało nam się wyodrębnić żadnej trucizny, która mogłaby spowodować śmierć. Zbadaliśmy zawartość twojego żołądka, przeprowadziliśmy analizy krwi i moczu — z takim samym wynikiem. Nie natrafiliśmy na nic.

— To ten sam środek, który spowodował śmierć Joela — powiedziałam. — Objawy były identyczne. Joel również nie należał do zbyt silnych i odpornych. Jego organizm walczył jakiś czas, ale w końcu uległ.

— To jakiś wolno działający środek. Więcej mógłbym o nim powiedzieć, gdybym wiedział, co to takiego. Niestety, nie posiadamy żadnego dowodu na to, że ty i Walter zostaliście rozmyślnie otruci. Według powszechnie panującej opinii — zarówno policji, jak i lekarzowi zupełnie wystarcza takie tłumaczenie — przyczyną zatrucia była nieświeża potrawa. Zjadłaś coś nieświeżego, choć potrawa miała normalny smak i zapach. Ponieważ ty i Walter pochorowaliście się jednocześnie, przyjęto, że oboje zjedliście to samo. To i tak cud, że stosunkowo mało ludzi doznaje zatrucia pokarmowego w tych czasach braków na rynku oraz opóźnionych dostaw łatwo psujących się produktów.

— Powiedz mi, jak to się stało, że Deborah ma dwa imiona — poprosiła Patty.

— Helen nie jest matką Nory — powiedziałam. — Nora jest córką Joela Camerona, najmłodszego syna Gabe'a Camerona, i jego żony. Ja jestem matką Nory. Poślubiłam Joela w Irlandii, tam też umarł otruty.

— Podejrzewamy, że został zamordowany przez jednego z Cameronów — wyjaśnił Glen. — Znów brak na to jakiegokolwiek dowodu: morderstwo doskonałe.

Joel zostawił twojej matce jedną trzecią udziałów fabryki. Cameronom było to nie na rękę. Kiedy przyjechała tutaj, by upomnieć się o spadek, okazało się, że jest w ciąży. Cameronowie, choć na początku zabronili jej pokazywać się w domu na Wzgórzu, później udzielili jej schronienia u siebie.

Kiedy się dowiedzieli, że spodziewa się dziecka Joela, zaakceptowali twoją matkę i do czasu narodzin Nory traktowali ją bardzo dobrze. Potem odebrali jej córkę i zmusili do opuszczenia domu. Już wtedy byliśmy z twoją matką głęboko w sobie zakochani i wkrótce się pobraliśmy.

Patty słuchała wyjaśnień nie przerywając nam.

— Czyli że Nora jest moją siostrą? — spytała.

— Twoją przyrodnią siostrą — poprawiłam ją.

— I próbowała ciebie zabić? Bo Cameronowie wierzyli, że po twojej śmierci udziały, należące do ciebie, odziedziczy ona?

— Może tak właśnie sobie myśleli. W rzeczywistości wszystko odziedziczyłby twój ojciec. Już dawno temu sporządziłam testament.

— Lubiłam ją — powiedziała Patty. — Mamusiu, tak bardzo ją lubiłam.

Nagle skuliła się i ukryła twarz w dłoniach.

— Dlaczego to wszystko zepsuła? Co sprawiło, że uczyniła coś tak wstrętnego, ohydneho? Jesteś jej matką. Czy nie wie o tym?

— Wie — powiedział Glen. — Cameronowie żyją w przeświadczeniu, że o niczym nie wie, ale mylą się.

— Ale... — Patty uniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

— Czemu nie odebrałaś im Nory? Czemu pozwoliłaś im ją zatrzymać?

— Muszę ci teraz coś powiedzieć. Modlę się, byś mnie zrozumiała, bo dłużej nie mogę już tego przed tobą ukrywać.

— Mamo, obojętne mi, co usłyszę. Kocham cię. Nic tego nie zmieni. Nic pod słońcem. Nie musisz mi nic mówić.

— Moja droga — powiedziałam — Cameronowie twierdzą, że pewien Irlandczyk oświadczył pod przysięgą, że z nim sypiałam i że poślubiłam Joela tylko

dla jego pieniędzy. Ten człowiek posunął się do krzywoprzysięstwa, ponieważ znienawidził mnie od chwili, kiedy nie zgodziłam się za niego wyjść, tylko poślubiłam Joela. Zawsze był głupi i prawdopodobnie do dziś nie zmądrzał.

— Czy to o tym pisał w liście, który ci przeczytałam, wuj Jimmy?

— Tak. Jim zamierza spotkać się z nim i zmusić go do odwołania kłamstwa. Jim jest teraz sławnym chirurgiem i na pewno ma duże wpływy. Chce również spróbować wyjaśnić, co było prawdziwą przyczyną śmierci Joela. Upłynęło już wiele lat i straciłam nadzieję, że czeokolwiek się dowie, ale mimo wszystko chce spróbować.

— Myślałaś, że jak się o tym dowiem, przestanę cię kochać i szanować? — spytała Patty.

— Miałam nadzieję, że nie. Jest jeszcze coś. Na pewnym balu, wydanym dawno temu, znany rozpustnik próbował... — spojrzałam niepewnie na Patty — ... mnie wykorzystać. Przysiągł, że... że go do tego sama sprowokowałam. Cameronowie oświadczyli, że jestem zwykłą ulicznicą.

— Mamo, gdyby ktokolwiek mi coś takiego o tobie powiedział, roześmiałabym mu się w twarz. Przecież to takie absurdalne i...

— W tamtych czasach... — zaczął Glen.

— Wydrapałabym oczy każdemu, kto ośmieliłby się głosić te łgarstwa.

— Dziękuję ci, Patty — powiedziałam. — Nie masz pojęcia, jaki kamień spadł mi z serca, kiedy ci wszystko powiedziałam.

— Twoja matka zgodziła się na ich warunki — wyjaśnił Glen — bo chciała chronić swoją córkę, choć to, co mogli wyjawic Norze, było kłamstwem. Nie można też wykluczyć, że w razie wszczęcia postępowania w sądzie twoja matka przegrałaby, bo Cameronowie są ludźmi bardzo wpływowymi. Potem twoja matka wyszła za mnie, urodziłaś się ty i tym bardziej należało utrzymać wszystko w tajemnicy. Czekamy teraz na wiadomość od Jimmy'ego. Jeśli nie udało mu się nic dowiedzieć, razem z twoją matką pojedziemy do Irlandii i zrobimy wszystko co w naszej mocy, by ów człowiek przyznał się do popełnienia krzywoprzysięstwa.

— Obawiam się, że nie była to pierwsza próba pozbawienia mnie życia. Jestem

pewna, że już wcześniej chcieli mnie otruć — powiedziałam. — Jeszcze w Irlandii ktoś strzelał do mnie i do Joela. Potem, kiedy urodziła się Nora, podczas przechadzki po lesie znalazłam się nagle w środku pożaru. Ogień tak szybko się rozprzestrzenił, że jestem przekonana, iż ktoś specjalnie podpalił las. Uratował mnie wtedy Loran, ale czasem myślę sobie, czy nie zrobił tego, bo i tak udałoby mi się ujść z życiem. Dzięki swemu czynowi Loran został obwołany bohaterem.

— Nie uwierzę, by ktoś z Cameronów zdolny był do bohaterskiego czynu — oświadczyła Patty.

— Już dawno chciałam ci o wszystkim powiedzieć, Patty. Czasami wydawało mi się, że nie utrzymam tajemnicy już chwili dłużej, bo śmiertelnie się bałam, że ktoś inny... ktoś z domu na Wzgórzu... powie ci wszystko i że cię utracę.

— Nigdy nie powinnaś była się o to lękać — odrzekła Patty.

— Ale co teraz zrobisz? Nie udało im się ciebie zabić. Mogą spróbować znowu.

— Najdroższa, pozostało jeszcze do omówienia wiele spraw — powiedział do mnie Glen. — Po pierwsze, jedną z ostatnich rzeczy, którą uczyniłaś przed swoją chorobą, było przekazanie mi podpisanego czeku na zgromadzone w banku środki, przeznaczone na spłatę zaciągniętej przez ciebie pożyczki. Czy sobie to przypominasz?

— Naszyjnik! — wykrzyknęłam. — Glenie... czy...?

— Kiedy tylko doszedłem do wniosku, że nie grozi ci już żadne niebezpieczeństwo, udałem się do banku po odpowiednie dokumenty, potem pojechałem do Nowego Jorku i odebrałem zastawiony naszyjnik. Znajduje się znów w sejfie, w tym samym banku, który udzielił ci pożyczki.

— Dzięki Bogu — powiedziałam. — Już tak dawno go nie widziałam, że zupełnie mi to wyleciało z pamięci.

— Naszyjnik? — spytała Patty.

— Tak, zabytkowy i niezwykajny. Liczy sobie dwa tysiące lat...

— Maeve — przerwał mi Glen — czy nie będzie najlepiej, jak powiesz jej od razu o wszystkim? O zwierciadle i...

— Tak, już najwyższa pora. Patty, czeka na ciebie jeszcze jedna niespodzianka. Glenie, czy pozwolisz, że cię na chwilę zostawimy samego?

Skinął głową.

— Rozumiem, to sprawa między matką i córką. Tak powinno być. I chcę, żeby tak było. Wróćcie tu potem. Nie wszystko sobie jeszcze powiedzieliśmy.

— Zostawimy to sobie na kiedy indziej — stwierdziłam.

— Najpierw czeka nas przyjemność dostępna jedynie potomkiniom królowej Maeve. Chodź, Patty.

Rozdział szesnasty

Patty przyglądała się staremu zwierciadłu. Nie wiedziałam, czy uwierzyła moim słowom.

— Mamo, odczuwam przed nim lęk.

— Zupełnie niepotrzebnie, moja droga. To, co ci pokaże, tak czy inaczej się wydarzy. Dzięki niemu będziesz na to przygotowana.

— O co powinnam je prosić?

— Może jesteś jeszcze za młoda, by zwrócić się do niego z prośbą o ukazanie ci mężczyzny, którego pokochasz. Sama będziesz wiedziała, kiedy o to spytać.

— Czy powinnam je zapytać, co mnie czeka w przyszłości?

— Myślę, że tak.

— Boję się go dotknąć. — Patty wzięła zwierciadło ode mnie i tak jak ja to zawsze czyniłam, przycisnęła je mocno do piersi i zamknęła oczy.

— Twoje zwierciadło stało się teraz moim — powiedziała cicho. — Nie mogę go prosić, by ukazywało mi tylko dobre i szczęśliwe chwile w moim życiu, ale modłę się, bym doznała mniej złego i cierpień, niż spotkało moją matkę. O czym powinnam teraz wiedzieć?

Uniosła zwierciadło na wysokość oczu i nachyliła je pod odpowiednim kątem. Nagle wypuściła je z rąk i zbladła jak ściana. Wstała, rzuciła się na moje łóżko i

wybuchnęła płaczem.

Podniosłam zwierciadło i położyłam je na komodzie, a następnie usiadłam na brzegu łóżka i podniosłam Patty, by spojrzeć w jej, zalaną łzami twarz.

— Co zobaczyłeś? — spytałam. — Powiedz mi! Może to wcale nie jest takie złe, jak ci się wydaje.

— Złe? Mamo, to było coś okropnego. Nie chcę tego zwierciadła. Nigdy więcej go nie tknę. Ukazało mi jedynie trupy... stosy trupów. Tysiące martwych i konających...

— Przecież chcesz zostać pielęgniarką — przypomniałam jej.

— To nie był obraz umierających w szpitalu. Nie wiem, co to było. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby coś takiego mogło się kiedykolwiek naprawdę wydarzyć. To zwierciadło oszukuje. Na pewno oszukuje. To, co ujrzałam, nie może się zdarzyć w rzeczywistości.

— Tysiące martwych i konających... To coś znaczy. Czy widziałaś wśród nich jakieś znajome twarze?

— Nie widziałam twarzy, tylko ciała. Mnóstwo ciał... To straszne. Nie wyobrażasz sobie nawet jak straszne...

— Mylisz się, Patty. Potrafię sobie to wyobrazić. Widziałam w tym zwierciadle okropieństwa i rzeczy cudowne. Zapamiętaj jedno, wszystkie przepowiednie zwierciadła sprawdzają się. Zawsze się sprawdzają.

— Ale takie mnóstwo...

— Może to ofiary wojny?

— Nie, mamo. To było... to było coś gorszego niż wojna, jeśli w ogóle coś takiego jest możliwe.

— Zejdziemy na dół i zapytamy ojca, co o tym sądzi. Musi być jakieś wytłumaczenie. Zaręczam ci.

Owinęłam zwierciadło i schowałam je. Kusilo mnie, by samej w nie spojrzeć, ale widząc reakcję Patty doszłam do wniosku, że byłoby to nierozsądne z mojej strony. Dla dobra jej... i mojego.

Glen był nie mniej zaintrygowany niż my.

— Gdybym nie znał wyjątkowych właściwości zwierciadła, powiedziałbym, żebyście sobie nie zaprzętały głowy tym, co ukazało. Ale nie mogę tak powiedzieć. Przepowiednia sprawdzi się, choć nie wiemy, co oznacza ani kiedy się spełni.

— Tatusiu — powiedziała wolno Patty — odniosłam wrażenie, że to zwierciadło pokazało setki chorych. Nie byli to ludzie, którzy odnieśli rany podczas bitew...

— Co innego mi przyszło do głowy — powiedział Glen. — Miałem ci o tym powiedzieć wcześniej, Maeve. Informację tę otrzymałem w zaufaniu. Gdyby się sprawdziła, sprawa mogłaby się zakończyć wieloma ofiarami, ale ludzie ci umieraliby nie w wyniku choroby, tak jak ukazało zwierciadło, a na skutek odniesionych obrażeń.

— Tatusiu, nie widziałam w zwierciadle rannych — upierała się Patty.

— Jak długo trwał obraz? — spytałam ją. — Czasami jedynie miga przed oczyma.

— Wystarczająco długo, bym była pewna, co widzę.

— Glenie — powiedziałam — dokończ to, co zacząłeś mówić.

— Gabe i Loran okazali się niezbyt dyskretni, jeśli chodzi o plany, które chcą zrealizować po zakończeniu wojny. Niektóre z ich wyliczeń i szacunków wpadły w ręce urzędników fabryki, którzy domyślili się ich znaczenia. Cameronowie chcą wprowadzić wszystko, czemu się sprzeciwiałś.

— Po ich ostatniej próbie pozbycia się mnie domyślałam się czegoś takiego. Czy znasz jakieś szczegóły?

— Owszem, włosy staną ci dęba ze zgrozy. Po upływie pewnego czasu Loran zamierza przystąpić do wprowadzania zmian. Płace zostaną drastycznie obniżone, godziny pracy przedłużone, robotnicy będą musieli pracować dwa razy wydajniej niż obecnie.

— Wtedy w ciągu kilku dni w fabryce powstanie związek zawodowy.

— Liczą na liberalizację przepisów wprowadzonych na czas wojny. Mają nadzieję, że wraz z zakończeniem wojny prawa te przestaną obowiązywać. Wiedzą, że

robotnicy ogłoszą strajk. Ale w tym czasie zostanie już zdemobilizowanych sporo żołnierzy i powstanie olbrzymia armia bezrobotnych — ludzi, którzy z pocałowaniem ręki przyjmą każdą pracę, jaka zapewni im i ich rodzinom środki do życia. A ci byli żołnierze to ludzie twardzi, zaprawieni do walki. Jeśli nasi robotnicy spróbują ich powstrzymać — może dojść do tego, co widziała Patty w zwierciadle.

— Cameronowie nigdy mnie nie usłuchają — powiedziałam. — Choć mam połowę udziałów, nie mogę niczemu zapobiec. Przeprowadzą wszystko w taki sposób, że nie będę mogła ich powstrzymać.

— Wiem. Ale to, co postanowili robotnicy, jest jeszcze gorsze. Dowiedzieli się o łamistrajkach i o tym, jacy ludzie zostaną sprowadzeni do fabryki. Wiedzą, że nie stanowią dla nich godnego przeciwnika, więc wymyślili coś innego. Zamierzają spalić zakłady. Ale to jeszcze nie wszystko. Przedtem zamierzają wywieźć potajemnie większość swego dobytku z Cameron. Kiedy fabryka będzie już płonąła, zamierzają podpalić wszystkie domy należące do zakładów.

— Wielki Boże! — wykrzyknęłam. — Glenie, czy nie możesz z nimi porozmawiać?

— Nikomu nie uda się ich odwieść od tego zamiaru. Zbyt długo byli okłamywani, oszukiwani i wykorzystywani. Tylko dzięki wojnie uzyskali podwyżkę płac, bo Cameronowie byli do tego zmuszeni okolicznościami.

— Co zrobimy? — spytała Patty. — Może podpalą również dom na Wzgórzu. Wraz z jego mieszkańcami?

— O nie — powiedział Glen. — Nie dadzą się złapać w taką pułapkę. Cameronom nic się nie stanie, ale po tym wszystkim zostanie im kupa gruzów i góra popiołu.

— A czy Deborah... nic nie grozi? — spytała Patty.

— Tak się o nią martwisz? — spytałam chłodno.

— Jesteśmy siostrami. Nienawidzę jej... ale jesteśmy siostrami. Jest twoją córką.

— Tak — skinęłam głową. — Ja też nie chciałabym, by spotkało ją coś złego.

— Nic jej nie grozi — powiedział Glen. — Ludzie wszystko sobie dokładnie

przemyśleli. Jeśli spalą fabrykę i miasto, będą mieli po swojej stronie wystarczającą ilość sympatyków, żeby nie obawiać się żadnych reperkusji. Natomiast gdyby coś się stało komuś ze Wzgórza, straciliby powszechną sympatię. Wiedzą o tym i dołożą specjalnych starań, żeby Norze nie przytrafiło się nic złego.

W szpitalu, kiedy miałam dużo czasu na rozmyślenia, rozważyłam pewien plan.

— Glenie, powiedziałeś mi swego czasu, że możesz zostać mianowany dyrektorem nowego szpitala w Bridgeton. Proponuję, byśmy wyprowadzili się z Cameron. Sprzedam swoje udziały i zerwę wszelkie więzi z fabryką i z rodziną Cameronów.

— Możemy tak zrobić — powiedział Glen. — Jeśli przepowiednia zwierciadła się spełni i dojdzie do rozruchów, miasto ulegnie zniszczeniu. Nie będzie po co dłużej tu zostawać.

— Porozmawiam z Loranem — oświadczyłam. — Domyśli się, że mam już dosyć i że się poddam. Nie będą musieli ponownie próbować mnie zabić.

— Tatusiu — powiedziała Patty z przejęciem — widziałam w zwierciadle martwych i konających ludzi, ale... ale... żaden z nich nie nosił śladów bójki. Jestem wystarczająco doświadczoną pielęgniarką, by rozpoznać rany i kontuzje. Żaden z tych ludzi nie miał tego typu obrażeń.

— Zwierciadło nie pokazało ofiar z bliska, prawda?

— Nie, ale obraz był na tyle wyraźny...

— Ujrzałaś panoramiczny obraz, zbyt rozległy, by dostrzec szczegóły. Na pewno wszystko odnosiło się do zamieszek, które wybuchną po zakończeniu wojny. No bo o cóż innego może chodzić?

— Zgadzam się z twoim ojcem — powiedziałam. — Glenie, czyli że postanowione, iż się stąd wyprowadzamy?

— Tak. Będziemy zawczasu wiedzieli, kiedy trzeba się będzie zbierać. Zanim Loran będzie mógł wprowadzić swój plan w życie, żołnierze będą musieli zacząć setkami lub tysiącami ściągać do domów. W międzyczasie poszukamy sobie jakiegoś domu w pobliżu miejsca, gdzie wznoszą nowy szpital. Będzie przy nim również

szkoła dla pielęgniarek, więc jeśli do tego czasu Patty nie ukończy nauki, będzie ją mogła kontynuować tam. A później podjąć pracę w szpitalu. Jako dyrektor zatroszczę się o to, by wszyscy lekarze-stażyscy byli przystojni.

— Trudno mi się pogodzić z myślą, że Cameron zostanie zniszczone — powiedziała Patty. — Kocham to miasto. Nie wiem czemu. Nie ma go za co lubić, ale...

— Tu jest twój dom — powiedziałam. — Ja również je pokochałam, ale jeśli mieszkańcy zamierzają je zniszczyć, nic nie zyskamy zostając tu. Moja droga, zwierciadło ostrzega nas, byśmy mogli się zawnocześnie przygotować na to, co zgotuje nam los.

— Niezwłocznie poczynię kroki zmierzające do przeprowadzki — oświadczył Glen.

— A ja złożę wizytę na Wzgórzu — powiedziałam. — Jak tylko zbiorę dość sił, by stawić czoło Cameronom.

— Co zrobisz, jeśli spotkasz się twarzą w twarz z Norą? — spytała Patty.

— Nic. Może z wyjątkiem oświadczenia jej, że nigdy w życiu nie chcę już jej widzieć.

— Chciałabym... — zaczęła Patty, ale nie kończąc zdania zerwała się i wybiegła z pokoju.

— Wiem, czego by chciała — powiedziałam. — Ale nic z tego nie będzie. Nora próbowała mnie zabić. Och, może nie wiedziała, jak niebezpieczny jest ten środek. Ale usłuchała ich wiedząc, że wyrządzi krzywdę własnej matce. Mogła im odmówić, ale ona potulnie zgodziła się i o mały włos nie została morderczynią... o mój Boże! — wykrzyknęłam. — Przecież umarł ten biedny stary Walter!

— Popełniono morderstwo — zgodził się Glen.

— W takim razie Nora nie jest już moją córką.

Ta wyprawa do siedziby Cameronów na Wzgórzu była jedną z najbardziej nieprzyjemnych rzeczy w całym moim życiu. Nie dlatego, że miałam się poddać i w zamian za zrzeczenie się połowy udziałów w fabryce otrzymać pieniądze.

Wiedziałam, że mają dosyć środków, by mnie spłacić.

Zamierzenia Cameronów doprowadzą do zniszczenia fabryki, ale to była ich decyzja. Walczyłam z nimi tak długo, jak mogłam. Żałowałam, że pozbędę się tego, co należało do Joela.

Razem z Glenem szczegółowo wszystko omówiliśmy, sprawdziliśmy stan naszych finansów i wiedzieliśmy, że po sprzedaży udziałów w fabryce staniemy się ludźmi nie tylko dobrze sytuowanymi, ale wręcz zamożnymi. Moja wizyta miała charakter wyłącznie oficjalny. Nie miałam zamiaru ich przed niczym ostrzegać, zresztą i tak nigdy nie brali sobie moich przestróg do serca.

Kiedy po raz pierwszy pojawiłam się w ich domu, drzwi otworzyła mi Martha. Teraz, kiedy prawdopodobnie składałam tu ostatnią wizytę, też ona otworzyła mi drzwi. Bardzo się zestarzała, skurczyła, była pomarszczona, ale mimo swego podeszłego wieku nie zachowała się bardziej uprzejmie niż za pierwszym razem, gdy mnie ujrzała. Nie odezwała się ani słowem, gdy minąwszy ją skierowałam się do salonu. Uprzedziłam telefonicznie o swojej wizycie, więc zebrali się tam wszyscy prócz Nory. Ucieszyłam się, że jej nie ma. Z Evelyn Cameron zrobiła się krucha staruszka, nie było w niej ani śladu dawnej surowej, zimnej, władczej, dominującej kobiety. Gabriel też się postarzał, choć nie aż tak jak ona. Helen, moja rówieśniczka, trzymała się świetnie, zdawała się wprost kwitnąć. Loran, choć twarz miał pooraną zmarszczkami, nie poddawał się upływowi lat. Był jak zawsze surowy i groźny, wzbudzał prawdziwy lęk.

— Moja droga Maeve — powiedział Gabriel. — Cieszymy się, że tak dobrze wyglądasz po tej ciężkiej chorobie.

— Przyszłam tu, by porozmawiać o interesach — odrzekłam.

— Sądzę, że wszyscy wiecie, co mnie spotkało, więc nie będziemy o tym dyskutować. Przyszłam tu, bo mam już serdecznie dość waszych intryg, chciwości, podstępów. Z uporem godnym lepszej sprawy nie chcecie nawet wysłuchać tego, co mam wam do powiedzenia. W związku z tym postanowiłam zaprzestać dalszej walki z wami i sprzedać wam swoje udziały po aktualnej cenie. Nie mam zamiaru się

targować. Albo wykupicie moje udziały, albo sprzedam je na wolnym rynku za tyle, ile mi zapłacą.

— Wykupimy twoje udziały — pośpiesznie dodał Loran.

— A więc wreszcie zrezygnowałaś ze swojego głupiego uporu — zauważyła Helen. — Mówiąc szczerze, nie sądziłam, że kiedykolwiek zrezygnujesz, Maeve.

— Kiedy będziecie mieli pieniądze dla mnie? — spytałam Lorana, puszczając mimo uszu uwagę Helen.

— Potrwa to przynajmniej tydzień. Chodzi o dość pokaźną kwotę — powiedział Loran.

— Uważam ten termin za zadowalający. — Otworzyłam torebkę i wyjęłam oficjalny dokument, który zawczasu przygotowałam. — Oto pisemne potwierdzenie zamiaru kupna przez was udziałów na uzgodnionych warunkach. Jeśli Gabriel i Helen go podpiszą, opuszczę ten dom i nigdy się już tu nie pojawię.

— Niczego nie podpiszę — oświadczyła Helen.

— Nie bądź głupia — warknął Loran. — Oczywiście, że podpiszesz. Tyle lat czekaliśmy na tę chwilę.

— Nigdy nie miała prawa nawet do centa naszych pieniędzy — upierała się Helen.

Wzięłam dokument do ręki.

— Za chwilę podrę ten papier na strzępy i jeszcze dziś moje udziały zostaną zaoferowane na giełdzie. Daję wam jedną minutę.

— Podpisz to! — krzyknął rozzłoszczony Loran. — Helen, ty idiotko, podpisz to! Ona nie żartuje.

— Ja też potrafię być uparta. — Helen, ponaglana przez Lorana, z każdą chwilą stawała się bardziej rozgniewana.

— Jeśli sprzeda swoje udziały na giełdzie, będziemy mieli na głowie pięćdziesiąt osób radzących nam, jak zarządzać fabryką. Do diabła, Helen, rób, co ci mówię.

W końcu Helen wzięła od Lorana wieczne pióro i podpisała dokument, a po niej

swój podpis złożył Gabriel. Wsunęłam pismo do torebki.

— Dziś rano oddam je do banku wraz z moją zgodą na odsprzedaż udziałów. Kiedy przygotujecie gotówkę, bank dokona formalnej wymiany dokumentów i pieniędzy. Myślę, że tym samym zakończę współpracę z wami. A trwała ona dosyć długo. Kiedy tu przyjechałam, byłam młoda i ufna, gotowa was pokochać i w zamian oczekiwałam miłości od was. Podstępnie odebraliście mi córkę i wychowaliście ją na potwora. Próbowaliście pozbawić mnie spadku po Joelu. Na pobliskim cmentarzu spoczywa jedyny członek waszej rodziny, którego szanowałam. Kochałam Abnera prawie tak bardzo, jak kochałam jego brata. I cieszę się, że Joel został pochowany daleko stąd. Nigdy więcej nie chcę mieć z wami nic wspólnego.

Nie powiedzieli ani słowa, kiedy szybkim krokiem opuszczałam pokój. Przeszłam przez drzwi, które otworzyła mi Martha i zatrzasnęłam je za sobą z hukiem. Zbliżyłam się do samochodu. Zawahałam się na chwilę, bo ktoś był w środku. Otworzyłam drzwiczki. W samochodzie siedziała Nora.

— Wsiadaj — poleciłam jej.

— Chcę z panią porozmawiać — powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu.
— Niech pani wsiada!

Tak mnie zaskoczyła, że z czystej ciekawości usłuchałam. Zająłam miejsce za kierownicą i zamknęłam drzwiczki.

— Nie wiedzą, że czekałam tu na panią. Niech pani odjedzie i zatrzyma wóz w połowie Wzgórza.

— Nie zamierzam słuchać twoich rozkazów — odparłam.

— Czy będzie pani tak dobra i zrobi to, o co proszę? Niech pani nie będzie taka uparta i głupia jak oni.

— Och, a więc dostrzegłaś to w końcu? Dobrze, porozmawiamy sobie. Choć nie spodoba ci się to, co ode mnie usłyszysz.

Odjechałam przed domu i zatrzymałam wóz w połowie Wzgórza. Wyłączyłam silnik i zaciągnęłam ręczny hamulec. Odwróciłam się, by na nią spojrzeć. Siedziała prosto, sztywno, z kamienną twarzą, ale była taka śliczna i tak podobna do Patty.

— Słucham — powiedziałam.

— Może się mylę, ale odnoszę wrażenie, iż uważa pani, że próbowałam ją zabić.

Czy tak pani myśli?

Kiedy milczałam, dodała pośpiesznie:

— Pojechałam do szpitala, by się z panią zobaczyć, ale... poradzono mi, bym nie wchodziła do pani pokoju. Podobno ktoś próbował panią otruć podczas kolacji, którą razem zjadłyśmy w zajeździe.

— Bardzo prawdopodobne.

— Czy wierzy pani w to?

— Mówiąc szczerze, tak. Uważam również, że jesteś odpowiedzialna za śmierć starego kelnera, poczciwego, niewinnego człowieka.

— Początkowo trudno było mi się z tym pogodzić — powiedziała. — Było to takie... takie okropne, że aż trudne do wyobrażenia. — Otworzyła drzwiczki samochodu. — Nie będę pani dłużej zatrzymywała.

— Pozwól, że teraz ja ci coś powiem. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć na oczy.

Już zamykała drzwiczki, ale zawahała się na moment.

— Prosiła mnie pani, bym uwierzyła w pani niewinność, bym nie dawała wiary w to, co o pani mówili Cameronowie. Nie miała pani żadnych dowodów, ale błagała mnie pani, bym pani uwierzyła. Odmówiłam. Teraz pani nie chce mi uwierzyć, bo nie mam dowodu swej niewinności. Czy w tych dwóch sprawach istnieją jakieś różnice? Czy matka musi mieć niepodważalny dowód niewinności swej córki, a córka nie ma prawa domagać się dowodu, że jej matka nie była złą i rozpustną kobietą?

Trzasnęła drzwiczkami i pobiegła w górę Wzgórza, do domu. Siedziałam oszołomiona przez dobrych kilka minut. Miała rację. Z tym tylko że ja wiedziałam, iż jestem niewinna i na tym polegała cała różnica — chyba że Nora była równie niewinna jak ja.

Zwolniłam hamulec. Samochód zaczął się toczyć w dół wzgórza. Wrzuciłam bieg nie zdejmując nogi ze sprzęgła, tak że silnik zapalił bez konieczności korzystania

ze startera. Gdy znalazłam się u stóp Wzgórza, samochód osiągnął całkiem dużą prędkość. Na ulicy Main zwolniłam.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Cameron, domy były odrapane i ponure. Teraz stały wyremontowane, odmalowane i czyste, bo zmusiłam Cameronów do zadbania o nie. Sklepom fabrycznym wyrosła konkurencja. Na przedmieściach powstał sklep spożywczy, otwarto również warsztat samochodowy, sklep z artykułami żelaznymi i paszami, a nawet małą restaurację i kawiarnię. Znajdowały się one wszystkie na terenach, nad którymi Cameronowie nie mieli kontroli, więc w żaden sposób nie mogli zastopować działalności „tych intruzów”, jak ich nazywali.

Mówiąc szczerze, było to bardzo sympatyczne miasteczko. Liczba mieszkańców wzrosła z sześciuset do siedmiuset pięćdziesięciu, choć podczas wojny ponownie nieco się zmniejszyła. W mieście prawie nie było widać młodych mężczyzn.

Teraz wszystko miało ulec zniszczeniu. To, czego nie zniszczyli Cameronowie swoją chciwością, miało paść ofiarą ognia podłożonego rękami robotników. Wszystkie domy były wprawdzie stare, ale nadawały się do zamieszkania, mogły być zmodernizowane, choć i teraz były całkiem wygodne. Fabryka, gdyby była odpowiednio zarządzana, zagwarantowałaby w nadchodzących latach godziwe życie. Po wojnie zawsze następował wzrost koniunktury.

W czasie deszczów ulice nie przypominały już trzęsawiska, a podczas upałów rozpalonej patelni. Wszędzie były kamienne chodniki, dobrodziejstwo w czasach, gdy obowiązywały długie suknie; teraz, kiedy przyszła moda na krótsze odzienie, nie było to może już tak istotne, ale też nie do pogardzenia.

W każdym domu zaprowadzono elektryczność, zainstalowano też zdumiewająco wiele telefonów. Glen naliczył w mieście czterdzieści samochodów, po wojnie, kiedy fabryki znów podejmą produkcję aut, liczba ta niewątpliwie ulegnie zwiększeniu.

Zatrzymałam się przy krawężniku, tuż przed domem, ale nie wysiadłam od razu, tylko nie ruszając się zaczęłam myśleć o Norze. Wszystkie moje rozważania na temat Cameron i tego, jakie zmiany zaszły w mieście, miały jedynie na celu odpędzenie myśli o rozmowie z Norą.

Owszem, zaprosiła mnie na kolację bez wyraźnego powodu. Nie lubiła mnie, więc czemu zgodziła się ze mną spotkać? Czemu nie przyszedł Loran czy nawet Gabriel? Mogła przecież odmówić. Jeśli to nawet nie ona dodała do mojego wina jakiejś trucizny, musiała wiedzieć, że mają wobec mnie jakieś nieczyste zamiary. W tej sytuacji nie widziałam powodu, dla którego miałabym zmienić swój stosunek do niej, choć sprawiało mi to ból.

Weszłam do domu. Nie zastałam nikogo. Widocznie Glena wezwano pilnie do chorego. Zabrał ze sobą Patty do pomocy. Zaczęłam ścierać kurze w pokoju, choć meble były czyste. Chciałam po prostu mieć jakieś zajęcie. Kiedy skończyłam wycierać meble, doszłam do wniosku, że należy wynieść dywany i porządnie je wytrzepać. Mogłam poprosić o pomoc dwóch chłopaków z sąsiedztwa.

Wypiłam pierwszy kieliszek wina. Nora w żaden sposób nie mogłaby do niego dodać trucizny, co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Kiedy skończyłam pić wino, odwołano mnie do holu, do telefonu. Nora mogła z łatwością zatruć drugi kieliszek wina, ale tego drugiego nawet nie tknęłam. Więc w jaki sposób mogłaby mnie otruć?

Usiadłam ciężko przy stole kuchennym. Choć próbowałam, nie mogłam przestać o niej myśleć i o tym, że mogę się mylić, że to wcale nie ona mnie otruła. Ale jeśli wiedziała o całej intrydze, była nie mniej winna, niż gdyby własnoręcznie dodała mi truciznę do wina. Więc czemu ogarnęły mnie nagle jakieś wątpliwości co do jej winy?

Usłyszałam, jak przed domem zatrzymał się samochód Glena. Drzwi prowadzące do poczekalni trzasnęły głośno, jakby Glen bardzo się spieszył. Poszłam do gabinetu. Patty była już tam i pochylała się nad jedną z grubych książek medycznych, które wzięła z półki. Glen, z twarzą zarumienioną z podniecenia, w kapeluszu przesuniętym na tył głowy, również studiował jakąś książkę medyczną.

— Sprawiacie wrażenie niezwykle zajętych — zauważyłam. — Kiedy będziecie wolni, chciałabym wam coś powiedzieć...

Glen uniósł wzrok.

— Później, Maeve. Proszę cię, nie teraz.

— Co się stało? Czy coś złego? — spytałam.

— Nie wiem jeszcze. Próbujemy znaleźć wytłumaczenie. Masz coś, Patty?

— Nie, tatusiu. To z pewnością nie było zwyczajne zapalenie płuc.

— Od razu nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. — Glen znów uniósł wzrok. — Och, przepraszam, najdroższa. Jesteśmy trochę zdenerwowani. Arnold Philips wezwał nas do ciężko chorej żony. Wczoraj wróciła od swojej siostry z Bostonu. Niespodziewanie złapały ją dreszcze i gorączka. Udaliśmy się razem z Patty do pani Philips i zastaliśmy ją umierającą. Przyczyną była jakaś infekcja dróg oddechowych. Jestem tego pewien, ale choroba rozwinęła się tak szybko...

— I okazała się śmiertelna — dodała Patty, wciąż przeglądając książkę lekarską.

— Robiliśmy co mogliśmy, ale... mimo naszych prób ratowania jej wyzionęła ducha.

— Glenie, skoro zrobiłeś, co było w twojej mocy... — próbowałam go pocieszać.

— To jeszcze nie wszystko. Kiedy Arnold przyszedł po nas, też nie czuł się najlepiej. Teraz leży w łóżku w równie ciężkim stanie co jego żona. Nie powiedzieliśmy mu o jej śmierci. Ale tak samo jak w jej przypadku, nic, co robiliśmy, nie skutkowało. W jednej chwili był na nogach, a w następnej padł jak podcięty.

— Czy to jakaś nowa, nieznana choroba? — spytałam.

— Nie wiem. Zaczyna się jak zwykle przeziębienia, a potem przeistacza się w wyjątkowo złośliwe zapalenie płuc. W pierwszej chwili myślałem, że to grypa, ale jeszcze nigdy nie widziałem, by grypa rozwijała się tak gwałtownie i przyjmowała taką groźną postać.

— Sądzisz, że pan Philips również umrze? — spytałam.

— Tak. Siedzi teraz przy nim sąsiad. Zaraz do niego pójde...

Patty wyprostowała się.

— Zdaje mi się, że ktoś jest w poczekalni.

Otworzyła drzwi i wydała okrzyk. Razem z Glenem pośpieszyliśmy za nią. Na krześle siedział skulony człowiek. Oddychał z trudem. Był przytomny, ale zbyt

osłabiony, by cokolwiek powiedzieć.

Glen podniósł go, zaniósł do gabinetu i położył na kozetce. Mężczyzna jakby poczuł się lepiej.

— Jestem strasznie chory — powiedział drżącym głosem. — Strasznie chory. Kiedy dziś rano się obudziłem, nie czułem się najlepiej, ale na tyle dobrze, by zacząć się szykować do pracy. Jednak bardzo szybko mi się pogorszyło. Jedyne, czego pragnąłem, to położyć się.

— Kto przyprowadził cię do mnie? — spytał Glen. — Nazywasz się John Porter, prawda?

— Tak, jestem John Porter. Sam przyszedłem.

— W takim stanie?

— Gdy tu szedłem, nie czułem się jeszcze tak źle. Ale kiedy znalazłem się w poczekalni, musiałem natychmiast usiąść. Panie doktorze, co mi dolega? Jeszcze nigdy w życiu nie byłem taki chory.

— Spróbuję znaleźć przyczynę pańskiej dolegliwości — powiedział Glen. Odwrócił się do mnie. — Maeve, nie wiem, co to za choroba i wolę, żebyś stąd wyszła. Idź do domu...

— Jeśli ty i Patty tu zostanieie, ja również nigdzie się stąd nie ruszę. Mogę wam w czymś pomóc. Glenie, nie każ mi wracać do domu.

— Podaj mi szpatułkę — powiedział.

Wręczyłam mu drewnianą łopatkę. Zbadał gardło chorego. Nawet ja swym niedoświadczonym okiem mogłam dostrzec, jak mocno było zaczerwienione. Nagle mężczyzna dostał silnych dreszczy.

— Bolą mnie nogi. Bolą mnie ramiona. Panie doktorze, niech mi pan pomoże. Jestem strasznie chory. Czuję się okropnie.

Zaczął gwałtownie kaszleć, całe jego ciało ogarnęły silne wstrząsy, na twarzy pojawiły się krople potu. Dreszcze ustały. Patty zmierzyła mu gorączkę i zameldowała, że mężczyzna ma 40,6°. Pacjent przestał się skarżyć. Stracił przytomność.

— Nie wiem, jak mu pomóc — powiedział Glen. — Zadzwońię po karetkę. Patty, zostań z chorym.

Glen wykręcił numer i rozmawiał przez kilka minut, po czym zasepiony odłożył słuchawkę.

— Przed nami jest siedem osób czekających na karetkę — oświadczył. — Wszystkim coś dolega.

— To chyba grypa — powiedziała Patty. — W książce jest napisane, że przypomina poważniejsze przeziębienie...

Glen przeczytał krótki opis choroby. Po chwili znów podszedł do telefonu i połączył się z lekarzem dyżurnym w Bostonie.

— Mówi doktor Glen Kinnery ze stanu Maine. Mam pacjenta z bardzo dziwnymi objawami. Inny pacjent, z identycznymi objawami, właśnie umarł. Dopiero co wrócił z waszego miasta. Ciekaw jestem... Tak... tak, mocno zaczerwienione gardło. Tak... dreszcze... gorączka... ten tutaj ma 41°. Tak, tak, bóle... teraz zapadł jakby w śpiączkę... Rozumiem. A więc to jest to! O mój Boże! Aż tak źle? Dziękuję. Zrobię, co będę mógł.

Odwiesił słuchawkę.

— Nie wiem co robić. To nowa choroba. Ten człowiek zapadł na odmianę grypy. Wywołuje ją wirus, który wdychamy. Patty... przynieś maski chirurgiczne... wiesz, gdzie leżą. Wszyscy będziemy je nosić, nawet podczas snu. Nie jestem pewny, na ile nas uchronią, ale może choć trochę.

Zawiązywaliśmy sobie nawzajem maski, a Glen powtarzał nam to, czego się dowiedział od lekarza dyżurnego z Bostonu.

— Wczoraj w Bostonie zanotowano dwieście dwa przypadki śmierci, dzisiaj jak na razie ponad sto. Choroba rozprzestrzenia się w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie. Mówią, że ta śmiertelna grypa rozpoczęła się w Hiszpanii. W Bostonie jest mnóstwo chorych. Spodziewają się tysiący ofiar śmiertelnych. Choruje tyle ludzi, że stracili rachubę. Musimy spróbować opanować sytuację, zanim wybuchnie epidemia.

— Chyba już wybuchła — zauważyła Patty.

Glen skinął głową.

— Prawdopodobnie masz rację. Maeve, jedź do fabryki i każ uruchomić syrenę. Niech zatrzymają maszyny i każą wszystkim zebrać się przed ratuszem. Przed ratuszem, na świeżym powietrzu, a nie w budynku. Choroba rozprzestrzenia się w pomieszczeniach zamkniętych dziesięć razy szybciej. Pośpiesz się... z tego, co mi powiedziano, choroba szerzy się lotem błyskawicy.

Podeszłam do telefonu i choć z trudem, udało mi się w końcu przekonać kierownika fabryki, by ogłosił fajrant i kazał wszystkim jak najszybciej zebrać się przed ratuszem. Gdyby Cameronowie się sprzeciwili, oświadczyłam, że biorę całą odpowiedzialność na siebie. Ledwie odwiesiłam słuchawkę, kiedy rozległ się ryk syreny fabrycznej.

Na ten sygnał wszyscy wylegną z domów. Glen złapał dużą paczkę sterylnej gazy i przylepca. Nasze zapasy masek chirurgicznych były bardzo ograniczone. Pobiegłam, by poszukać więcej gazy w rolkach. Glen polecił Patty, by została z pacjentem. Gdyby jego stan się pogorszył, miała natychmiast po niego przyjść. Potem razem z Glenem pobiegliśmy do jego samochodu i wsiedliśmy. Jechał cały czas naciskając klakson. Ludzie już się zaczęli gromadzić, a od strony fabryki podążała armia robotników. Kiedy wysiadaliśmy z samochodu, jakaś kobieta chwyciła Glena za ramię.

— Panie doktorze, mój Willie jest strasznie chory. Kiedy tylko będzie pan miał czas...

Glen westchnął ciężko.

— Przyjdę do niego najszybciej, jak tylko będę mógł. Proszę wrócić do domu i nie odstępować go ani na chwilę. Kiedy będzie gorączkował, proszę mu robić zimne okłady na czoło. — Oddaliła się, posłuszna jego poleceniom, a Glen zwrócił się do mnie: — A więc zaczęło się. Spóźniliśmy się.

Wszedł na stopnie przed ratuszem, by przemówić do zgromadzonych. Wszyscy byli zaintrygowani, ale domyślali się, że chodzi o coś wyjątkowo ważnego.

— Proszę mnie posłuchać — zaczął Glen. — Proszę słuchać uważnie, bo od

tego może zależeć wasze życie. Na całym świecie szerzy się nowy rodzaj wirusa grypy. To śmiertelny wirus i nie potrafimy z nim walczyć. Rozmawiałem z lekarzem dyżurnym z Bostonu. Powiedział mi, że w całym kraju szerzy się epidemia. W naszym mieście mniej więcej godzinę temu zmarła pierwsza ofiara tej grypy. Drugi pacjent jest teraz w moim gabinecie również w bardzo poważnym stanie. Pochorowało się też już jedno dziecko. Choroba będzie się rozprzestrzeniać. Mogę wam powiedzieć tylko co następuje: rozdaję tyle gazy, ile mam, i pošlę po nową dostawę. Cały czas noście maski, które zasłaniają usta i nos. Jeśli ktoś w rodzinie się rozchoruje, nie gromadźcie się wszyscy przy nim. Niech tylko jedna osoba opiekuje się chorym. Pacjentowi należy dawać tyle pić, ile chce. Jeśli stan nie jest zbyt poważny, można podawać lekkostrawne potrawy. Nie wynoście z pokoju chorego koców, prześcieradeł, powłoczek na poduszki ani ubrań. Radzę w miarę możliwości spalić wszystkie rzeczy, z którymi chory miał kontakt. Pamiętajcie, to śmiertelna choroba. Będzie atakowała zarówno młodych, jak i starych. Bez względu na to, jak zdrowo się teraz czujecie, w przeciągu kilku godzin może was złożyć.

— Panie doktorze, skąd mamy wiedzieć, że chodzi właśnie o to? — wykrzyknął ktoś z tłumu.

— Poczujecie osłabienie, nie będziecie mogli ustać na nogach. Natychmiast kładźcie się do łóżka i poproście kogoś z rodziny o dogłądanie was. To ciężka choroba. Postaram się jak najszybciej docierać do ofiar grypy. Będę wam mógł trochę pomóc, ale uprzedzam, że walka z chorobą spoczywa niemal całkowicie w waszych rękach. Spróbuję uzyskać telefonicznie więcej wskazówek, jak postępować z chorymi. A teraz niech wszyscy rozejdą się do domów i nie opuszczają ich. Żadnego składania wizyt, żadnego gromadzenia się. Idźcie do domów i jeśli potraficie się modlić, zacznijcie mówić pacierz. A propos modlitw: nie będzie żadnych mszy, przynajmniej wewnątrz kościoła.

— A jeśli ktoś umrze? — zapytał ktoś.

— Niezwłocznie należy pogrzebać ciało, bez żadnych ceremonii żałobnych. Na to będzie czas później. Teraz naszym głównym celem jest chronić żyjących. A więc,

jak powiedziałem, idźcie do domów.

Od strony Wzgórza przyjechał z hurkotem samochód Cameronów. Za kierownicą siedział Loran. Glen uniósł rękę do góry i zatrzymał go. Zanim Loran zdołał wysiąść, Glen podszedł do auta i powtórzył Loranowi to, co przed chwilą powiedział mieszkańcom miasta. Musiał mówić bardzo przekonująco, bo Loran zawrócił samochód i prędko odjechał z powrotem.

Byłam zajęta rozdawaniem gazy i cięciem bandaży na tampony. Ale zauważyłam, że na ulicy Main znów pojawił się samochód Lorana. Tym razem za kierownicą siedziała Nora. Zostawiłam rozdawanie gazy komuś innemu, wzięłam jeden tampon i pobiegłam w stronę auta, zanim zbliżyło się do rozstępującego się tłumu.

— Czy Loran powiedział ci, co się stało? — spytałam.

— Tak. Chcę pomóc.

Nie otwierając drzwiczek wskoczyłam na stopień. Pochyliłam się i dotknęłam policzka Nory.

— Jesteś moją córką i jestem z ciebie bardzo dumna. Reszta nie ma teraz znaczenia. Jedź do naszego domu. Spotkamy się w gabinecie Glena. Nie wiemy co robić, ale jestem pewna, że twoja pomoc na pewno się przyda. Przede wszystkim jednak nie chcę, by zmogła cię ta straszna choroba. Załóż sobie maskę, teraz, i jedź do naszego domu. Zastaniesz tam Patty.

— Mamo... — zaczęła Nora.

— Zmykaj teraz — powiedziałam. — Później sobie porozmawiamy.

Zawiązała maseczkę i odjechała. Wróciłam do tłoczących się ludzi. Wkrótce rozdałam całą gazę, ale dla wielu osób jej zabrakło. Kobiety pośpieszyły do domów, by własnym przemysłem przygotować maseczki z materiału, przez który można było oddychać. Popołudniowym pociągiem przywieziono gazety z Bostonu. Po raz pierwszy pisano w nich o niesłychanych rozmiarach, jakie przybierała epidemia. Codziennie umierało na grypę więcej ludzi, niż ginęło żołnierzy podczas wojny.

Chciałam odszukać Glena, ale nigdzie nie mogłam go znaleźć, więc

zaparkowałam samochód przy krawężniku, a do domu udałam się pieszo. W pokoju zastałam tylko Norę. Patty pojechała razem z pacjentem karetką pogotowia.

— Zgłosił się do nas ciężko chory człowiek. Odwieziono go do szpitala — wyjaśniłam Norze. — Patty pojechała z nim. Razem postaramy się nieść pomoc. Niezbyt dobrze wiem, na czym będzie ona polegała, ale Glen nam powie, co mamy robić. Noro, nadciąga katastrofa, jakiej nikt z nas dotąd nie przeżył.

— Nie wiedziałam, że grypa może być taka niebezpieczna — powiedziała.

— Ta jest bardzo groźna. Och, nie znam się na tych sprawach więcej od ciebie, ale wiem, moja droga, co nas czeka. Pewnego dnia, mam nadzieję, że już wkrótce, powiem ci, skąd to wiem. Na razie... na razie musisz mi uwierzyć na słowo. Wielu ludzi pochoruje się, wielu umrze. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by im pomóc. Obawiam się, że niewiele będziemy mogli zrobić, a nawet istnieje niebezpieczeństwo, że sami się pochorujemy.

— Od czego zaczniemy? — spytała.

— Zajmijmy się tym, co potrafimy robić najlepiej. Trzeba będzie pomyśleć o jedzeniu dla obłożnie chorych. Będziemy gotowały jakieś proste, lekkostrawne potrawy i rozwoziły tym, którym nikt nie będzie mógł zapewnić jedzenia. Trzeba będzie czuwać nad pacjentami, ale nie możemy być wszędzie, więc chorymi będą musieli opiekować się krewni. Pamiętaj, że ta grypa może złożyć całe rodziny. Wtedy na nas spadnie obowiązek opiekowania się chorymi. Utworzymy tutaj coś w rodzaju sztabu głównego.

— Żeby koordynować wszystkie nasze działania — powiedziała Nora. — Umiem to robić.

— Noro, możesz być potrzebna na Wzgórzu. Cameronowie nie są odporni na tę chorobę.

— Najważniejsi są mieszkańcy miasta — oświadczyła z naciskiem. — Jeśli Cameronowie się pochorują, zrobię, co będę mogła, ale moje miejsce jest tu. Nie boisz się?

— Czego? Śmierci? Owszem, boję się. Boję się nawet samej choroby. Ale póki

nie umrę i nie będę na tyle chora, by móc pomagać, będę robiła co w mojej mocy.

— Oni tam... — wyciągnęła rękę za siebie, ale wiedziałam, kogo ma na myśli — ...strasznie się boją. Gabe i Evelyn zamknęli się w swoim pokoju i nie wpuszczają nikogo do środka. Loran polecił całej służbie, by natychmiast opuściła dom. W sieni na stole położył karabin i mówi, że jeśli ktokolwiek spróbuje wejść, użyje broni.

Pokiwałam smutno głową nad ich ignorancją.

— Intruz, który wywołuje tę chorobę, jest niewidzialny. Zarazki można ujrzeć tylko pod silnym mikroskopem i nie ma sposobu, by się przed nimi ukryć.

— Loran uważa, że wirusy nie odważą się wtargnąć do jego domu.

Podeszłam do niej i delikatnie ujęłam ją za ramiona. Ponad śmiesznie wyglądającymi maskami z gazy, które miałyśmy na twarzy, spotkały się nasze spojrzenia.

— Noro, cokolwiek się stanie, chcę, żebyś wiedziała, iż pomyliłam się. Przykro mi i jednocześnie jestem bardzo dumna. Przykro mi, że cię źle osądziłam i serce mnie boli, że nie chciałam ci uwierzyć. Ale jestem dumna, że mam dwie takie córki jak ty i Patty.

— Zwyczajny uścisk to teraz za mało — powiedziała Nora.

W jej wielkich oczach błyszczały łzy, ale nie rozplakała się.

— I nie czas teraz na rozmowy, chyba że dotyczyć będą tego cholernego wirusa, który czyha wkoło i zabija ludzi. Nastaw wodę we wszystkich naczyniach, jakie tylko znajdziesz, a ja w tym czasie pobiegnę na targ i przyniosę stamtąd wszystko, co jest potrzebne do przyrządzenia bulionu. Epidemia jeszcze nie dała się nam mocno we znaki, ale na pewno da nam porządnie w kość. Tak uważa Glen i zgadzam się z nim. Ale jeśli będziemy miały wszystko przygotowane, będziemy mogły natychmiast pośpieszyć z pomocą, kiedy sytuacja ulegnie pogorszeniu.

— Niezbyt się znam na gotowaniu — wyznała — ale jestem pewna, że wodę umiem zagotować.

Pojechałam na targ, wyjaśniłam co mi potrzebne i wróciłam z mięsem i innymi produktami, które udało mi się kupić. Razem z Norą nagotowałyśmy bulionu.

Wykorzystałyśmy wszystkie naczynia, jakie tylko były w domu, a potem przyniosłam z piwnicy słoje Wecka. Do nich też rozlałyśmy bulion.

Patty wróciła do domu tuż przed zmrokiem. Opadła na krzesło stojące za biurkiem Glena.

— Mamo, to niewiarygodne. Przez noc w szpitalu chorzy zajęli wszystkie łóżka, dziś nawet korytarze są pełne pacjentów. Łóżka zwalniają się dopiero, kiedy... kiedy ktoś umrze. Ci, u których notuje się poprawę, są jak najszybciej odsyłani do domów. Lekarze są bezradni. A jak tutaj wygląda sytuacja?

— Nie wiem. Mogę się tylko domyślać, że musi być poważna, bo twój ojciec jeszcze nie wrócił...

— A kto jest w domu? Słyszę kogoś...

— Twoja siostra — powiedziała. — Przyszła nam pomóc.

Patty zerwała się i pobiegła do pokoju. Usłyszałam, jak obie dziewczyny przywitały się serdecznie, choć zachowywały się na tyle rozsądnie, by nie rzucić się sobie na szyje. Zaczęły rozmawiać o wspólnej pracy.

— Jesteś pielęgniarką — powiedziała Nora. — Możesz uczynić o wiele więcej dobrego niż ja. Och, jeśli tylko w jakiś sposób będę mogła pomóc...

— Deborah, jestem dopiero uczennicą szkoły pielęgniarskiej.

— Mów do mnie Nora — poprosiła. — Mam na imię Nora. Przynajmniej w tym domu. Masz praktykę, a ja nie mam pojęcia, jak opiekować się chorymi. W takiej chwili jak ta całe moje wykształcenie nie jest warte złamanego grosza. Ale mogę pomóc...

— Pamiętaj o jednym — powiedziała Patty tonem osoby znającej się na rzeczy. — Nie dopuść do tego, byś padła ze zmęczenia. Właśnie wtedy organizm jest najbardziej podatny na chorobę. Jeśli poczujesz osłabienie, choćby niewielkie, albo senność, albo zaczniesz kaszleć... wracaj na Wzgórze. Może niewiele ci to pomoże, ale przynajmniej będziesz z dala od tego wszystkiego...

— Będę na siebie uważała — obiecała Nora. — Nie martw się o mnie.

— Wiesz, że i tak będę się martwiła. Będę się okropnie martwiła, ale teraz

powinnam się raczej zacząć martwić pozostałymi mieszkańcami miasta. Pójdę zobaczyć, jak stoją sprawy. Uważaj na mamę, Noro.

— Dobrze, choć to raczej mama będzie uważała na mnie. Pośpieszyłam do kuchni.

— No, czas brać się za robotę... Nie wiem jeszcze, co trzeba będzie robić, ale mam nadzieję, że Glen wkrótce wróci i powie nam, w jaki sposób będzie można pomóc chorym.

Glen przyszedł dopiero po dziesiątej. Opadł ciężko na krzesło przy stole. Nora przyniosła mu talerz gorącej zupy. Ściągnął z twarzy maskę i uśmiechnął się.

— Cześć, Noro. Bo to ty, prawda? Te maski...

— Tak, to ja, panie doktorze.

— Przyszła, by nam pomóc — wyjaśniłam.

— Świetnie. Będziemy potrzebowali pomocy. Z radością przyjmuję twoją ofertę. A gdzie Patty?

— Wyszła rozejrzeć się — powiedziała Nora.

Glen potrząsnął głową.

— Wolałbym, by tego nie robiła, ale... wątpię czy potrafiłbym ją powstrzymać.

— Jak wygląda sytuacja? — spytałam. — Czy jest bardzo poważna?

— Bardziej niż sobie można wyobrazić. Choroba złożyła już ponad sześćdziesięciu mieszkańców miasta.

— Och, mój Boże! — wykrzyknęłam. — Jest aż tak źle?

— A to dopiero początek. Z biura fabryki zadzwoniłem do Portland i Bostonu. Z dostępnych statystyk powoli zaczyna się wyłaniać obraz sytuacji. Według ostatnich danych pochorowało się osiem milionów ludzi. Zamknięto kina, msze odbywają się przed kościołami. Już dawno zabrakło trumien. Nie można nadażyć z grzebaniem zmarłych... uważa się, że sytuacja jest znacznie poważniejsza niż podczas wojny. Jest więcej, znacznie więcej ofiar.

— A w naszym miasteczku? — spytała Nora. — Czy sytuacja się pogorszy?

— Obawiam się, że tak. Zwróciłem się do ludzi, by przynieśli z domów do

fabryki wszystkie zbędne łóżka. Utworzę tam coś w rodzaju tymczasowego szpitala. Placówki lecznicze wypełniają się chorymi w takim tempie, że nie można nadążyć z tworzeniem nowych.

— Ale w jaki sposób epidemia tak szybko się rozszerza? — spytała Nora. — Jesteśmy przecież tak daleko od wielkich miast...

— Pierwsza śmiertelna ofiara epidemii w naszym mieście dwa dni temu wróciła z Bostonu. Przywlokła ze sobą wirusa. Zanim poczuła się źle, rozsiewała wkoło zarazki. Och, to nie jej wina. Skąd mogła wiedzieć, że jest chora? Ale stało się i teraz sytuacja w Cameron jest równie groźna, jak w wielkim mieście. A mówiąc szczerze gorsza, bo nie mamy warunków, by walczyć z chorobą.

— Glenie — powiedziałam — razem z Norą ugotowałyśmy bulion. Czy można go będzie dostarczać potrzebującym?

— Pomoże bardziej niż wszelkie lekarstwa, jakie mogę przepisać. Zresztą z tego, co widzę, leki na niewiele się zdają. Ale nie chcę, żebyś ty lub Nora...

— Proszę nie kończyć — powiedziała Nora. Glen pokiwał głową.

— Wiedziałem, że nie posłuchacie. Przygotuję płyn do płukania gardła; stosujcie go jak najczęściej. Jeśli będziecie miały kontakt z chorą osobą, umyćcie potem dokładnie ręce. Wygląda na to, że higiena odgrywa tutaj podstawową rolę. W żadnym wypadku nie sprowadzajcie do domu chorych. Tu będzie wasze jedyne schronienie, kiedy będziecie potrzebowały chwili wytchnienia. Czasami trzeba być nieugiętym.

— Już dawno się tego nauczyłam — powiedziała cicho Nora.

— Noro, proszę cię. — Podeszłam do niej.

Glen powstrzymał mnie spojrzeniem.

— Unikajcie bliskich kontaktów — ostrzegł. — Dziękuję za wyborną kolację. Jeśli możesz, zaparz dla mnie kawę. Nie wiem, kiedy wrócę. Róbcie, co możecie.

Zanim nałożył maseczkę z gazy, uśmiechnął się. Po chwili już go nie było. Usiadłam. Nora naląła dla mnie i dla siebie po filiżance kawy. Ciężko opadła na krzesło po drugiej stronie stołu. Zsunęliśmy z twarzy maski.

— Możemy przygotować leguminę — powiedziała. — Słyszałam, że chorzy powinni jeść leguminę.

Skinęłam głową.

— Przyniosę mleko i jajka. Ale najpierw zawiozę do fabryki duży pojemnik z bulionem. Niektórzy chorzy mogą być głodni.

— Weźmiemy dwa pojemniki — powiedziała Nora. — Nie zostanę tu sama.

Październikowe noce były chłodne, więc ubrałyśmy się ciepło. Nora nie wzięła z sobą cieplejszej odzieży, ale rzeczy Patty leżały na niej jak ulał. Opatulone w ciężkie palta wyruszyłyśmy samochodem Nory do fabryki. Na tylnym siedzeniu stały dwa wielkie pojemniki parującego bulionu.

Wzdrygnęłyśmy się obie przekraczając próg fabryki. Wszystkie łóżka na korytarzach były zajęte; kilku bardzo chorych pacjentów siedziało na fotelach; inni zrobili sobie prowizoryczne legowiska z dwóch większych krzeseł. Natychmiast przystąpiłyśmy do pracy. Patty wydawała polecenia kilkunastu dziewczynom, które skrzyknęła do pomocy. Zapach chorych i śmierci wyparł woń panującą w starej fabryce. Kiedy podeszłam do zamkniętych drzwi, Nora wstała i zagroziła mi drogę.

— Proszę, nie chodź tam. Za tymi drzwiami... trzymają umarłych.

— Dziękuję, że mnie uprzedziłaś — powiedziałam takim tonem, jakbym się właśnie dowiedziała, że pomieszczenie jest świeżo malowane i gdybym do niego weszła, mogłabym sobie poplamić sukienkę.

O północy Nora zaczęła się słać ze zmęczenia. Patty podeszła do mnie i wskazała na nią ręką.

— Mamo, zabierz ją do domu. Jeśli się przemęczy, może się rozchorować.

— Dobrze, Patty. Jesteś cudowna, wiesz o tym?

— Tak mało jeszcze umiem, że chce mi się płakać — odparła. — Poza tym, nawet gdybym miała na głowie pielęgniarzki czepek, i tak nic nie mogłabym pomóc tym ludziom. Ich stan się poprawia albo mimo naszych usilnych starań umierają. To straszne.

Musiałam siłą odciągnąć Norę od kobiety tak zmienionej chorobą, że nie mogłam jej poznać. Wyprowadziłam Norę z fabryki. Podeszłyśmy do zaparkowanego samochodu.

— Jedźmy do domu — powiedziałam. — Mamy dosyć. Musimy odpocząć.

— Ale tam jest tylu chorych.

— To polecenie Patty.

— Chciałabym być taka silna jak ona i umieć to, co ona — powiedziała Nora. — Potrafię mówić czterema językami, ale te cholerne wirusy i tak by mnie nie zrozumiały, prawda? Jestem zmęczona.

Przyłożyłam jej dłoń do czoła, lekceważąc polecenie, byśmy unikały bezpośrednich kontaktów. Nie miała gorączki.

— Zjemy coś i położymy się do łóżka — powiedziałam. — Rano cię obudzę.

— Mam nadzieję. Jest tu tyle pracy.

Przy krawężniku przed domem zaparkowany był jeden z dużych samochodów Cameronów.

— A niech to diabli! — krzyknęła Nora.

— Kto z nich przyjechał?— spytałam.

— Nie wiem. Widocznie ktoś się rozchorował.

— Pojadę na Wzgórze — powiedziałam.

— Po tym co ci zrobili?

— Czy w takiej chwili ma to jakiegokolwiek znaczenie? Widzę, że to Helen.

Stała obok samochodu. Zaparkowałyśmy nasz wóz i podeszłyśmy do niej.

— Kochanie, przyjechałam, by zabrać cię do domu — przemówiła do Nory. Mnie nawet nie zaszczyciła spojrzeniem.

— Nie pojadę — powiedziała Nora. — Jestem tu potrzebna.

— Twoja babcia i dziadek są bardzo chorzy. Potrzebują ciebie, Deborah.

— Ja pojadę, Helen — wtrąciłam się do ich rozmowy. — Nora jest bardzo zmęczona.

— Nie przypominam sobie, bym cię o to prosiła — powiedziała Helen cierpkim

tonem.

— Czy nawet obecna sytuacja nie wywołała u ciebie żadnej zmiany? — spytałam. — Cóż za różnica, która z nas pojedzie?

Nora jest taka wyczerpana, że może się nie obronić przed wirusem. Ja nie jestem aż tak zmęczona. Może będę mogła coś pomóc...

— Jedziesz ze mną, Deborah? — spytała Helen.

— Nie — odparła Nora. — Moje miejsce jest tutaj.

— Twoja babcia i dziadek są chorzy...

— Tutaj są setki chorych. Pozostanę tam, gdzie moja pomoc jest najbardziej potrzebna. Nie widzę, byś miała gorączkę albo źle się czuła. Nie możesz się nimi zająć?

— Deborah, żądam, żebyś natychmiast wróciła ze mną do domu.

Nora przygarbiła się i westchnęła głośno.

— Helen, w tej chwili czuję takie otępienie, że przychodzi mi do głowy tylko jedno: Idź do diabła!

Ruszyła w stronę domu. Zagroziłam drogę Helen, by nie pobiegła za nią.

— Jest taka zmęczona, że nie wie, co mówi, Helen. W jak poważnym stanie są twoi rodzice?

— Sądzę, że... że są umierający.

— Wracaj do domu. Pojadę za tobą samochodem Nory.

Pośpieszyłam do domu, by się przebrać i dokładnie umyć ręce i twarz. Nora leżała na moim łóżku i próbowała zasnąć, ale była taka zmęczona, że tylko się przewracała z boku na bok.

— Twoja babka i dziadek potrzebują opieki — powiedziałam. — Nie możemy ich zostawić własnemu losowi, więc jadę do nich. Chcę, żebyś się rozebrała i położyła spać.

— Dobrze, mamó — odpowiedziała zaspanym głosem.

Nigdy żadne dwa słowa nie sprawiły mi większej radości, ale nie miałam szansy okazać swego zadowolenia. Kiedy wychodziłam, zapadła w kamienny sen, nie

zdążywszy się nawet rozebrać. Nie obudziłam jej, tylko nakryłam ją kocem.

Wzięłam ze sobą trochę ugotowanego przez nas bulionu i pojechałam na Wzgórze. Tym razem drzwi otworzył mi Loran.

— Martha jest chora — wyjaśnił. — Choruje chyba połowa ludności świata. Co się z nami stanie?

— A sprawcą tego wszystkiego jest mikroskopijny, niewidoczny gołym okiem wirus — powiedziałam. — Na tyle jednak potężny, by pokonać największych z nas. Strzeż się go, Loranie. Nie jesteś wyjątkiem.

— Rozumiem, że Deborah jest z tobą.

— Tak — powiedziałam, ale nie wdawałam się w bliższe wyjaśnienia.

Poszliśmy razem na górę. Helen siedziała obok swoich rodziców. Evelyn leżała w wielkim, podwójnym łóżu, dla Gabriela rozstawiono mniejsze, pojedyncze łóżko. Wystarczyło na nich spojrzeć, by domyślić się, że oboje są śmiertelnie chorzy. Przyniosłam z sobą dodatkowy termometr i najpierw zmierzyłam im gorączkę. Żadne z nich nie uważało za stosowne powitać mnie choć jednym słowem, choć oboje byli przytomni. Evelyn miała 38,9°, a Gabriel 40°.

— Czy macie w domu lód? — spytałam Helen.

— Sądzę, że tak.

— W takim razie przynieś mi go tyle, by starczyło na dwa zimne okłady. Może uda mi się spowodować obniżenie gorączki.

Pośpieszyła, by wykonać moje polecenie, choć wykonywanie moich rozkazów niezbyt się jej uśmiechało. Zmoczyłam ściereczkę w zimnej wodzie i przetarłam nią twarz i szyję Evelyn. Potem to samo zrobiłam z Gabrielem.

Nic nie powiedziała. On bąknął coś, co brzmiało jak „dziękuję”. Kiedy wróciła Helen, przygotowałam dwa woreczki z lodem. Potem spytałam o Marthę.

— Jest w swoim pokoju na górze — powiedziała Helen.

— Kiedy po raz ostatni do niej zaglądałaś?

— Nie pamiętam. Przed wyjazdem do miasta po Deborah. Maeve, nie możesz jej nam zabrać. Zabraniam ci. Poruszę niebo i ziemię, by temu zapobiec.

Wypełniłam lodem trzeci woreczek, nalałam do miednicy zimnej wody, wrzuciłam do niej ściereczkę, przerzuciłam sobie ręcznik przez ramię i ruszyłam na ostatnie piętro, gdzie mieściły się pokoje dla służby. Martha leżała w łóżku.

Helen podążyła za mną.

— Kiedy ją ostatni raz widziałam, nie wyglądała najgorzej — powiedziała.

Wręczyłam jej miednicę, ręcznik i woreczek z lodem.

— Nie żyje.

Helen wydała okrzyk przerażenia. Wypchnęłam ją z pokoju. Okryłam zwłoki Marthy prześcieradłem, a następnie kocem i zeszłam na dół. Loran czekał na mnie. Helen widocznie już mu przekazała ostatnią nowinę.

— To ona przywlokła tu chorobę — powiedział. — Wczoraj poszła do miasta.

— Szkoda, że tam nie została — powiedziałam. — Moglibyśmy uratować jej życie. Tutaj nie miała żadnej szansy. Nikt nawet nie zainteresował się jej stanem.

— Zadzwońię po grabarza.

— Nikt nie odbierze telefonu. Grabarz ma zbyt dużo pracy, poza tym brakuje trumien. Kiedy wrócę do miasta, zobaczę, co się da zrobić.

— Wygląda na to — powiedział — że bierzesz na swoje barki olbrzymią odpowiedzialność.

— Z chęcią podzielę się z tobą — odparłam. — Jestem pewna, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, by posiedzieć przy swoim umierającym bracie i jego żonie.

— Czy ich stan jest aż tak poważny?

— Oboje są starzy. Evelyn jest bardzo delikatnego zdrowia. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie przezwyciężą choroby.

— Na Boga — powiedział — sprowadzę lekarza...

— Żaden się nie pojawi — powiedziałam mu. — Tak samo zresztą jak pielęgniarka. Mogłeś się trochę lepiej zapoznać z sytuacją w mieście, Loranie. W tej chwili połowa mieszkańców Cameron leży w łózkach, a druga połowa, nie szcędząc sił, próbuje im pomóc. Ludzie wyczerpani są bardziej podatni na zarażenie. Wszystkiego brakuje. Szpital w Bridgeton nie przyjmie już ani jednego pacjenta, bez

względu na to, kim byłby chory. Tym dwojgu na górze można ulżyć próbując obniżyć im gorączkę, a kiedy dostaną dreszczy, okrywać ich ciepło. Podawajcie im lekkostrawne potrawy. Nie są w stanie samodzielnie jeść. Trzeba ich karmić. Róbcie to, co wam powiedziałam, i nie traćcie nadziei. Może ich stan ulegnie poprawie. Zostawiłam w kuchni bulion. Podgrzejcie go i spróbujcie ich nakarmić, jeśli będą mogli przełykać.

— Czy pomoże mi, jeśli opiję się brandy? — spytał.

— Może. Tego nikt nie wie. Jednak chcę ci zwrócić uwagę na to, że Helen sama nie podoła opiece nad Gabrielem i Evelyn. Od czasu do czasu musi się przespać. Więc dobrze by było, gdybyś się nie upił. Wkrótce przyjdzie kolej na ciebie.

— Niech cię diabli! — wykrzyknął. — Zrobię to, co będę chciał. Uważam, że przesadzasz z oceną powagi sytuacji.

Wróciłam do pokoju chorych i pouczyłam Helen, jak ma karmić swoich rodziców. Znów zmierzyłam im gorączkę. Trochę opadła, ale wiedziałam, że niebawem znów wzrośnie.

— Loran może być zbyt pijany, by ci pomóc — ostrzegłam ją. — Spróbuję znaleźć kogoś, kto przyszedłby po ciało Marthy.

— Potrzebujemy Deborah. Tutaj jest jej miejsce. Należy do nas.

— Jest przeciwnego zdania, Helen. Jeśli zmieni postanowienie, może tu wrócić w każdej chwili. Pójdę już. Nic więcej nie mogę pomóc.

Jaki wielki i ostentacyjny był ten dom — teraz pogrążony w ciszy, wypełniony lękiem i śmiercią. Przeszłam przez pokoje na dole i znalazłam Lorana przy kredensie, popijającego z wysokiej szklanki prawie po brzegi napełnionej brandy. Nie powiedział nic. Ja również nie odezwałam się ani słowem.

Na zewnątrz poczułam, że znów mogę swobodnie odetchnąć. Było już bardzo późno, ale w Cameron czas zatrzymał się w miejscu. Nikt nie zwracał uwagi na to, która jest godzina. Ci, którzy mogli chodzić, dzień i noc otaczali opieką swych najbliższych, których stan albo ulegał stopniowej poprawie albo się gwałtownie pogarszał.

Kiedy wróciłam do domu, Nora wciąż twardo spała. W drugim pokoju Patty zdjęła strój pielęgniarki i rzuciła się w poprzek łóżka, by odpocząć. Nie zbudziłam ich, tylko uważnie przyjrzałam się ich twarzom, by sprawdzić, czy nie widać na nich kropelek potu i pierwszych oznak gorączki. U obu nie dostrzegłam nic niepokojącego.

Glen przyszedł do domu tuż przed trzecią nad ranem. Spałam zwinięta w kłębek w fotelu w salonie i musiał mną mocno potrząsnąć, by mnie obudzić. Opadł ciężko na jeden z foteli.

— Nie ma żadnej poprawy — powiedział. — Kiedy ostatni raz liczyłem, były czterdzieści dwa pewne przypadki grypy i kilkanaście bardzo prawdopodobnych. Maeve, epidemia szerzy się w zastraszającym tempie.

— To właśnie przepowiedziało Patty zwierciadło.

— Mam nadzieję, że kiedy następnym razem w nie spojrzysz, ujrzysz coś przyjemniejszego. Muszę się przespać. W przeciwnym razie zaraz padnę. Zbudź mnie najdalej za dwie godziny. Jest zbyt wielu chorych...

Wstał i położył się na kanapie. Nogi mu wystawały za oparcie, ale nie zważał na to; w ciągu kilku sekund zapadł w sen. Uniosłam mu nogi i położyłam na kanapie, a następnie okryłam go. Potem wyszłam do kuchni, napiłam się kawy, pozmywałam, a następnie zaparzyłam sobie świeżą. Do świtu przesiedziałam na pół odrętwiała.

Nie myślałam o niczym. Mój umysł nie był zdolny do żadnego wysiłku. Zapadłam w stan półsnu, podczas którego wiedziałam, co się dzieje wokół mnie, ale na nic nie reagowałam.

Pozwoliłam Glenowi przespać się cztery godziny, a nie dwie, bo potrzebował wypoczynku. Wiedziałam, że nawet jeśli ktoś na tym ucierpi, inni skorzystają. Z początku był niezadowolony, ale szybko uspokoił się widząc, że moja decyzja była logiczna.

— Dziewczynki — powiedziałam — położyły się dwie, trzy godziny przed tobą i wciąż mocno śpią. Zaraz je zbudzę.

— A potem sama musisz nieco odpocząć — powiedział groźnym tonem. — Wiesz, że nie jesteś z żelaza?

— Pamiętasz Marthę? Tę, która prowadziła dom Cameronów? Umarła ostatniej nocy. Nic nie zrobiłam w jej sprawie. Mówiąc szczerze, nie wiem, co można czy też należy zrobić, choć z całą pewnością nie wolno jej tak zostawić.

— Poślę tam grabarza. Dziś rano nadejdzie transport trumien. Jeśli chcą ją pochować na Wzgórzu, spróbuję podesłać im dwóch ludzi, by wykopali grób. Jednak żadnej mszy.

— To musi poczekać, wiem. Obawiam się, że stan Gabriela i Evelyn jest również bardzo poważny. Gdybyś mógł do nich pójść...

— Pójdę do nich w pierwszej kolejności.

Przygotowałam mu jajka na szynce i kilka grzanek. Rzucił się na jedzenie, jakby od dawna nie miał nic w ustach.

— Glenie, jak poważna jest sytuacja? Jak ją oceniasz w świetle dnia, kiedy nieco odpocząłeś?

— Jest niezwykle poważna. W najczarniejszych myślach nie mógłbym sobie czegoś podobnego wyobrazić, a w Cameron nie jest jeszcze tak źle, jak w innych miastach. Nie wiem, kiedy się to skończy. I nikt nie wie, bo po raz pierwszy mamy do czynienia z taką epidemią. Ostatniej nocy było sześć zgonów. Obawiam się, że dziś rano umrą kolejne cztery osoby. Obserwujesz dziewczynki?

— Tak, najlepiej jak umiem.

— Dobrze, uważaj też na siebie. Pamiętaj, jak szybko atakuje choroba. Im później położysz się do łóżka, tym trudniej będzie ci ją przezwyciężyć. Jak tylko poczujesz się niewyraźnie, rzucaj wszystko i kładź się do łóżka.

— Dobrze, Glenie. Boję się, że to ty się zbyt przpracowujesz.

— Najdroższa, są chwile, kiedy nie można stać bezczynnie. Będę uważał. Dziękuję za śniadanie. Wpadnę, jak tylko znajdę chwilę czasu.

Pierwsza zeszła na dół Patty, wypoczęta, w czystym uniformie, pragnąc jak najszybciej zjeść śniadanie i powrócić do swych obowiązków.

— Jak radziła sobie Nora? — spytała.

— Świetnie. Oczywiście nie tak jak ty, bo brak jej przeszkolenia, ale nie gorzej

ode mnie.

— Czy tatuś dobrze się czuje?

— Przespał się cztery godziny i jakieś pół godziny temu wyszedł do chorych. Zdaje się nie tracić ducha.

— Jeśli się przemęczy, ten wirus dobierze się do niego. Pilnuj taty, by odpoczywał.

— A ty?

— Nic mi nie będzie. Czy wiesz, ilu chorych zmarło ostatniej nocy?

— Twój ojciec powiedział, że sześciu, ale dziś rano spodziewa się zgonu następnych czterech pacjentów. Nie jest nic lepiej, może nawet gorzej. Martha, prowadząca dom Cameronów, też zmarła. Evelyn i Gabriel są w bardzo ciężkim stanie.

— To najstraszniejsza choroba z jaką się zetknęłam. A jak się czuje Nora?

— Odmówiła powrotu do domu na Wzgórzu. Twierdzi, że bardziej jest potrzebna tutaj. Zresztą Helen nic nie dolega i może doglądać rodziców. Loran doszedł do wniosku, że odstraszy zarazki pijąc duże ilości brandy.

— Sądzę, że bałyby się go i trzeźwego.

Szybko zjadła jajka na szynce, wypiła pół filiżanki kawy i była gotowa do wyjścia. Odprowadziłam ją do drzwi.

— Mamusiu, cieszę się, że Nora wróciła — powiedziała szczerze.

— Ja też. Zaraz zejdzie na dół. Poślę ją do fabryki, żeby ci pomagała.

— Wierz mi, że jej pomoc będzie bardzo potrzebna.

Ktoś zadzwonił ze szpitala z informacją o zgonie dwóch następnych mieszkańców naszego miasta. Miał również więcej danych na temat epidemii. Poprosił, bym przekazała je Glenowi.

— Rozprzestrzeniła się jak kraj długi i szeroki — powiedział mi. — Jest tyle przypadków śmierci, że nie ma czasu, by dokładnie rejestrować wszystkie zgony. Proszę powtórzyć Glenowi, że Departament Zdrowia z Waszyngtonu zaleca przedsięwzięcie wszelkich kroków ostrożności. Żadnych zgromadzeń, szkoły, kina,

tory wyścigowe, kościoły mają pozostać zamknięte, należy odradzać zwoływanie wszelkiego rodzaju spotkań. Zalecają również, żeby jak najwięcej przebywać poza domem, na świeżym powietrzu, jeść potrawy lekkostrawne i dużo odpoczywać. Nie przemęczać się. To może być niebezpieczne. Picie whisky nic nie pomoże. Podczas kontaktu z chorymi należy nosić na twarzy maseczki.

— Już postępujemy zgodnie z tymi sugestiami — powiedziałam mu. — Poinformuję Glena, kiedy tylko pojawi się w domu.

Glen wrócił w środku dnia, bo musiał się ogolić i przebrać w czyste ubranie. Był zmęczony, ale zadowolony, bo nie zanotowano już nowych przypadków grypy.

— Może epidemia wygasa — powiedział.

Poinformowałam go o telefonie ze szpitala.

— Glenie, powiedzieli, że sytuacja ulegnie jeszcze pogorszeniu.

— Cholera! — wykrzyknął bezradnie. — Dziś rano poszedłem do Cameronów. Gabe'owi jakby nieco się polepszyło. Evelyn jest wyraźnie słabsza. Trudno orzec, czy z tego wyjdą.

— Helen jest zdrowa?

— Tak, jeszcze tak. Loran musiał się chyba wykapać w whisky lub w jakimś innym alkoholu, choć był dość trzeźwy. Bardzo się przejmuję wpływem epidemii na stan interesów.

— To do niego podobne. A co z ciałem Marthy?

— Załatwiłem pochówek na Wzgórzu. Miałaś jakieś wiadomości od dziewcząt?

— Nie. Są zbyt zajęte, by wpadać do domu lub przekazywać informacje przez kogoś. Patty wstała wcześniej. Nora wyszła z domu dwie godziny temu. Nawet nie zdążyłyśmy porozmawiać.

— Nie miałem cię nawet okazji spytać, jak zareagowali Cameronowie, kiedy zaproponowałaś im odsprzedanie udziałów.

— Skwapliwie zgodzili się na moją propozycję. Zdaje się, że dzisiaj mieli przekazać gotówkę do banku. Straciłam rachubę czasu. Nieważne, i tak nie będę się tym zajmowała, dopóki nie wygaśnie epidemia.

— Nawet gdybyś chciała, wątpię, byś cokolwiek mogła zrobić w tej sprawie. Jak to się stało, że Nora przyjechała do miasta?

— Powiedziała mi, że nie miała nic wspólnego z próbą otrucia mnie. Nie uwierzyłam jej i powiedziałam jej to. Rozstałyśmy się w nieprzyjemnej atmosferze. Ale kiedy przyjechała do miasta po wybuchu epidemii, przysięgła, że nic nie wiedziała o spisku na moje życie i tym razem uwierzyłam jej. Powinna być to zrobić na samym początku.

— Zamierza pozostać z nami?

— Sądzę, że tak. Myślę, że sama jeszcze tego nie wie. Nie pora teraz na podejmowanie takich decyzji i nie będę wywierała na nią nacisku. Wiem jedynie, że mam teraz obie moje córki. Jestem z nich taka dumna, że gotowa jestem o tym rozgłaszać ze szczytu wieży.

— Cieszę się. Sprawiasz wrażenie zmęczonej. Czy choć trochę spałaś?

— Cóż... szczerze mówiąc nie...

Chwycił mnie za rękę.

— Chodźmy. Razem trochę odpoczniemy. Jeśli nam pozwolą.

Rozdział siedemnasty

Przez następne dziesięć dni epidemia pustoszyła kraj i nasze miasteczko. Na pięćdziesięciu chorych trzydziestu odzyskiwało zdrowie, stan dziesięciu ulegał lekkiej poprawie, pozostali umierali, często tak szybko, że nawet nie było czasu na udzielenie im jakiegokolwiek pomocy. Zresztą i tak niewiele mogliśmy zrobić. Walczyliśmy o czyjeś życie, czasami wydawało nam się, że wyrwaliśmy kogoś ze szponów śmierci — a godzinę później osoba ta umierała. Było to tak zniechęcające i przerażające, że w końcu nie byliśmy zdolni do okazywania żalu i współczucia.

Umarła Evelyn. Helen przybiegła do miasta po pomoc. Nikt nie mógł odszukać Glena, a Patty odmówiła opuszczenia prowizorycznego szpitala, gdzie była tak potrzebna.

— Ja pójdę — powiedziałam Helen. — Norze lepiej teraz o tym nie mówić.

— Pozbawiłaś nas pociechy, którą mogłaby dać swej babce — powiedziała ze złością Helen. — I pomocy, która wszystkim nam by się przydała. Jej miejsce jest wśród nas, a nie z tymi... z tymi... ludźmi...

— Pojawię się u was najszybciej, jak tylko będę mogła — powiedziałam. — Jeśli odzujesz Norę i wymusisz na niej, by poszła z tobą, postaram się, byś sama musiała się wszystkim zająć, gdy cokolwiek się stanie na Wzgórzu. A to oznacza również kopanie grobów, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Zbladła na samą myśl o tym i przestała się awanturować. Kiedy znalazłam się w siedzibie Cameronów, przekonałam się, że Helen mnie nie okłamała. Evelyn umarła w nocy. Spojrzałam na Gabriela, który był ledwo przytomny. Nic nie mogłam dla niego zrobić. Wróciłam do pokoju, do którego przeniesiono Evelyn, kiedy jej stan uległ pogorszeniu. Tam okryłam jej ciało, podobnie jak uczyniłam to poprzednio ze zwłokami Marthy.

Zeszłam na dół. Loran siedział skulony w jednym z foteli. W pokoju panował bałagan, meble pokrywała gruba warstwa kurzu, cały dom domagał się wietrzenia.

— Umarła około trzeciej nad ranem — powiedział Loran nie unosząc głowy. —

Po prostu zamknęła oczy i... i wyzionęła ducha.

— Gabriel może umrzeć dziś w nocy — powiedziałam mu.

— Nigdy nie był dobrego zdrowia, a choroba bardzo go osłabiła.

— Nawet gdyby twój mąż go zbadał, niewiele mógłby mu pomóc, prawda?

— Tak. Zresztą wątpię, czy by przyszedł. Musi przede wszystkim poświęcić się tym, których można uratować.

— W mieście sytuacja nie uległa poprawie?

— Nie, przynajmniej nie dostrzegamy żadnych oznak poprawy. Uważam, że mógłbyś nieco pomóc.

— W mieście, wśród tych wszystkich chorych ludzi? O nie! Tutaj też jest dosyć chorych. Nie pojedę do miasta. Nie mam zamiaru nawet ruszyć palcem w bucie, by komukolwiek pomóc. Zresztą uważam, że i tak wszyscy umrą.

— Jest coś, co będziesz musiał zrobić — powiedziałam mu.

— Wykopać grób dla Evelyn... a niebawem może także dla Gabriela. Nie będzie nikogo, kto by to za ciebie zrobił.

— Przecież zjawili się ludzie, by pochować Marthę.

— Wtedy sytuacja nie była jeszcze taka poważna. Teraz nie będzie tego komu zrobić.

Wstał, odniosłam wrażenie, że nieco niepewnie.

— Co zrobiłaś z dokumentami, w których przekazywałaś nam pełną kontrolę nad fabryką?

— Nic. Absolutnie nic.

— Obiecałaś, że złożysz je w banku...

— Bank od kilku dni jest zamknięty. Przed odjazdem zajrzę jeszcze raz do Gabriela. Najprawdopodobniej już się tu nie pokażę. Sami musicie sobie jakoś radzić.

Gabriel był nieprzytomny, majaczył w gorączce. Helen siedziała w pokoju obok otwartego na całą szerokość okna, najdalej jak tylko było można od łóżka. Przeszłam przez pokój i zamknęłam okno.

— Już prawie listopad, jest chłodno — przypomniałam jej. — Pacjenta nie wolno przechłodzić.

— Mówią, że zdrowi powinni oddychać świeżym powietrzem...

— To wyjdź na dwór albo do drugiego pokoju.

— Lubisz wydawać rozkazy, prawda? Nienawidzisz nas wszystkich.

— Helen — odparłam cierpliwie — jestem zmęczona. Od prawie trzech tygodni nie miałam okazji porządnie odpocząć. Przez cały ten czas spotykam się jedynie z chorobą i śmiercią. Nie mam ochoty się z tobą sprzeczać.

— Moja matka żyłaby, gdybyś nie zabroniła swojemu mężowi przychodzić tu i opiekować się nią. Teraz też powinien tu być, by zająć się moim ojcem.

— W mieście jest blisko dwustu chorych tutaj tylko dwoje. Zarówno ty, jak i Loran jesteście w stanie całkiem dobrze się nimi zająć. Helen, Cameronowie już nie rządzą tym miastem. Rządzi w nim hiszpańska grypa. I wierz mi, że posiada większą władzę od waszej.

— Nie dostaniesz Deborah — powiedziała.

— Helen, w tej chwili to najmniej ważne. Na tym łóżku leży twój umierający ojciec, a ty potrafisz myśleć wyłącznie o sobie. Nie wiem, co się stanie, kiedy to wszystko się skończy. Może wszyscy umrzemy. Sądząc po tym, jak epidemia się szerzy... — Zamknęłam oczy i odwróciłam się. — Nie chciałam tego powiedzieć. Ale wszelkie problemy istniejące między mną i tobą albo Norą i mną, jeśli takie istnieją, mogą poczekać. Wszystko może poczekać, jedynie śmierć nie czeka, ty niemądra, samolubna kobieto.

Wzburzona opuściłam pokój i nie poszłam nawet do Lorana, żeby mu powiedzieć, że odjeżdżam. Wsiadłam do samochodu i wróciłam do miasta. Zjeżdżając ze wzgórza przypomniałam sobie, jak kiedyś zastąpiłam Helen drogę i wyjęłam Norę z wózka, by potrzymać ją w ramionach. Pamiętałam, jak Helen zwymyślała mnie. Wydawało mi się, że miało to miejsce tak dawno temu. Pojechałam do fabryki, w której Glen utworzył prowizoryczny szpital.

Patty, w poplamionym fartuchu, właśnie skończyła obchód sali i zapisywała

temperaturę na karcie choroby zawieszanej na poręczy ostatniego łóżka. Spróbowała się uśmiechnąć, ale okazało się to zbyt trudne. Wzięłam ją pod ramię i zaprowadziłam do gabinetu Lorana. Tam zmusiłam ją do położenia się na wielkiej skórzanej sofie, na której lubił wylegiwać się Loran.

— Czemu nie powiedziałaś mi nic o tej kanapie? — spytała z wyrzutem. — Mogłabym ją wykorzystać... Och, mamó, wybacz mi. Jestem taka zmęczona.

— Gdzie Nora?

— Pierze i prasuje moje fartuchy. Czy potrafisz sobie ją wyobrazić przy takim zajęciu? Nie musiałam jej nawet o to prosić, po prostu wzięła je i zabrała się do pracy. Jest równie zmęczona jak ja. Widziałaś ojca?

— Nie — powiedziałam dziwnie zaniepokojona. — Nic mu nie jest?

— Jest chyba z żelaza. Pracuje bez chwili odpoczynku.

— Czy widać jakieś oznaki poprawy?

— Tata uważa, że tak. Dziś rano przez kilka godzin mieliśmy wolne dwa łóżka, co przedtem się nie zdarzało. Och, mamó, to się musi wkrótce skończyć. Nie wytrzymamy już długo.

— Wiem. Evelyn umarła, a Gabriel nie przeżyje tej nocy. Powiem Norze, jak ją zobaczę.

— Jeśli ci się to nie uda... ja spróbuję... — Patty zamknęła oczy i natychmiast usnęła.

Opuściłam żaluzje w oknach. Nie było koców, niczego, czym mogłabym ją okryć. Na paluszkach wyszłam z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Spytałam o Norę. Ktoś mi powiedział, że poszła do domu. Ta wiadomość przeraziła mnie, póki nie domyśliłam się, że chodzi o mój dom, a nie o siedzibę Cameronów. Natychmiast pojechałam do siebie.

Nora była w kuchni i prasowała fartuchy. Całą twarz pokrywały jej kropelki potu, wilgotne włosy przyklejały się do czoła.

— Nie najlepiej mi to idzie — wyznała — ale staram się jak mogę.

— Świetnie sobie radzisz — powiedziałam. — Pozwól, że ja dokończę.

— Nie, proszę. Sama muszę to zrobić. Muszę, mamó.

— Dobrze. — Usiadłam przy kuchennym stole. — Moja droga, w takich chwilach jak ta człowiekowi potrzebna jest odwaga. Mam dla ciebie smutne wiadomości.

— Ze Wzgórza? — spytała nie przerywając pracy.

— Ostatniej nocy zmarła twoja babka. Twój dziadek jest ciężko chory.

— Tak, spodziewałam się, że nie pokonają choroby. — Na chwilę zamknęła oczy. — Byli starzy i niezbyt silni. — Z największym trudem udawało jej się ukryć smutek.

— Helen i Loran wydają się być zdrowi.

— Cieszę się. — Zdawała się wrócić do realnego świata.

— Patty właśnie mi powiedziała, że epidemia jakby przestała się rozszerzać.

— Nie zauważyłam żadnej poprawy. Mamó, nienosisz już maseczki?

— To takie kłopotliwe, a ludzie noszący maski też zapadali na grypę.

— Ja przestałam ją nosić z tej samej przyczyny. Mniej więcej godzinę temu widziałam Glena. Wyglądał strasznie.

Wstałam pośpiesznie.

— Gdzie go widziałas?

— Szedł ulicą Main, wstępując do wszystkich domów po kolei.

— Dziękuję ci. Spróbuję go odszukać.

Jechałam wolno wzdłuż ulicy. Ostatnio Glen nie korzystał z samochodu; twierdził, że łatwiej mu iść od pacjenta do pacjenta na piechotę, tylu ich było. W końcu musiałam stanąć przy krawężniku i po prostu obserwować ulicę, póki nie ujrzałam, jak wychodzi z jednego z domów. Zawołałam go i podjechałam bliżej.

Twarz pokrywał mu co najmniej dwudniowy zarost. Był blady i wymizerowany, oczy miał przekrwione, powieki mu ciążyły, jakby były z ołowiu.

— Wsiadaj — powiedziałam. — Zabieram cię do domu.

— Nie mogę... jest zbyt wielu chorych...

— Jesteś tak samo chory, jak twoi pacjenci. Albo wkrótce będziesz, jeśli

natychmiast nie odpoczniesz. Glenie, proszę... wsiądź do samochodu. Musisz przynajmniej coś zjeść.

Wszedł na stopień i w końcu zwałił się na siedzenie obok mnie.

— Jestem zmęczony — przyznał. — Masz rację. Powinienem odpocząć. Musiał mi ktoś o tym powiedzieć.

Kiedy dotarliśmy do domu, Nora była gotowa, by jechać do fabryki z fartuchami Patty. Spojrzała na Glena i ze współczuciem pokiwała głową, ale nie powiedziała ani słowa, za co byłam jej wdzięczna. Nakarmiłam Glena, choć niezbyt mu dopisywał apetyt. Potem zmusiłam go, by poszedł na górę, rozebrał się i położył do łóżka. Zanim opuściłam pokój, już zapadł w sen.

Poszłam do kuchni i nalałam sobie filiżankę kawy. Usiadłam i zaczęłam zastanawiać się nad tragedią, która nas dotknęła. Na pewno w Cameron znajdą wielkie zmiany. Po śmierci Evelyn i Gabriela właścicielkami fabryki zostaną ja i Helen. Dysponowałyśmy taką samą ilością udziałów. Chyba że zrealizuję mój pierwotny zamiar i sprzedam moje udziały. W tej chwili nie wiedziałam co zrobić. Korciło mnie, by wślizgnąć się do sypialni i poradzić zwierciadła, ale doszłam do wniosku, że nie jest na to odpowiednia pora. Poza tym bałam się go. Przepowiadało same katastrofy.

Byłam bardzo zmęczona, ale potrafiłam jasno rozumować. Glen miał szansę zostać dyrektorem wielkiego, nowego szpitala. Wiedziałam, że od lat o tym marzył. Póki zachowam udziały w fabryce, wątpiłam, by opuścił Cameron, więc najlepiej będzie, jeśli się ich pozbędę. Wtedy wyłączną właścicielką fabryki zostanie Helen. Ale co będzie, jeśli coś jej się stanie? Niewątpliwie wszystko odziedziczy Nora. W tle cały czas czekał na swoją szansę Loran. Wiedziałam bardzo dobrze, że jeśli Loran dostrzeże choćby najmniejszą okazję, by przejąć kontrolę nad fabryką, skwapliwie z niej skorzysta, nie zważając na to, co będzie zmuszony zrobić, by zrealizować swój zamiar. Nie sądziłam, by miał jakieś kłopoty z Helen. Zresztą nigdy nie interesowała się fabryką i po zakończeniu wojny chciała znów wyjechać za granicę. Wtedy uświadomiłam sobie, że ostatecznie właścicielem fabryki zostanie Loran. Bardzo możliwe, że uknuł cały plan i tylko czeka na okazję, by wprowadzić go w życie,

gotów wykorzystać wszystko, by osłabić władzę, jaką posiadali nad fabryką jego brat i bratanica.

Wypuściłam filiżankę z dłoni. Głośno stuknęła o spodeczek. Może nawet — a myśl ta rozpałała moją wyobraźnię — posunie się do tego, by pozbawić swoją bratanicę życia. Już dwadzieścia lat temu przygotował scenę do obecnych wydarzeń. Dotąd ani razu nie przyszło mi to do głowy, ale teraz myśl ta opętała mnie z niesłychaną mocą. Nagle Loran znalazł się w sytuacji umożliwiającej mu zaspokojenie życiowych ambicji. Pozbycie się Helen nastąpi gładko i bez wstrząsów. Wystarczy ją wyprawić daleko stąd, jeśli to możliwe razem z Norą. Wtedy nikt już nie będzie mu się sprzeciwiał. Nawet ja!

Jeśli odmówię sprzedania swoich udziałów, stanę się jego wrogiem. Może zawsze nim byłam.

*

Glen obudził się dopiero o siódmej wieczorem. Ani Patty, ani Nora nie wróciły do domu, więc kiedy Glen golił się i mył, przygotowałam mu kolację.

Kiedy zszedł na dół, byłam tak wstrząśnięta jego wyglądem, że nie potrafiłam tego ukryć. Jego gładko ogolona twarz była strasznie blada i zmęczona. Oczy miał zapadnięte i rozbiegane. Nawet nie złościł się na mnie o to, że pozwoliłam mu tak długo spać, gdy powinien ten czas poświęcić swym pacjentom. Miał jednak świeże wiadomości.

— Ubiegłej nocy rozmawiałem z doktorem Burnette z Bostonu. Jest członkiem Departamentu Zdrowia stanu Massachusetts. Uważa, że epidemia wygasa.

— Och, Glenie, gdyby to była prawda.

— Cóż, nie zaszkodzi ludzić się nadzieją. Tutaj niezbyt dobrze zdawaliśmy sobie sprawę ze spustoszeń, jakie poczyniła choroba. Powiedział mi o tym Dick Burnette ostatniej nocy. Do dnia dzisiejszego w samym stanie Nowy Jork umarło czterdzieści pięć tysięcy ludzi. Każdego dnia notowano setki zgonów. W Filadelfii wskaźnik umieralności jest siedemset razy wyższy od normalnego. Raporty, napływające z całego świata, nie są zbyt ścisłe, ale szacuje się, że może nawet

dwadzieścia milionów ludzi umarło na grypę.

— Dwadzieścia milionów! — wykrzyknęłam.

— W ciągu trzech, czterech miesięcy ten diabelski wirus zabił więcej ludzi niż czteroletnie działania wojenne. W Niemczech również szerzy się epidemia. Nikt się przed nią nie uchronił. Choroba dziesiątkowała armie. Kiedy statki z posiłkami kierowanymi do Francji przybijały do brzegu, połowa żołnierzy była złożona chorobą, wielu nie żyło. Jesteśmy świadkami jednej z największych katastrof w dziejach ludzkości.

Pokiwałam z przerażeniem głową.

— Uczono mnie, że nie było i nie będzie nic gorszego niż klęska głodu wywołana nieurodzajem kartofli w Irlandii. Ale to...

— Miejmy nadzieję, że wkrótce będzie po wszystkim. Bo muszę przyznać, że jestem już u kresu sił.

Przyjrzałam mu się uważnie.

— Glenie, jeśli dziś wieczorem nie odwiedzisz pacjentów, czy wzrośnie liczba zgonów wśród chorych?

— Nie wiem. Zdają się umierać bez względu na to, co robię.

— W takim razie dziś wieczorem nigdzie już nie pójdziesz. Jeśli ktoś przyśle po ciebie, powiem, że nie mogę cię znaleźć. Glenie, nalegam.

Wolno skinął głową.

— Nie musisz nalegać. Mówiąc szczerze czuję się okropnie.

— Czy to grypa? — spytałam zaniepokojona.

— Pewnie tak. Boli mnie gardło, mam zawroty głowy i jestem coraz słabszy. Wiedziałem o tym, jak się tylko obudziłem.

— Zrobiłeś wszystko co w ludzkiej mocy. Patty i Nora zajmą się chorymi, a ja im pomogę. Chcę, byś wrócił teraz do łóżka. Proszę, Glenie, nie sprzeciwiaj mi się.

— Nie mam siły opędzić się nawet przed komarem — wyznał. — Przynieś, proszę, na górę, trochę tego żółtego płynu do płukania gardła. I moją torbę lekarską. Chcę, żebyś mi zmierzyła temperaturę.

Nie opierając się pozwolił się położyć do łóżka, co było dowodem na to, jak bardzo był chory. Miał 38,9°. Gorączka mogła się jeszcze podnieść.

Mniej więcej godzinę później pojawiła się Nora i natychmiast zajęła moje miejsce przy łóżku Glena. Szybko uczyła się od Patty i była z niej już zupełnie niezłą pielęgniarka. Kiedy Patty wróciła do domu, byłam akurat na dole. Natychmiast spostrzegła ślady łez na mej twarzy.

— Tatuś? — spytała zaniepokojona.

— Dopadła go choroba — powiedziałam. — Obawiam się, że bardzo z nim kiepsko. Jest zupełnie wyczerpany. Nie ma sił, by walczyć z grypą. Teraz jest z nim Nora, więc nie musisz natychmiast do niego biec. Nie odżywasz się regularnie i chcę, żebyś najpierw zjadła porządną kolację. Nalegam, Patty. Co ja zrobię, kiedy zostanę sama z dwójką, a może nawet trójką chorych?

Patty jadła bez apetytu, a ja powtarzałam jej fakty i dane liczbowe, o których powiedział mi Glen. Była równie wstrząśnięta jak ja, kiedy dowiedziała się, ile zgonów spowodowała epidemia.

— Dziadek i babcia Nory nie żyją — powiedziałam jej. — Nie jestem pewna, czy już ci o tym mówiłam. Czuję zamęt w głowie. Tak czy inaczej zakomunikowałam Loranowi, że sam będzie musiał ich pochować. Między mną i Helen doszło do ostrej wymiany zdań.

— Zastanawiam się, czemu ta para niewdzięczników się nie rozchorowała — mruknęła Patty.

— Wraz ze śmiercią Cameronów wszystko się zmieni — powiedziałam. — To nie będzie już to samo miasto ani ta sama fabryka.

— Pójdę zmienić Norę — powiedziała Patty. — Też jest zmęczona, choć nie chce się przyznać. Pamiętasz, jak kiedyś mówiłam, że jest wyniosła? Mamo, nigdy w życiu nie pomyliłam się bardziej niż w jej wypadku. Gdybyśmy tylko mogły się razem wychowywać...

— Razem z twoim ojcem chcieliśmy, by tak było, ale... ci ludzie ze Wzgórza...

— Wiem, mamo. Nie mam do ciebie pretensji, podobnie jak Nora. Kiedy

najgorsze minie, będziemy sobie mieli tyle do powiedzenia. Nora zasypała mnie mnóstwem pytań, na które nie potrafię odpowiedzieć. Ja sama też chciałabym zapytać o to i owo.

— Wszystko sobie w odpowiedniej chwili wyjaśnimy — powiedziałam. — Biegnij teraz.

— Przyślę Norę na dół...

— Nie. Chcę odwiedzić pacjentów Glena. Kiedy się obudzi, będzie natychmiast chciał robić obchód, jeśli się nie dowie, że go wyręczyłam. Nie martw się o mnie. Od czasu do czasu ucinałam sobie drzemkę. Nic mi nie będzie.

Wzięłam książkę wizyt Glena, dzięki której mogłam ułożyć sobie plan wizyt. Dowiedziałam się również z niej, jaki był stan poszczególnych osób podczas ostatniej u nich wizyty Glena. Notatki Glena były skąpe, bo ciągle gdzieś się spieszył, ale wystarczyły, bym wiedziała, czego się spodziewać w poszczególnych domach.

Podczas następnych trzech godzin poznawałam męczarnie, które musiał znosić Glen. Jednak był jakiś promyk nadziei, bo nie zanotowałam ani jednego przypadku zgonu i poinformowano mnie tylko o dwóch nowych przypadkach choroby. Starłam się przede wszystkim maksymalnie obniżyć gorączkę u chorych, instruowałam krewnych, jak się mają opiekować swymi bliskimi, jak dbać o czystość, bo wszystko wskazywało na to, że brak higieny ułatwiał rozprzestrzenianie się grypy.

Kiedy wróciłam do domu, Patty i Nora siedziały przy łóżku Glena. Były głęboko zaniepokojone jego stanem. Po pobieżnym zbadaniu Glena zaniepokoiłam się jeszcze bardziej niż one. Jednak mimo to musiałam zachować spokój i opanowanie.

— Idźcie do fabryki. Nie ma tam nikogo, kto mógłby pokierować innymi, co na pewno niekorzystnie odbiło się na samopoczuciu chorych. Ja zajmę się Glenem. Nikt tego nie zrobi lepiej ode mnie. Biegnijcie teraz i pamiętajcie, żeby odpoczywać, kiedy tylko poczujecie zmęczenie. Wydaje mi się, że najgorsze już mamy za sobą, ale nigdy nie można być niczego do końca pewnym.

— Mamo, niepokoi mnie stan ojca. Gorączka nie spadła i ojciec wyraźnie słabnie. Męczyły go również napady kaszlu, choć teraz minęły.

— W takim razie choć za to możemy być wdzięczne — powiedziałam.

— Czasami chorzy są zbyt osłabieni, żeby nawet kaszleć. Jest to najbardziej niebezpieczny moment choroby. Jeśli gorączka podniesie mu się choć o parę kresek, proszę, przyślij po mnie.

— Moja droga, czy jest coś takiego, co możesz zrobić ty, a czego nie potrafiłabym zrobić ja?

— Mogę z nim być — powiedziała.

Przyciągnęłam ją do siebie i uścisnęłam mocno.

— Przepraszam, kochanie. To naturalne, że chcesz z nim być. Jestem z ciebie dumna.

— Mamo, ojciec może... może umrzeć. Byłam już świadkiem tylu zgonów. Ciężko mi o tym mówić, ale musisz być gotowa na najgorsze...

— Tak, Patty, wiem. Wydaje mi się, że wiedziałam o tym, kiedy tylko wrócił do domu i bez oporu zgodził się położyć do łóżka.

— Czy spoglądałaś w zwierciadło? — spytała.

— Nie. Zabrakło mi odwagi.

— Myślałam o poradzeniu się zwierciadła, ale też tego nie zrobiłam. — Nora wyłoniła się z pokoju, który sobie obrała za swój. — Myślę, że lepiej będzie, jak już pójdziemy.

— Uważajcie na siebie — powiedziałam.

Potem weszłam do pokoju, który dzieliłam z Glenem i usiadłam obok łóżka, starając mu się w miarę swoich niewielkich możliwości ulżyć, gdy chrapliwie chwycił powietrze. Przyniosłam inhalator wypełniony olejkiem tymolowym i eukaliptusowym. O świcie zaczął oddychać lżej, ale ciągle spał i bałam się, że z normalnego snu zapadł w stan nieświadomości.

Puls miał coraz słabszy, chwilami nitkowaty, co mnie mocno zaniepokoiło. Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, jak jeszcze mogłabym mu pomóc, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Zrobiłam wszystko, co było w ludzkiej mocy. Reszta zależała od Glena, od sił obronnych jego organizmu.

O siódmej wróciła Nora. Patty przysłała ją, by mnie zmieniła.

— Ja posiedzę przy Glenie — powiedziała — a ty przez ten czas odpocznij. Potem ja trochę odpocznę, a później przyjdzie Patty, żeby cię zmienić. Będziemy czuwać przy nim na zmianę.

— Niedobrze z nim, Noro. Wydaje mi się, że jest coraz słabszy.

— Ja nigdy nie tracę nadziei. Widziałam już pacjentów w gorszym stanie, którzy przewycięzali chorobę. Proszę, idź teraz trochę odpocząć.

Nie przygotowałam sobie śniadania, tylko w ubraniu położyłam się na łóżku. Zsunęłam jedynie buty, które z hałasem spadły na podłogę. W chwilę potem już spałam.

Obudziłam się w południe. Przy łóżku Glena siedziała, drzemiąc, Nora. Kiedy otworzyłam drzwi, ocknęła się. Dała mi znak, bym nie wchodziła i po chwili wyszła do mnie na korytarz.

— Poruszył się kilka razy, jakby się budził, i nie chcę mu przeszkadzać. Temperatura wzrosła mu o osiem kresiek, ale godzinę temu opadła o trzy kreski. Przykładam mu na czoło zimne okłady i wycieram gąbką przeguby rąk.

— Nie obudził się? — spytałam.

— Nie, ani razu. Ani na chwilę nie otworzył oczu.

— Czy możesz przy nim posiedzieć jeszcze kilka minut?

— Oczywiście. Tak długo jak będziesz chciała.

Uśmiechnęłam się blado.

— Ledwo się trzymasz na nogach. Zrobię śniadanie, zjem jak najszybciej, a dla ciebie zostawię wszystko na stole. Kiedy się najesz, połóż się. Obudzę cię, kiedy trzeba będzie iść do fabryki, żebyś mogła zmienić Patty.

— Za dwie godziny — powiedziała Nora. — Ani minuty dłużej. Patty musi być wykończona.

— Za dwie godziny — zgodziłam się i pośpieszyłam na dół.

O wyznaczonej przez nią porze wysłałam ją do fabryki, a sama usiadłam przy Glenie zastanawiając się, czy istnieje choćby cień szansy, że wyzdrowieje. Patty

przyszła do domu. Po opuszczeniu pokoju chorego, zanim zdążyła dobiec do swojej sypialni, wybuchnęła płaczem. Usnęła, obudziłam ją trzy godziny później. Podczas gdy się myła, przygotowałam jej coś do jedzenia, a potem wyprawiałam do fabryki. Sama usiadłam przy łóżku Glena. Było to bardzo frustrujące czuwanie, bo nie mogłam zrobić nic dla tego dzielnego, wspaniałego człowieka, który tyle uczynił dla innych, a teraz jemu samemu groziło niebezpieczeństwo śmierci. Modliłam się za niego i przeklinałam zarazę, która zdawała się niszczyć cały świat.

Glen przeżył jeszcze trzydzieści sześć godzin i wtedy, kiedy epidemia wyraźnie zaczęła wygasać, umarł cicho, nie odzyskawszy nawet przytomności.

Nawet gdyby epidemia dalej trwała czy przybierała na sile, nie byłabym w stanie niczego zrobić. Byłam wykończona, trwałam w jakimś odrętwieniu. Pochowaliśmy Glena dwie godziny po jego śmierci, w prostej trumnie. Nie musiałyśmy błagać grabarzy ani przekupywać ich. Stawił się tłum ochotników. Zgodnie z rozporządzeniem Glena nie było mszy żałobnej, choć procesja zatrzymała się przed kościołem na tyle długo, że ksiądz zdążył pobłogosławić trumnę ze zmarłym. Następnie ruszyliśmy na cmentarz, na którym ostatnio pojawiło się tyle świeżych mogił.

Patty i Nora były jedyną moją podporą podczas całej ceremonii. Byłam zbyt zmęczona i otepiała, by logicznie myśleć. Kiedy było już po wszystkim, Patty dała mi silny proszek nasenny i położyła mnie do łóżka. Spałam osiemnaście godzin. Był to głęboki sen, pozbawiony marzeńsennych. Zbudziłam się czując się znacznie lepiej. Przypomniałam sobie, co się stało i zalałam się łzami. Płakałam, póki zupełnie nie opadłam z sił. Mój ból uśmierzyła dopiero myśl, że moje łzy i tak nic nie pomogą.

Wzięłam długą gorącą kąpiel. Hałas, wywołany przez płynącą rurami wodę, sprowadził do mojej sypialni Norę. Zanim weszła, zdążyłam się już wytrzeć i częściowo ubrać.

— Dopiero przyszłam — wyjaśniła Nora. — Spałaś prawie okrągłą dobę.

— Dziękuję, że mnie nie budziłyście — powiedziałam. — Czuję się lepiej. W jakim stanie jest Patty?

— Jakoś się trzyma. Jest zmęczona, ale sytuacja zaczyna się poprawiać. Zanotowano tylko jeden nowy przypadek, i to niegroźny. Nie stwierdzono ani jednego zgonu więcej i Patty odesłała część chorych ze szpitala do domów. Jeśli można tak nazwać to, co urządziliśmy w fabryce.

— Cieszę się — powiedziałam. — Wyglądasz na zmęczoną.

— Nic mi nie jest. Razem z Patty mamy teraz więcej czasu na sen. Zadzwoiła do Bostonu i dowiedziała się, że wszędzie epidemia wygasa.

— Rozumiem — powiedziałam. Odwróciłam się, bo przypomniałam sobie Glena, ale po chwili znów stanęłam twarzą do niej i wyciągnęłam rękę. — Noro, wybacz mi. Jestem samolubna w swej żałobie, a nie mam do tego prawa. Przez kilka ostatnich tygodni wszyscy ryzykowaliśmy naszym życiem. Glen złożył swoje w ofierze, co sprawia, że jestem z niego dumna. Tak samo, jak jestem dumna ze swych obu córek.

Położyła głowę na moim ramieniu i zapłakała cicho, jakby również do tej pory wstrzymywała łzy. Przemawiałam do niej łagodnie, aż w końcu uspokoiła się i pomogła mi dokończyć się ubierać.

— Mamy do omówienia wiele spraw — powiedziałam jej. — Trzeba podjąć szereg decyzji. Wszystko uległo zmianie.

— Czy sprzedasz swoje udziały w fabryce? — spytała.

— Nie widzę sensu pozbywania się ich teraz. Jeśli chcesz, z największą chęcią przekażę je tobie. Uzyskasz pozycję równą Helen. Jestem pewna, że lepiej dojdiesz z nią do porozumienia niż ja.

— Mamo, nie mogę zostawić tej fabryki.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Twój ojciec też nie chciałby, żeby do tego doszło.

— Muszę zostać. Fabryką nadal będzie kierował Loran, ale zamierzam wprowadzić pewne zmiany. Nie przyjmę twoich udziałów, mamo, ale zrealizuję zamierzenia, które nakreśliłaś. Helen będzie się starała za wszelką cenę mnie powstrzymać, podobnie jak Loran. Szczególnie Loran, ale sądzę, że dam sobie z nimi radę.

— Powinno ci się dobrze współpracować z Helen. Wychowała cię. Spędziłaś z nią większość swego życia.

— Myślałam o niej. Czy to możliwe, by zmusili ją do tego, co zrobiła? Do udawania, że jest moją matką?

— Moja droga, nawet jeśli ją do tego zmusili, nawet gdyby jej grozili w razie odmowy podporządkowania się, postąpiła źle. Nie mogę jej tego wybaczyć, ale rozumiem ciebie.

— Pragnęła dla mnie wszystkiego co najlepsze.

— To oczywiście dobrze o niej świadczy. Och, o czym my rozmawiamy? Przecież nie musimy natychmiast podejmować żadnych decyzji.

— Czy będziesz miała coś przeciwko temu, jeśli wrócę na Wzgórze i zobaczę, jak tam stoją sprawy? Żebym mogła przewidzieć, co zamierzają.

— Nie ulega wątpliwości, że ktoś musi to zrobić. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś tam poszła. Ostatecznie są twoimi krewnymi... a zostało ich już tylko dwoje.

— W takim razie gdy tylko razem z Patty dojdziemy do wniosku, że epidemia się skończyła, pójdę na Wzgórze. A teraz pobiegnę do fabryki i przyślę Patty do domu.

— Przygrzeję dla niej kolację. Później dokończymy naszą rozmowę.

Patty przyjechała czerwonym samochodem Nory. Oczy miała podkrążone, z każdego jej ruchu wyczytać można było skrajne wyczerpanie.

— Ile jeszcze przetrzymasz? — spytałam ją.

— To potrwa już niedługo, mam. Epidemia prawie wygasła.

— Nora też tak uważa. Nawet nie wiem, jaki miała przebieg w naszym mieście.

— W naszym miasteczku — powiedziała Patty — liczącym niespełna sześciuset mieszkańców, rozchorowały się trzysta sześćdziesiąt dwie osoby. Sto dwadzieścia zmarło. W takiej małej miejscinie! W kraju, na świecie zmarły miliony.

— Kilka dni temu twój ojciec też mi o tym mówił.

— Przeworsował się. Nie potrafił przestać pracować. Wiedział, że choroba go dopadnie, ale póki mógł ustać na nogach, próbował nieść pomoc innym. Och, mam,

widziałam, że jest coraz słabszy, ale zabronił mi o tym tobie wspominać.

— Taki już był. Zapamiętamy go jako najdzielniejszego człowieka. Uratował wiele istnień ludzkich. Mój ojciec był taki sam. Również był lekarzem, jeśli pamiętasz, co ci kiedyś mówiłam. Poświęcił swoje życie ratując innych i robił to równie chętnie jak twój ojciec.

— Co teraz będzie? — spytała. — Nigdy nie myślałam, że ojca kiedyś zabraknie wśród nas.

— Ani ja. Nie wiem, Patty. Nie mam żadnych planów na przyszłość. Nora chce zostać w Cameron.

— Wiem. Uważa to za swój obowiązek wobec fabryki i pracujących w niej ludzi. Zamierza pojechać na Wzgórze, by dowiedzieć się, co zamierzają Helen i Loran.

— Tak, mówiła mi. Dobrze, że to zrobi. Nie możemy sobie nic planować, póki nie poznamy ich zamiarów na przyszłość.

— Nie będziemy musiały długo czekać. Sądzę, że za trzy, cztery dni będzie można wynieść z fabryki wszystkie łóżka, a chorych odesłać do domów.

— Cieszę się, że to słyszę. Mówiąc szczerze, nie wiem nawet, jaki dziś mamy dzień.

— Dziewiątego listopada, mamo.

— Nie czytałam gazet, nie rozmawiałam z nikim... Muszę znów wrócić do rzeczywistości. Tyle tu roboty.

— Zajrzę do fabryki — powiedziała Patty. — Tylko na jakąś godzinkę. Nora zostanie tam na noc, więc będę się mogła w końcu dobrze wyspać. Mamo, ona była cudowna.

— Wiem. Taka jestem z was dumna. Za wszystko, co zrobiłyście. Za waszą postawę.

Uśmiechnęła się tylko, ale wiedziałam, że było jej miło. Zakrzętnęła się, by sprzątnąć ze stołu, potem założyła palto, bo było zimno, i usłyszałam, jak zapala silnik czerwonego auta i kieruje się w stronę fabryki.

Zabrałam się za prace domowe, czując ból za każdym razem, gdy natknęłam się na coś, co należało do Glena. Cały dom pełen był jego obecności. Musiałam próbować myśleć tak, jak on by myślał, i doprowadzić wszystkie sprawy do porządku.

Pierwszą rzeczą będzie znalezienie nowego lekarza. Loranowi nie spodoba się, ile będziemy musieli mu płacić, ale już dawno Przestałam się przejmować Loranem.

Rozdział osiemnasty

Dwa dni później ogłoszono zawieszenie broni i zamilkły działa w Europie. W miasteczku również uczczono tę ważną chwilę. O jedenastej, akurat gdy gdzieś we Francji podpisywano rozejm, ktoś uruchomił fabryczną syrenę. Uderzono w kościelny dzwon, a Patty pochorowała się na hiszpankę.

Była ostatnią osobą w Cameron, która zaraziła się tą chorobą. Podobnie jak Glen była przemęczona i stanowiła łatwy łup dla wirusa. Razem z Norą położyłyśmy ją do łóżka i na zmianę czuwałyśmy przy niej, raz pełne nadziei, to znów zdjęte trwogą, jak zwykle przy tej strasznej chorobie.

Trzy dni później Patty była w stanie coś zjeść, gorączka jej opadła. Niepokój o nią kompletnie mnie wykończył, Nora również nie była w lepszym stanie.

— Myślisz, że mogę teraz wrócić na Wzgórze? — spytała mnie Nora w tę noc, kiedy kryzys u Patty minął. — Jeśli będę ci potrzebna, daj mi tylko znać. Martwię się o fabrykę. Powinna być ponownie otwarta, ale oni najwidoczniej zaniedbali sprawę.

— To samo sobie pomyślałam. Jeśli chcą wiedzieć, jakie jest moje zdanie w tej kwestii, powiedz im, żeby najpierw uruchomili fabrykę, a wszelkie problemy omówimy, jak tylko Patty poczuje się lepiej.

— Pojadę tam rano. Jestem pewna, że Patty wyzdrowieje.

— Jest młoda i silna. Tak, wyzdrowieje. Noro, nie daj się im zastraszyć. Szczególnie Loran wyspecjalizował się w terroryzowaniu innych.

— Nie uda im się to. Muszę szanować Helen. Ufam jej, ale Lorana już dawno przejrzałam na wylot. Zostanę tam dzień lub dwa. Do tego czasu Patty może na tyle

wydobrzeje, że będzie mogła wziąć udział w naradzie rodzinnej.

— Im szybciej coś zdecydujemy, tym lepiej — powiedziałam.

Pierwszą część nocy przy Patty czuwała Nora, potem zmieniłam ją, by mogła odpocząć, zanim rano wybierze się na Wzgórze. Stan Patty wyraźnie się polepszył, spała spokojnie. Ucałowałam Norę i obserwowałam, jak odjeżdża. Stałam w drzwiach, patrząc, jak czerwone auto znika w głębi ulicy. Ile się wydarzyło w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy! Zrobiłam półobrót, chcąc powiedzieć to... człowiekowi, który już nigdy nie pojawi się u mego boku. Westchnęłam i wróciłam do mojej chorej córki.

Późnym popołudniem stan Patty jakby się pogorszył. Gorączka podskoczyła i nie mogłam jej spędzić. Miała też trudności z oddychaniem i zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje. Nie było lekarza, nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić o pomoc. Wezwanie Nory na niewiele by się zdało. Mogłam jedynie modlić się i nie tracić nadziei.

Doprowadzona do ostatecznej rozpaczy, wiedząc, że muszę coś zrobić, posłam po zwierciadło. Będę przynajmniej wiedziała, co mnie czeka, obojętnie czy będzie to coś dobrego, czy złego.

Odwinęłam metalowy przedmiot i przycisnęłam go mocno do swojej piersi. Zwróciłam się do królowej Maeve.

— Ukazywałaś mi, i mojej córce, tylko śmierć i nieszczęścia. Teraz moje najmłodsze dziecko leży powalone chorobą. Chcę wiedzieć, czy będzie żyła. Błagam cię, jeśli masz jakąś władzę nad siłami rządzącymi życiem i śmiercią, pozwól żyć mojej córce.

Wolno uniosłam zwierciadło i przechyliłam je, by widzieć fragment odbijający światło. Ujrzałam Patty, uśmiechniętą i szczęśliwą, piękniejszą niż kiedykolwiek.

— Dziękuję — szepnęłam. — Już wkrótce przekażę zwierciadło jej i mojej starszej córce. Oby widziały w nim tylko przepowiednie szczęścia, obyś kierowała ich losami, bo to one będą kontynuowały tradycję i przedłużały pamięć o tobie.

Odłożyłam zwierciadło i zajęłam miejsce obok łóżka. Rano zaczęłam wątpić w

moc zwierciadła, bo stan Patty nie poprawiał się. Przychodzili ludzie pytając, czy mogą mi jakoś pomóc. Odesłałam wszystkich, ale ich pojawienie się podniosło mnie na duchu i dodało nowych sił.

Wieczorem Patty otworzyła oczy.

— Jak długo tu jestem? — spytała. — Muszę wracać do fabryki...

— Moja droga, epidemia się skończyła, nie pamiętasz? W fabryce nie ma już łóżek. Wojna również się skończyła, jeśli o tym też zapomniałaś.

— To dobrze — powiedziała. — Czyli wszystko w porządku. Chyba jeszcze sobie trochę pośpię.

Po upływie następnej doby odzyskała siły i apetyt. Cieszyłam się, bo podczas epidemii straciła kilka kilogramów. Była wesoła i przytomna. Odetchnęłam z ulgą.

— Miałaś jakieś wiadomości od Nory? — spytała.

— Nie, ani słówka.

— Upłynęło już kilka dni, prawda?

— Cztery. Przewidywała, że zostanie tam jakiś czas. Po śmierci dziadka trzeba uregulować kwestie własności i przejrzeć księgi. Loran nie jest w tym zbyt biegły, wątpię też, by Helen się na tym znała, więc prawdopodobnie wszystko spadło na barki Nory.

— Mam nadzieję, że nie da się namówić do zamieszkania z nimi.

— To mało prawdopodobne. Powiedziała mi, że już jakiś czas temu przejrzała Lorana, ale wyznała, że ufa Helen i kocha ją. Czy można mieć jej to za złe? Ostatecznie Helen dobrze ją wychowała i niczego jej nie żałowała.

— Nie zaufałamby Helen więcej niż Loranowi — powiedziała Patty, okazując niezwykłą dla niej zawziętość. — Żadna kobieta, która uczestniczyła w spisku mającym na celu pozbawienie cię własnej córki, nie może liczyć na moje względy.

— Nora powiedziała, że wróci, kiedy doprowadzi wszystkie sprawy do ładu. To wymaga czasu. Poza tym zależało jej na tym, by jak najszybciej uruchomić fabrykę. Rozumiem, że prowadzą tam prace porządkowe, by w poniedziałek przystąpić do wznowienia produkcji. Oznacza to, że Nora była zajęta, ale że coś osiągnęła.

— Też tak sędę — zgodziła się Patty. — Czy postanowiłaś już, co my zrobimy?

— Jeszcze nie. Chcesz tu zostać?

— Chcę tego, czego ty pragniesz, mamó. Ale wiem, że tata oddał życie za mieszkańców tego miasta i gdybyśmy teraz stąd wyjechały, na pewno nie postąpiłybyśmy tak, jak by tego należało się spodziewać, sądząc po postawie ojca.

— To prawda — powiedziałam. — Ale jeśli ściągniemy tu nowego lekarza, jeśli sprzedam swoje udziały w fabryce, a Nora zostanie tu, by nią zarządzać i pilnować, by Loran nie przekraczał pewnych granic, sędę, że z powodzeniem możemy opuścić te strony. Jesteś młoda, a świat może ci zaoferować znacznie więcej niż taka miejscina jak Cameron.

— Również dużo się nad tym zastanawiałam — przyznała Patty.

— Na razie poczekamy. Wkrótce przekonamy się, jak się rozwinie sytuacja w mieście... i w fabryce. Wtedy będziemy mogli zdecydować. Jestem zupełnie pewna, że Nora już postanowiła tu zostać.

— Ma tu po co zostawać. Za dzień lub dwa będę mogła wstać. Jak powiedziałaś, nie ma pośpiechu.

Dwa dni później Patty odwiedziła wszystkich swoich dawnych pacjentów upewniając się, że ich stan ulega poprawie i że nie zanotowano nowych przypadków grypy. Wciąż nie miałam żadnych wieści od Nory, więc postanowiłam pojechać na Wzgórze i osobiście przekonać się, co się tam dzieje. Zresztą Loran i Helen i tak będą chcieli się ze mną zobaczyć, bo nie podpisałam jeszcze papierów, w których przekazuję swoje udziały Helen, nie złożyłam ich w banku ani nie zgłosiłam się po pieniądze, które mi się należały za sprzedaż udziałów.

Wolno jechałam wzdłuż ulicy Main, obserwując zmiany, jakie zaszły w mieście po wygaśnięciu epidemii. Podczas zarazy ulice były opustoszałe, ale teraz panował większy ruch niż dawniej. Był chłodny, listopadowy dzień i postanowiłam udać się na grób Glena. Jak zwykle ustrojony był polnymi kwiatami, złożonymi na dowód szacunku i miłości przez jego byłych pacjentów.

Uklękłam i zmówiłam modlitwę, potem ułożyłam kwiaty i odjechałam wolno, czując smutek pomieszany z dumą. Skierowałam się w stronę siedziby Cameronów.

Zabrakło Marthy, która zawsze chłodno i bez słowa otwierała mi drzwi. Tym razem na dźwięk dzwonka odpowiedział Loran.

— Najwyższa pora, żebyś się pokazała — powitał mnie. — W poniedziałek fabryka wznawia pracę.

Poszłam za nim do salonu, gdzie siedziała Helen, sztywna, jak kiedyś jej ciotka Marcy. Nie odpowiedziała na moje pozdrowienie. Usiadłam przeczuwając coś złego. Najwyraźniej coś się tu stało.

— Gdzie jest Nora? — spytałam.

— Zostawmy ją na razie w spokoju. — Loran przybrał swoją dawną wojowniczą postawę; stał przede mną w lekkim rozkroku, patrząc na mnie płonąącym wzrokiem i zapalał jedno ze swoich cygar.

— Nie zostawię jej w spokoju! — wykrzyknęłam. — Żądam odpowiedzi.

— Czemu nie podpisałaś dokumentów, tak jak uzgodniliśmy kilka tygodni temu? — zapytał. — Przekazaliśmy pieniądze do banku. Wywiązaliśmy się ze swojej części umowy.

— Odmawiam odpowiedzi na to pytanie, dopóki nie porozmawiam z Norą.

— To niemożliwe — odezwała się Helen.

— Dlaczego? Jeśli coś jej zrobiliście...

— Wyjechała. Nie powiedziała nam dokąd.

— Wyjechała bez słowa? Nie wierzę — odparłam. — Przyszłaby do mnie, by powiedzieć, czemu wyjeżdża.

— Helen, powiedz jej, czemu wyjechała — przemówił Loran zza kłębow dymu z cygara.

— Pokazałam jej oświadczenie, które uzyskaliśmy z Irlandii — powiedziała Helen.

Uniosłam obie ręce, by ukryć w nich twarz i przez chwilę kiwałam się na boki. Uświadomiłam sobie, że robiła tak Babcia w chwilach, kiedy coś ją zmartwiło.

Uniosłam głowę.

— Chcesz powiedzieć, że uwierzyła w ten dokument?

— Przeczytała go, udała się do swojego pokoju, spakowała dwie torby, zeszła i pojechała na stację. Kupiła bilet do Nowego Jorku. Swoją czerwony samochód zostawiła na dworcu.

— Nie napomknęła, dokąd jedzie?

— Nie musiała. Byle gdzie, obojętnie, obojętnie jak najdalej od ciebie.

— Teraz może porozmawiamy o tych papierach, których nie podpisałaś... — zaczął Lorán.

— Helen, to co zrobiłaś, jest najbardziej nikczemnym czynem z możliwych. Ów dokument to stek kłamstw i dobrze o tym wiesz. Całymi latami groziłaś jego ujawnieniem, a ja ugięłam się przed wolą twoją, twojego ojca i... i tego człowieka...

— Wskazałam na Lorana nie kryjąc obrzydzenia. — Nora wróciła do mnie. Powiedziałam jej, że dokumenty, którymi dysponujecie, zawierają oszczerstwa. Uwierzyła mi. Pracowały razem z Patty, jak przystało na siostry, i uczyniły więcej, by pomóc chorym mieszkańcom miasta, niż potrafisz sobie wyobrazić. Co jeszcze jej powiedziałaś poza próbą wmówienia, że to oświadczenie jest prawdziwe?

— Powiedziałam, że jej miejsce jest przy mnie, a nie przy tobie. Niczego więcej nie musiałam jej mówić.

— A więc teraz uciekła od nas obu. Czy nie mam racji?

— Wróci do mnie — oświadczyła Helen pewna siebie. — Wiem o tym. Do ciebie już nie wróci. Może ci poprzednio uwierzyła, ale kiedy zobaczyła oświadczenie, złożone pod przysięgą, kiedy dowiedziała się, że przez tyle lat nie miałaś odwagi udowodnić, że jest fałszywe, zorientowała się, że ją okłamałaś.

Wolno uniosłam się, z trudem hamując gniew, a jednocześnie podejmując nieodwołalną decyzję.

— Zrobiłaś to, bo mnie nienawidzisz — powiedziałam do Helen. — Cóż, dam ci teraz rzeczywisty powód do nienawiści. Nie podpisałam dokumentu przekazania udziałów i nie zrobię tego. Zachowam swoje pięćdziesiąt procent w fabryce i

wykorzystam je, by najszybciej jak tylko mi się uda pozbyć się Lorana. Wymogę tak korzystne warunki pracy dla robotników, że już nigdy nie wzbogacisz się ich kosztem. Nie możesz mnie wykupić i nie dam ci się zastraszyć. Co więcej, zamierzam podać do publicznej wiadomości informacje o kilku wydarzeniach, które miały miejsce na przestrzeni ostatnich lat. Jestem pewna, że oboje świetnie wiecie, co mam na myśli.

Wysłałam szybkim krokiem, zastanawiając się, ile razy opuszczałam to miejsce wzburzona. Pojechałam do domu i poczekałam na powrót Patty. Poprosiłam ją do salonu. Usiadłyśmy i opowiedziałam jej o Norze.

— Helen jest przekonana, że Nora wpadła w taki gniew albo ogarnęło ją takie wzburzenie, że postanowiła uciec od wszystkiego. Wierzysz, że tak było, Patty?

— Mamusiu, to niepodobne do Nory. Nie wiem, gdzie wyjechała ani czemu, ale na pewno nie chodzi o ucieczkę.

— Nie przysłała do mnie. Jeśli uwierzyła w te brednie, powinna była przyjść tu i powiedzieć mi o wszystkim. Przynajmniej na tyle sobie zasłużyłam.

— Czemu wyjechała do Nowego Jorku? — spytała Patty.

— To idealne miejsce, gdyby chciała zerwać z nami wszelkie kontakty. Tam byłoby nam ją najtrudniej odszukać. Nie wiem, czemu zrobiła to, co zrobiła, ale wiem, że jeśli kiedykolwiek wróci... wszystko będzie inaczej. Jeśli wróci, nie będzie miała już nigdy powodu, by wątpić we mnie lub w moje słowo.

— Mamusiu, ona teraz nie...

— Wyjechała, tak? My też wyjedziemy, i to natychmiast po załatwieniu niezbędnych formalności. Pojedziemy do Irlandii, odszukam Cathala Dolana i zmuszę go do wyjawienia prawdy.

— Jeśli jeszcze żyje. Jeśli przyzna się, że skłamał.

— Był z niego chłop jak dąb, silny jak tur. Skłamał i zmuszę go do odwołania tych łgarstw. Nie wykręci mi się. Jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę wrócić w swoje rodzinne strony. Nie miałam żadnych wiadomości od swego brata Jimmy'ego od czasu listu, w którym informował, że został ranny. Miał odszukać Cathala i wymóc na nim przyznanie się do krzywoprzysięstwa, ale nie napisał mi ani słowa. Niezbyt mu

szło pisanie listów, ale wiedział, jak ważna jest dla mnie sprawa Cathala Dolana. Muszę wiedzieć, co się z nim dzieje.

— Mamo, będę gotowa jutro rano. Jestem już zupełnie zdrowa i mam dosyć sił. Chcę pojechać z tobą.

— Cieszę się słysząc te słowa — powiedziałam. — Ale trzeba będzie wyrobić paszporty, wykupić bilety na statek, a nie zapominaj, że wojna dopiero co się skończyła i nie mam pojęcia, jak teraz podróżuje się statkami.

— Statki przywożą teraz żołnierzy z frontu do domów — powiedziała Patty — i udają się po następnych prawie puste. Nie powinnyśmy mieć problemów.

Jak zwykle Patty miała rację. Uzyskałyśmy paszporty w nadzwyczajnym trybie. Jako powód podałam dziwne zniknięcie mojego brata po odniesieniu rany na wojnie. O bilety było bardzo łatwo i cztery dni później razem z Patty byliśmy już na pokładzie liniowca. Warunki nie były nadzwyczajne, bo statek przystosowano do transportu żołnierzy, ale było na nim czysto, a co ważniejsze — był szybki, a ze strony niemieckich łodzi podwodnych nie groziło nam już żadne niebezpieczeństwo.

Rejs był cudowny i w normalnych warunkach bardzo przyjemnie spędzałybyśmy czas. Patty trudno było odmówić spożywania kolacji w towarzystwie młodego mężczyzny, oddelegowanego do pracy w ambasadzie amerykańskiej w Belgii. Wciąż nosił mundur i wyglądał niezwykle sztywnie, przepasany skórzanym pasem i z kapitańskimi gwiazdkami na naramiennikach.

Miałam dużo czasu na rozmyślanie i na przyzwyczajanie się do swej nowej sytuacji. Wraz ze śmiercią Glena tyle straciłam. Moje serce przepełniał też niepokój o Norę. Ale poza smutkiem i bólem odczuwałam słodką tęsknotę za Irlandią, za dobrze mi znaną i tak kochaną wioską. Pragnęłam znów znaleźć się blisko mego ojca i Joela. Szlachetnego, dobrego Joela, którego nigdy nie przestałam kochać.

Rozdział dziewiętnasty

Rozporządzenia, wprowadzone na czas wojny, wciąż obowiązywały, więc nasz statek zawinął do Liverpoolu. Stamtąd przepłynęliśmy się przez Morze Irlandzkie do Dublina.

— Hrabstwo Mayo leży dokładnie po przeciwnej stronie wyspy — wyjaśniłam Patty. — Ale istnieje dogodne połączenie kolejowe. Ojciec Nory jakieś dwadzieścia kilka lat temu przynajmniej raz w miesiącu pokonywał tę odległość, więc nie wątpię, że nam też się to uda.

W końcu dotarliśmy do Galway, gdzie wynajęliśmy samochód, by pokonać ostatni odcinek drogi. Nie mogę powiedzieć, żeby nam się nudziło podczas podróży, bo dla mnie był to powrót do domu, a dla Patty — odkrycie krainy o niezrównanej urodzie, a przy tym pełnej prostoty i tak zielonej, jak żaden inny zakątek ziemi. Szczególnie przyjemna była podróż samochodem przez Connemara, choć miejscami droga okazywała się trochę zdradziecka. Zatrzymywałyśmy się w wiejskich zajazdach, gdzie z nieukrywaną radością słuchałam po latach języka mojej młodości, przypominałam sobie rytm i melodię ojczystej mowy.

Wreszcie dotarliśmy do wioski i serce aż mi się ścisnęło na jej widok, widok, za którym przez te wszystkie lata tęskniłam. Nie zmieniła się ani trochę. Prawdopodobnie w ciągu następnych stu lat również pozostanie taka sama. Te same ulice wyłożone kocimi łbami, nierówne chodniki, chaty, zielone wzgórza w oddali i stare, znajome zbocze opadające do zatoki Clew.

Patty przyjrzała się krytycznie Kilcrea.

— Na pewno nie przypomina Cameron.

— Tutaj się urodziłam i wychowałam — odparłam z mocą. — Kocham ją. Ty też ją pokochasz, jeśli zabawimy tu wystarczająco długo. Och, ludzie wiedzą tu inne życie niż to, które znasz ty i do którego ja musiałam przywyknąć, ale mimo wszystko żyje im się bardzo przyjemnie, moja córko. Nie krytykuj tak tej ślicznej wioski.

— Co wyście tu, na Boga, robili? — spytała Patty.

— Dokładnie to samo co ty, kiedy byłaś małą dziewczynką. Spacerowaliśmy, pływaliśmy w morzu, urządzaliśmy sobie pikniki, pracowaliśmy i to ciężko i mieliśmy przyjaciół. Wyłącznie przyjaciół, Patty. Nikt nie miał wrogów.

— Nawet Cathal Dolan? — przypomniała mi z uśmiechem.

— Nawet Cathal, ten podły łotr. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że upłynęło już ponad dwadzieścia lat od dnia, w którym opuściłam tę wioskę i dom, w którym się urodziłam i który stał się moim domem po śmierci mojego najdroższego ojca. Nie widać go z tego miejsca, ale już teraz mogę cię zapewnić, że kiedy do niego dotrzemy, kiedy wejdziemy do środka stwierdzimy, że przez wszystkie te lata nic się w nim nie zmieniło. Będzie wyglądał tak jak w dniu, kiedy go opuściłam.

— Po przeszło dwudziestu latach? Nie może być taki sam.

— Sama zobaczysz. Wszystko będzie wyglądało tak jak dawniej. Będzie wysprzątane, jakbym dopiero co zamknęła za sobą drzwi. Kurze starte, podłogi wypastowane, a jeśli upływ czasu wyrządził jakieś szkody, wszystko będzie naprawione. Dom będzie wyglądał tak, jakbym go wcale nie opuszczała. Moja droga Patty, właśnie tak tutaj żyją ludzie.

Kiedy znalazłyśmy się bliżej wioski, oddałam jej miejsce za kierownicą, bo nie musząc prowadzić mogłam lepiej kierować Patty.

— Najpierw — powiedziałam — udamy się na cmentarz. Jedź tą ulicą do samego końca, tam skreć w prawo, w starą, polną drogę. Prowadzi na wzgórze górujące nad morzem. Właśnie tam jest miejsce, gdzie wszyscy pragniemy spocząć po wsze czasy. Panuje tam spokój, jakiego nigdzie więcej nie spotkałam.

Musiałyśmy dojść spory kawałek, bo samochodem nie mogłybyśmy wjechać na wąską drogę prowadzącą bezpośrednio na cmentarz. Wyjaśniłam Patty, że zgodnie z panującym tu zwyczajem tędy szli wieśniacy niosący na swych barkach trumny ze zwłokami.

— Kiedyś — powiedziałam — trumnę niesiono od samego kościoła, a ludzie co jakiś czas zmieniali się.

W końcu uklękliśmy u stóp trzech mogił, gdzie spoczywała moja matka,

ojciec i mój najukochańszy mąż. Zmówiliśmy modlitwę i opowiedziałam Patty, jakiego rodzaju człowiekiem był Joel i jak go kochałam.

— Sądząc po tych świeżych kwiatach nie tylko ty go kochałaś — zauważyła Patty.

— Tak, widzę je. To też miejscowy zwyczaj. Wieśniacy nigdy nie zapominają złożyć na grobach kwiatów.

— Mamusiu, ale na innych grobach nie ma kwiatów. Przynajmniej nie aż tyle.

— Zgadza się, ale Joel i mój ojciec zajmowali szczególną pozycję w wiosce. Ojciec, bo tak sumiennie opiekował się chorymi. Joel za swą hojność i umiłowanie tego miejsca. Tak, nigdy ich nie zapomną. Podobnie jak mojej drogiej matki.

Mnie też wydawało się, że na grobach było mnóstwo kwiatów. Zrozumiałabym, gdyby po tylu latach leżała wiązanka czy dwie, ale mogły być dosłownie obsypane kwiatami. Na niektórych wciąż jeszcze widniała rosa,

— Teraz udamy się do domu — powiedziałam. — Chcę ci udowodnić, jak sumiennie o niego dbano.

— Jeśli sądzić po tych kwiatach na grobach, dom powinien być w idealnym stanie — powiedziała Patty. — Tak czy owak to zdumiewające.

Pojechałyśmy wzdłuż ulicy. Wiedziano już o naszym przybyciu i na progach chat stali mieszkańcy. Rozpoznałam tylko kilka twarzy. Widok cmentarza też wywołał moje przygnębienie, bo od czasu mojego wyjazdu przybyło wiele nowych grobów. Powinnam się była tego spodziewać, ale jakoś nie przyszło mi do głowy, że tutaj ludzie też umierają i wszystko się zmienia, nawet jeśli nie widać tego na pierwszy rzut oka.

Jakaś kobieta w średnim wieku pomachała mi ręką i zawołała po imieniu. Przyjrzałam jej się uważnie i kiedy ją poznałam, również ją pozdrowiłam. Powtarzało się to do samego domu. Razem z Patty Weszłyśmy do środka. Stała w małym saloniku i obróciła się wolno.

— Jest tak, jak powiedziałaś — zdumiała się.

— Byłam pewna, że tak będzie. Tacy już tutaj są ludzie. W pozostałych pomieszczeniach domu będzie identycznie. Dziś w nocy będziemy spały na moim starym łóżku i gwarantuję, że prześcieradła będą bez jednej plamki i porządnie wymaglowane.

Patty podeszła do kominka.

— Mamo, cegły są jeszcze ciepłe. Poprzedniej nocy ktoś palił w kominku. Czy twoi starzy przyjaciele spodziewali się twojego przyjazdu?

— Ktoś tu był... ktoś tu mieszkał — powiedziałam wolno. — Dopiero teraz to sobie uzmysłowiłam.

Twarz Patty rozświetliła nadzieja.

— Mamo... czy to mogła być Nora? Myślisz, że to możliwe?

— Nie wiem. Gdyby ktoś był w domu, już zszedłby na dół.

— Od kogo możemy się dowiedzieć? Popytaj mieszkańców.

— Chodź — powiedziałam ściskając jej dłoń. — Zostawimy samochód i na razie nie będziemy nikogo o nic wypytywać.

Zaprowadziłam ją starym szlakiem nad zatokę. W dole, na jasnym piasku plaży ujrzałam jakiegoś mężczyznę. Szedł wolno, głowę miał pochyloną, buty zawiesił sobie na szyi i brodził w zimnej, morskiej wodzie.

— Miałam nadzieję, że zastaniemy tu Norę — powiedziała Patty.

— Ten człowiek to Jimmy, mój brat. Nawet z tej odległości rozpoznałam jego zwalistą sylwetkę i barczyste ramiona. — Uniosłam rękę i zawołałam go po imieniu.

Zatrzymał się gwałtownie, spojrzał w naszym kierunku, osłoniwszy sobie oczy przed słońcem. Zaczęłam biec w jego stronę i nagle ku swemu przerażeniu spostrzegłam, że nie ma lewej ręki. Amputowano mu ją, rękaw marynarki miał przypięty. Ale wyciągnął ocalałą rękę i kiedy dobiegłam do niego, objął mnie nią z całej siły.

Zupełnie osiwiiał, ale na jego twarzy nie było ani jednej zmarszczki, a co dziwniejsze, brwi pozostały rude, podobnie, jak kiedyś jego włosy. Był nadal przystojnym, postawnym mężczyzną. Obejmowaliśmy się długo, szczęśliwi, że znów

się widzimy.

Obrzucił Patty taksującym wzrokiem.

— No, moja panno, jesteś tak samo urodziwa jak twoja matka.

— Jeśli jej powiesz, jak kiedyś wyglądałam, wrzucę cię do wody — zagroziłam żartobliwie.

— Podniesiesz rękę na kalekę? — spytał beztrąsko. — Och, Maeve, nie potrafiłem się zmusić do napisania ci o tym.

— Jimmy — krzyknęłam — a co z twoją karierą?

— Czy wolno mi spytać, jaki może być pożytek z jednorękiego chirurga? Szczególnie kiedy spędza większość czasu ucząc młodzików, jak kroi się ludzi. Maeve, nie martw się o mnie, Nic mi nie jest i robię to, do czego jestem stworzony. Ale ty też nieźle wyglądasz.

— Umarł mój mąż — powiedziałam. — Rodzina Joela znów zaczęła swoje intrygi, wymierzone przeciwko mnie...

— Słyszałem — przerwał mi Jimmy.

— Przyjechałam, by spotkać się z Cathalem Dolanem i zmusić go do złożenia oświadczenia, że dopuścił się krzywoprzysięstwa.

— No cóż — powiedział Jimmy — zastaniesz to, co po nim zostało, w tej samej starej chałupie, w której kiedyś mieszkał. Jest kawalerem, bo żadna go nie chciała. Już złożyłem mu wizytę i dostałem podpisane przez niego oświadczenie, że niejaki Edward Lorraine zapłacił mu za złożenie fałszywego zeznania.

— Edward Lorraine? — spytałam.

— Tak, lepiej go znasz pod jego prawdziwym nazwiskiem Lorana Camerona.

— A więc to był on — powiedziałam cicho. — Zawsze to przeczuwałam. Dziękuję ci, Jimmy... teraz mam to, czego chciałam.

— Ten człowiek był w naszej wiosce, jeszcze zanim zapłacił Cathalowi, cholernemu głupcowi, za fałszywe oświadczenie. Przyjechał tu wtedy, kiedy ktoś strzelał do ciebie i Joela, pamiętasz? Loran miał ze sobą nowiutką strzelbę; mówił, że chce tu polować. Nie powiedział nikomu, że poluje na ludzi. Chciał się pozbyć was

obojga.

— Jimmy, jesteś niezrównany — oświadczyłam. — Patty, słyszałaś? — Spojrzałam w lewo, ale nie ujrzałam Patty.

— Poszła na szczyt wzgórza — powiedział Jimmy. — Na spotkanie siostry. Piękne dziewczyny, Maeve. Możesz być z nich dumna.

Patty i Nora szły wolno w naszym kierunku, obejmując się i paplając jedna przez drugą.

— Przyjechała do mnie do Edynburga i ubłagała o pomoc — powiedział Jimmy. — Zresztą i tak zamierzałem wziąć urlop i przyjechać tu, by spotkać się z Cathalem. Wcześniej niezbyt dobrze się czułem, a chciałem odzyskać siły, by sprawić temu łobuzowi porządne manto. I zrealizowałem swój zamiar, choć została mi tylko jedna ręka. Jesteśmy tu już od kilku dni, czekając na ciebie. Wiedzieliśmy, że przyjedziesz.

— Tak czy inaczej — powiedziałam przez łzy radości — zrewanżuję ci się jeszcze, Jimmy. Zataić wszystko przede mną, choć mogłeś wysłać telegram.

— Och, Maeve, czy nie sądzisz, że tak było lepiej? Dzięki temu spotkaliśmy się. Pomyśleć tylko, że z całej rodziny została tylko nasza czwórka. Ale dziewczęta wkrótce się zakreca, by to zmienić.

Zostawiłam go i podeszłam do Nory. Objęłam ją. Milczałyśmy. Powiedziałyśmy sobie wszystko później, po powrocie do domu. Ku naszemu zdumieniu kolacja już na nas czekała, a do stołu usługiwała nam urodziwa panna — jak się później dowiedziałam, o zaszczyt ten ubiegały się wszystkie dziewczyny ze wsi.

— Kiedy Helen pokazała mi ten okropny dokument, którym szantażowała cię przez te wszystkie lata — powiedziała Nora — postanowiłam odszukać tego głupiego Irlandczyka, który to podpisał, i zmusić go do wyznania prawdy.

— Dziękuję, że mi uwierzyłaś — powiedziałam.

— Mamo, każdy zdrowo myślący człowiek zorientowałby się, że to kłamstwo. Och, Helen opowiedziała mi również o Arthurze Standishu, który według jej słów wyciągnął cię do ogrodu, by z tobą poflirtować przy blasku księżyca. Jego też odszukałam. Ów wzbudzający litość starzec oświadczył przed notariuszem, że to było

wierutne kłamstwo, że mąż Helen namówił go, by siłą zmusił cię do opuszczenia sali balowej. Dałam mu dwadzieścia dolarów. Tanio sobie policzył za prawdę.

— Nie mogę się doczekać powrotu i chwili, kiedy o wszystkim powiemy Loranowi — wtrąciła Patty. — Ciekawa jestem, jak zareaguje.

— Z tego, co rozumiem — powiedział Jimmy — jest winien morderstwa i kilku nieudanych zamachów na twoje życie. Na twoim miejscu zdarłbym z niego skórę.

— Nie wiem, co zrobię — powiedziałam. — Prawdopodobnie zrezygnuję jedynie z jego pomocy w kierowaniu fabryką. Sądzę, że nawet Helen zgodzi się na to, kiedy pozna prawdę.

— Mamo — odezwała się cicho Nora — Helen była zdominowana przez niego podobnie jak ja. Sądzę, że wierzyła mu, bo musiała... choć nie wybaczyłam jej tego, co uczyniła tobie. Uważam jedynie, że zasłużyła sobie raczej na współczucie niż potępienie.

— Tak — powiedziałam — zgadzam się z tobą. A więc już po wszystkim. Wreszcie skończył się ten koszmar! Wrócimy, by odpowiednio zorganizować sobie nasze życie, tak, jak powinno wyglądać zawsze. Musimy zająć się fabryką. Spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność za kilkuset ludzi, którzy są od nas zależni. Winne też coś jesteśmy pamięci dwóch wspaniałych mężczyzn. Twojego ojca, Noro, oraz twojego, Patty. Jimmy, bardzo bym się cieszyła, gdybyś pojechał z nami

— Wykluczone — odparł Jimmy. — Nie, Maeve, to absolutnie wykluczone. Jeśli mieszkają tam tacy ludzie jak Loran, prawdopodobnie wkrótce straciłbym swoją drugą rękę. Nie, zostanę tutaj, by uczyć swoich cymbałów, jak zszywać człowieka uprzednio pokrojonego. Do tego zostałem stworzony.

— Oczywiście masz rację, Jimmy — powiedziałam. — Nigdy nie miałeś co do tego najmniejszych wątpliwości. Och, sama wiele razy zastanawiałam się, co powinnam robić w życiu. Wiele, wiele razy.

Jimmy spojrzał na mnie dość poważnie.

— Moja droga, spójrz w lewo, a potem w prawo, na te dwie ślicznotki, które przynoszą zaszczyt Irlandii i tobie. Oto czym między innymi powinnaś się zająć. No,

dosyć tego gadania. Czemu, moje panny, nie pobiegniecie gdzieś, by pozwolić człowiekowi porozmawiać spokojnie z własną siostrą? No, na co jeszcze czekacie?

Ochoczo wybiegły, a ja i Jimmy zaczęliśmy wspominać dawne czasy oraz opowiadać o latach, kiedy nie mieliśmy o sobie żadnych wiadomości. Zrobiliśmy już plany na przyszłość, więc nie zaprzataliśmy sobie tym więcej głowy.

Spędziliśmy w wiosce cały tydzień. Ani razu nie spotkałam Cathala, ale mówiąc szczerze większość czasu był ze mną Jimmy, a z tego, co słyszałam o jego poprzednim spotkaniu z moim bratem, Cathalowi nie zależało zbytnio na kolejnym.

Przed wyjazdem zadepeszowaliśmy do Helen, żeby nie martwiła się niepotrzebnie nieobecnością Nory, ale nie wspomnieliśmy ani słowem o rezultatach naszej wyprawy. Dotarliśmy do domu miesiąc później, bo zrobiłyśmy sobie przerwy w podróży w Londynie i Paryżu.

Okazało się, że owe tygodnie spędzone na przyjemnościach odczuli na własnej skórze mieszkańcy miasteczka, bo fabrykę uruchomiono, by dwa tygodnie później niespodziewanie ją zamknąć ze względu na brak kogokolwiek, kto mógłby nią kierować.

— Ciało Lorana wyłowiono ze stawu — powiedziała nam Helen. — Mówiono o wypadku, ale wszyscy i tak wiedzieli, że popełnił samobójstwo. Teraz, kiedy powiedziałaś mi o wszystkim, zrozumiałam, czego się domyślił z telegramu przysłanego mi przez Deborah... o, przepraszam, przez Norę, i jestem pewna, że odebrał sobie życie.

— W takim razie wspólnie, ty, ja i Nora, będziemy kierowały fabryką — oświadczyłam. — Patty ma odmienne ambicje życiowe.

— Nie wątpię, że zostanie jedną z pierwszych lekarek — powiedziała Nora z nutką dumy w głosie.

Helen nie chciała sama mieszkać w domu na Wzgórzu. Pozwoliła się tam wprowadzić nowemu lekarzowi — młodemu i przystojnemu — który przyjechał do naszego miasteczka, by prowadzić tu praktykę. W przyszłości w dawnej siedzibie Cameronów miał powstać pierwszy szpital w mieście. Okazała się do tej roli idealna.

Ja zajęłam się zarządzaniem fabryką, a współpraca z Norą dostarczyła mi wiele satysfakcji. Pewnego dnia — nie miałam powodu, by się spieszyć, bo Bóg nie poskapił nam czasu — znów poradzę się mego zwierciadła. Niedawno śniło mi się, że ujrzałam w nim twarz nieznanego mężczyzny, dystyngowanego i silnego, energicznego i pełnego życia. Może znów ujrzę jego twarz. Bardzo bym chciała.

KONIEC

RS